

*Aleksander Krawczuk*

OSSOLINEUM

GAIUS  
JULIUS  
CAESAR

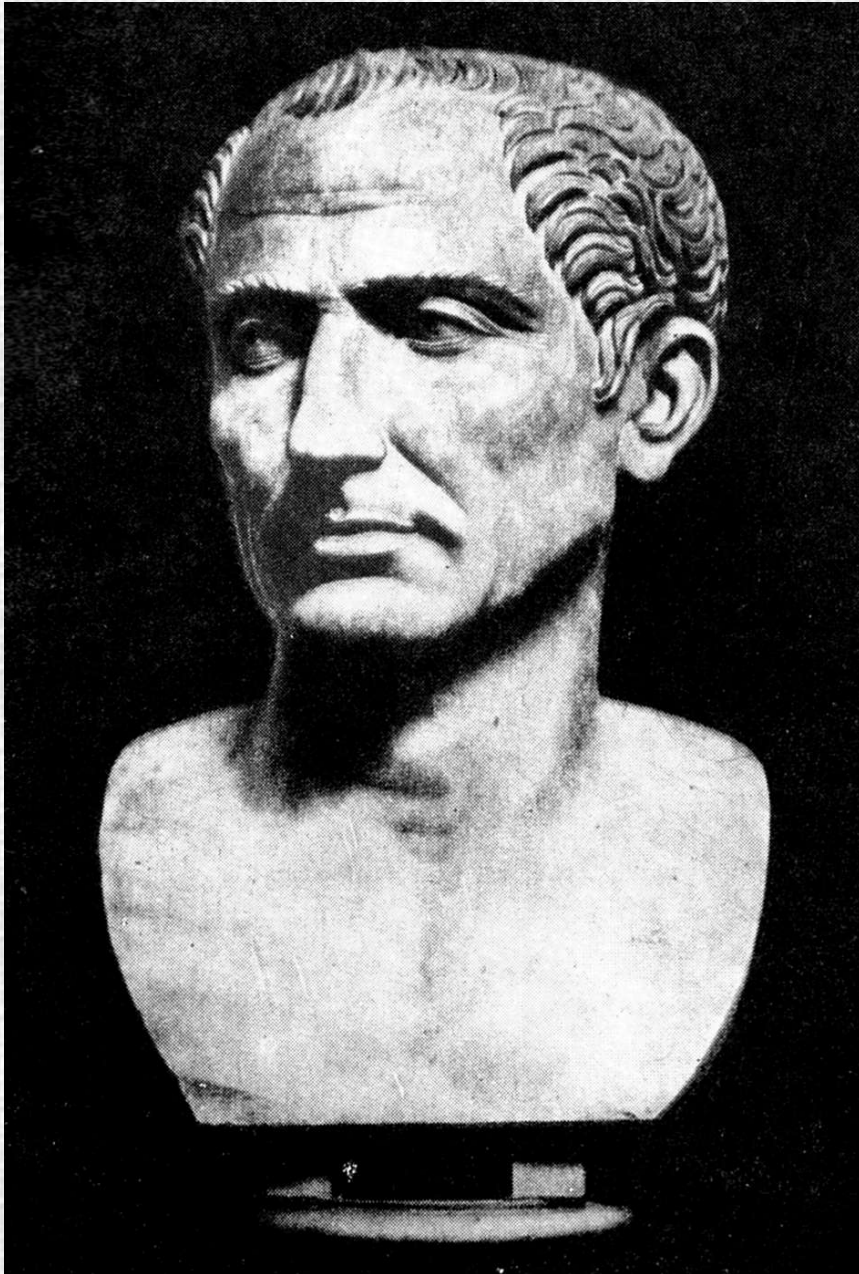




**Aleksander Krawczuk**

**DiG**

# **GAJUSZ JULIUSZ CEZAR**



**DiG**

**Księgozbiór DiGG**



**2010**

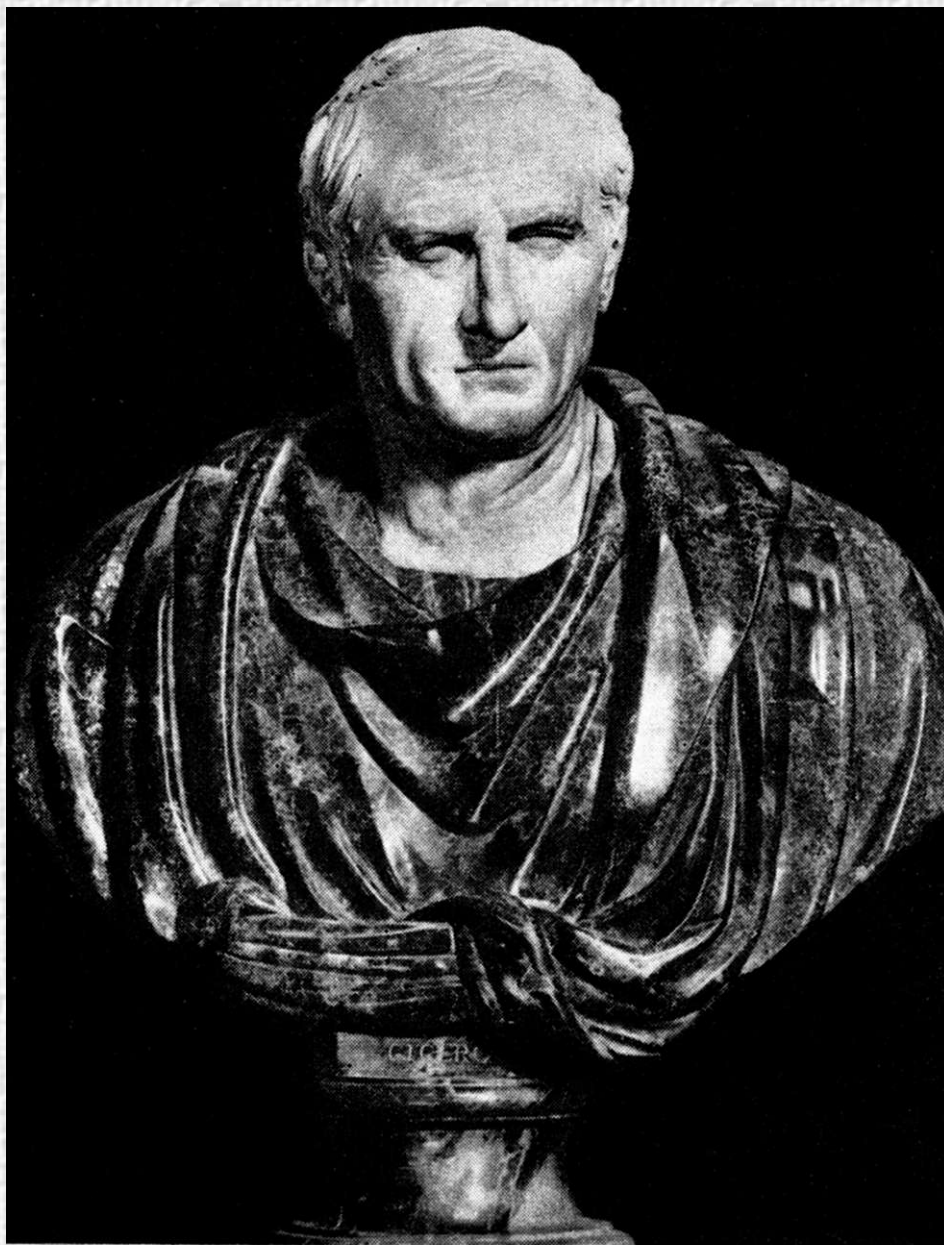


*Pod wieczór dnia piętnastego marca roku 44 przez wymarłe ulice Rzymu trzech niewolników niosło lektykę. Zza jej zasłony zwisała bezwładna ręka. Ciało pięciokrotnego konsula i dyktatora Gajusza Juliusza Cezara wracało do domu.  
A oto koleje jego życia:*

BR

CZEŚĆ PIERWSZA

**PRÓBY I KŁĘSKI**



Marek Tulliusz Cynceron





## MARIUSZ I SULLA

Miłości do swej pierwszej żony, Kornelii, omal nie przypłacił Cezar życiem. To gorące i trwałe uczucie było tym godniejsze uwagi, że poślubił ją jako siedemnastoletni chłopak - zawieranie małżeństw w tak młodym wieku było w świecie starożytnym częste - a sam związek, przygotowany przez rodziny, miał służyć celom politycznym: chciano ściślej powiązać kilka rodów, kierujących stronnictwem popularów.

Stronnictwo to powstało przed pół wiekiem, w czasach działalności braci Grakchów. Początkowo dążyło do pewnych reform, w szczególności do obdzielenia ziemią państwową bezrolnych. Ale i te umiarkowane plany wystarczyły, by wywołać gwałtowny opór stronnictwa zachowawczego, czyli optymatów, mających zawsze przewagę w senacie. Z biegiem lat walka idei przekształciła się w rywalizację poszczególnych polityków o władzę i osobiste korzyści. Wielkie hasła stały się przede wszystkim narzędziem propagandy wyborczej. Co nie przeszkadzało, że im mniej każda ze stron wierzyła we własny program, tym bezwzględniej i krwawiej zwalczała jego przeciwników.

Od roku 87 w Italii władali popularzy. Ale od Wschodu padał groźny cień Lucjusza Korneliusza Sulli. Ten wielki przywódca optymatów, pozornie zupełnie nie troszcząc się o wydarzenia w stolicy, walczył w Grecji i w Azji Mniejszej przeciwko wodzom króla Pontu Mitrydatesa, a po zawarciu z nim pokoju zajął się rabunkiem tamtejszych miast, jakby nie spieszył się z powrotem. Jednakże w Italii wszyscy zdawali sobie sprawę, że Sulla zjawi się wkrótce, by walczyć o władzę i pomścić rzeź swych stronników. Dobrze pamiętano krwawe dni roku 87, kiedy to po wymarszu armii Sulli na Wschód, przeciwko Mitrydatesowi, do Rzymu wkroczyli przywódcy popularów: Lucjusz Korneliusz Cynna i stary Gajusz Mariusz - ten sam Mariusz, który swego czasu ukrywał się przed zbirami Sulli po bagnach i ruinach. Kiedy znowu wojska popularów opanowały miasto, na ulice wylegli siepacze, polując na wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób byli związani z optymatami i Sullą. Odcięte głowy zamordowanych z triumfem zatykano na Forum. Zapytywano obecnie, jakaż będzie z kolei pomsta Sulli, jeśli jemu znowu uda się pokonać popularów i zająć stolicę? Wszyscy w Italii patrzyli z trwogą w przyszłość. Nad całym krajem zaległa duszna atmosfera lęku i oczekiwania na burzę wojny domowej.

Wówczas to właśnie Cezar, ledwie wyrosły z lat chłopięcych, stał się formalnie głową rodziny. Wiadomo, że urodził się dnia dwunastego lipca - miesiąc ten zwał się wówczas Quinctilis, w kilkadziesiąt jednak lat później miał otrzymać nazwę Iulius, właśnie dla upamiętnienia faktu urodzin Cezara - roku natomiast nie da się ustalić z całą pewnością: mógł to być, według naszej rachuby, 102 lub 100 p.n.e. Miał lat najwyżej 16, kiedy zmarł jego ojciec. Ten, choć pochodził z jednego z

najświetniejszych rodów, nie odznaczył się niczym w życiu politycznym i w chwili śmierci piastował dopiero urząd pretora. Matka, wywodząca się z równie świetnego rodu Aureliuszów, poświęciła się całkowicie wychowaniu dzieci - Gajusza i Julii. Dzięki starannemu doborowi nauczycieli Cezar doskonale poznał literaturę grecką i rzymską i na zawsze zachował żywe zainteresowanie sprawami piśmiennictwa i języka - nawet zagadnieniami gramatycznymi.

Matka nie mogła zapewnić chłopcu bezpośredniej pomocy w karierze politycznej, ale nie brakło mu możnych opiekunów, rodzina bowiem Cezara była ściśle związana z przywódcami popularów. Siostra ojca, Julia, była żoną wielkiego Mariusza. Ale Mariusz zmarł w styczniu roku 86, zaraz po objęciu siódmego w swym życiu konsulatu. Po jego śmierci przywódcą popularów i prawdziwym władcą Rzymu stał się Cynna. Jego córka, Kornelia, była więc najświetniejszą wówczas partią w stolicy i zgoda ojca na jej małżeństwo z Cezarem zdawała się rokować chłopcu wspaniałą przyszłość. Stało się jednak zupełnie inaczej.

Cezar i Kornelia zostali poślubieni w roku 84 - i w tymże roku, kilka miesięcy później, Cynnę zamordowali jego żołnierze, w czasie rozruchów, które wybuchły w obozie wojskowym, gdzie przygotowywał wyprawę na Wschód, dla uprzedzenia ataku Sulli na Italię. Po śmierci Cynny nie było już wśród popularów nikogo, czyj autorytet i energia mogłyby sprostać groźnej sytuacji. Wypadki potoczyły się teraz szybko.

Sulla stanął na ziemiach Italii wiosną roku 83. Jego armia, niezbyt liczna, miała nieco ponad 30.000 żołnierzy. Była jednak świetnie wyćwiczona i ślepo oddana swemu wodzowi, dzięki bowiem rabunkom we wschodnich prowincjach każdy żołnierz stał się zamożny, w przyszłości zaś, w razie zwycięstwa nad popularami, mógł liczyć na prawdziwą fortunę. Szeregi sullańczyków rychło wzmocnili napływający z różnych stron wrogowie popularów, wśród nich dwudziestotrzyletni Gnejusz Pompejusz, który przywiódł ze sobą kilka tysięcy ludzi ze swych olbrzymich dóbr nad Adriatykiem, oraz nieco odeń starszy, zamożny i sprytny Marek Krassus.

Rozpoczęła się pierwsza w dziejach Rzymu bratobójcza wojna domowa, prowadzona przez regularne wojska obu stron z bezprzykładną zaciętością. Działania toczyły się jednocześnie na kilku frontach, w różnych krainach Italii. Choć początkowo przewaga liczebna i sympatie większości ludów półwyspu były po stronie popularów, to jednak nieudolność i niezdecydowanie ich wodzów ułatwiły Sulli i jego energicznym podkomendnym odniesienie ostatecznych zwycięstw jesienią roku 82.

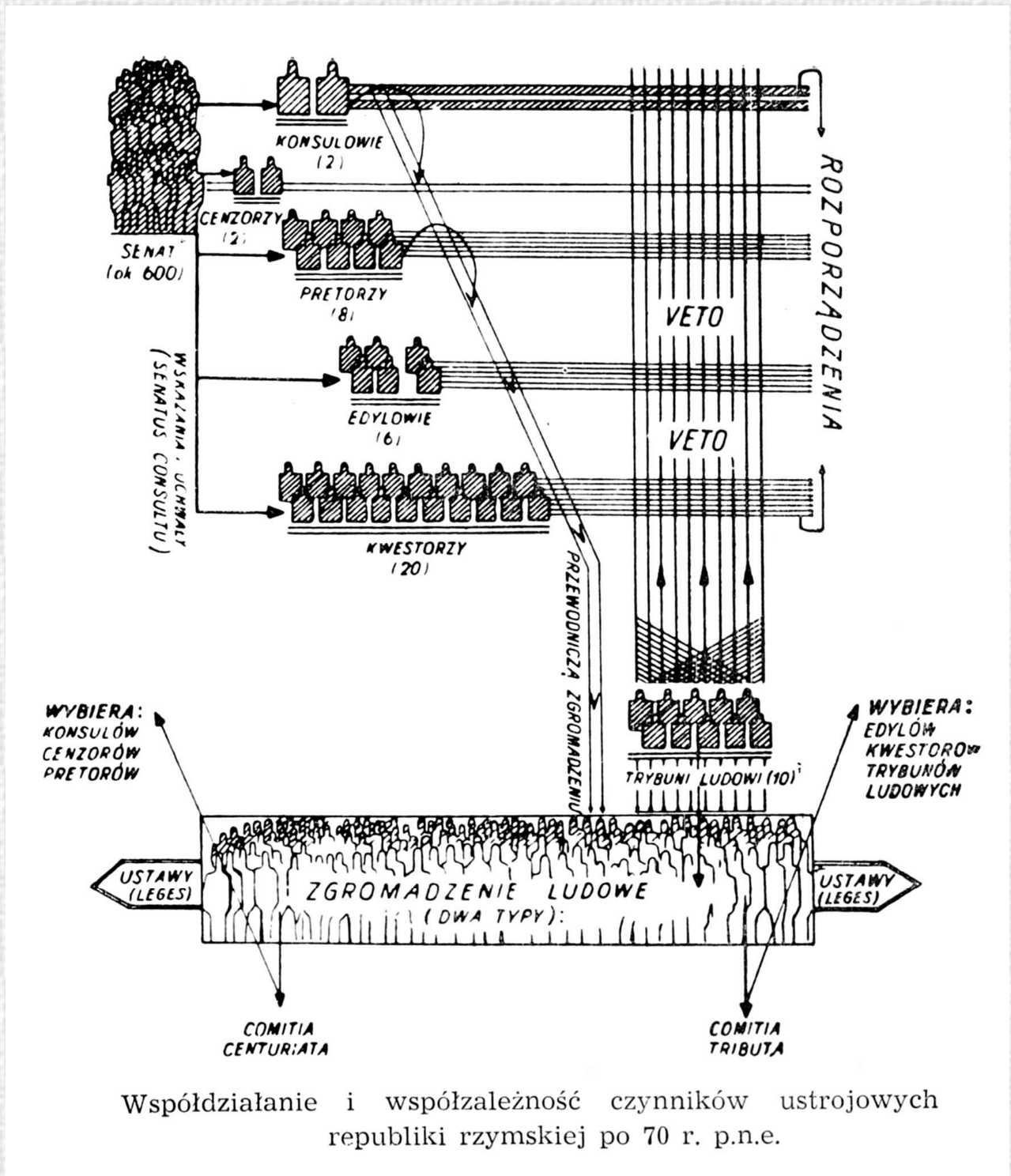
Pod koniec grudnia tegoż roku, kiedy w Italii broniły się jeszcze niektóre miasta, a w Afryce i w Hiszpanii stały wojska popularów, w Rzymie sterroryzowane zgromadzenie ludowe nadało Sulli godność dyktatora. Ten nadzwyczajny w zasadzie urząd dawał piastującemu go faktyczną wszechwładzę w republice. Dlatego też dawniej powoływano dyktatora tylko w chwilach przełomowych, kiedy dla ratowania państwa konieczne było zespolenie wszystkich środków

dyspozycyjnych w jednym ręku. By jednak człowiek obdarzony takim zaufaniem i taką pełnią władzy nie stał się sam niebezpieczeństwem dla ustroju republiki, odwieczna rzymska zasada głosiła, że władzę dyktatora można piastować jedynie pół roku, po czym automatycznie wygasa. Ostatni raz powołano dyktatora w roku 202, pod sam koniec drugiej wojny z Kartaginą. Odtąd pamięć o tym urzędzie trwała tylko w starych zapiskach i podaniach. Przez sto dwadzieścia lat nie mianowano dyktatorem nikogo, rządzące bowiem Rzymem warstwy coraz zazdrośniej baczyły, by nikt nie wysuwał się zbyt przed współobywateli. Wznowienie tej prawie zapomnianej godności przez Sullę nie było jeszcze samo przez się niezgodne z prawami; prawdziwe pogwałcenie ich zasad stanowił dopiero fakt, że zwycięski wódz kazał się mianować dyktatorem bez ograniczenia czasowego. W ten sposób Sulla, zachowując starą formę republikańską, stał się w istocie nie koronowanym królem Rzymu: z mocy swego urzędu był ponad prawem i ponad wszystkimi organami i instytucjami państwa, nie było zaś legalnego terminu jego władzy.

Gdy tylko dyktator umocnił się w Italii i w swej nowej godności, rozpętał krwawe prześladowanie wszystkich, którzy byli choćby tylko podejrzani o sympatie dla pokonanych popularów. W odróżnieniu jednak od żywiołowego terroru z czasów Mariusza i Cynny zawsze systematyczny Sulla nadał swym mordom politycznym wszelkie pozory praworządności. Na forum wystawiano tablice proskrypcyjne - spisy obywateli, którzy zostali wyjęci spod prawa jako wrogowie ludu rzymskiego. Za zabicie proskrybowanego przysługiwała wysoka nagroda - mógł ją uzyskać nawet niewolnik, jeśli zgładził swego pana, lub ojciec, który by zabił syna, za ukrywanie natomiast groziła kara śmierci. Majątki skazanych ulegały konfiskacie, ich zaś synowie i wnukowie tracili prawo starania się o jakiegokolwiek urzędy. Proskrybowano nawet zmarłych: na jednej z pierwszych list umieszczono nazwisko Gajusza Mariusza oraz Lucjusza Korneliusza Cynny, teścia Cezara. Pierwsza lista proskrypcyjna obejmowała tylko 80 nazwisk, następne już ponad 200. Gdy zabrakło politycznie podejrzanych, podawano coraz częściej nazwiska tych obywateli, których jedyną winą był majątek. Co prawda sam Sulla nie interesował się tak małostkowymi sposobami zdobywania bogactw. Tym gorliwiej uprawiała je klika najbliższych współpracowników dyktatora, w której skład wchodziłi ludzie różnego pochodzenia i z bardzo rozmaitych kręgów społecznych: wyzwoleniec Sulli Chrysogonus, zrujnowany i zdeklasowany arystokrata Lucjusz Sergiusz Katylina, bogacz Marek Krassus.

Tysiące ludzi żyło w ciągłej niepewności i w śmiertelnej trwodze. Każdy majątny obywatel, nawet jeśli przez całe życie stronił od polityki i nie uczestniczył w walkach i intrygach stronnictw, mógł w jednej chwili stracić wszystko. Właściciel pałaców i tysiące niewolników stawał się szcztym zwierzęciem, za którym po całym mieście i okolicy uganiały zgraje żołdactwa i zwykłych opryszków. Przerażone ofiary wyciągano z najprzemysłniejszych kryjówek i mordowano nieszczęsnych od razu na oczach rodziny lub też wleczono po ulicy wśród wycia i

naigrawań tłumu. Od proskrybowanych odsuwali się, niby od zadzumionych, nawet najbliżsi. Ze zgrozą opowiadano o wypadku, kiedy to żona nie otworzyła drzwi mężowi, szukającemu u niej schronienia; opuszczony przez wszystkich popełnił w nocy samobójstwo na progu własnego domu.



Każdego dnia na którejś z kolejnych list proskrypcyjnych mogło się znaleźć nazwisko: Gaius Iulius Caesar. Od roku już był on szczęśliwym ojcem córeczki, która, jak to było w Rzymie zwyczajem, nosiła imię od rodowego nazwiska ojca, zwała się więc Julia. Mimo grozy sytuacji Cezar wolał nie opuszczać miasta, gdzie żyli wszyscy jego najbliżsi. Zresztą italskie góry i lasy bynajmniej nie były bezpieczniejsze. Wszędzie włóczyły się bandy sullanczyków, polujące na podej-



rzanych i po prostu na bogatych. Przyjaciele zawiadomili Cezara, że dyktator, mając na uwadze jego młody wiek, jak również świetność rodu, nie wyciągnie w stosunku do jego osoby żadnych konsekwencji, pod warunkiem jednak, że natychmiast rozwiedzie się z żoną, dając w ten sposób wyraz swej lojalności i chęci zerwania wszelkich związków z popularami. Wskazywano na Gnejusza Pompejusza jako na godny naśladowania przykład zabiegania o łaski dyktatora: choć i tak już wielce zasłużony dzięki swym zwycięstwom nad popularami w Italii, na Sycylii i w Afryce, młody wódz rozwiódł się ze swoją pierwszą żoną tylko dlatego, by poślubić pasierbicę Sulli.

Cezar odmówił.

Odpowiedź była natychmiastowa. Skonfiskowano posag Kornelii i rodzinne dobra Cezara oraz odebrano mu zaszczytny tytuł „flamen Dialis” - kapłan boga Jowisza - który uzyskał za rządów Mariusza. Przyjaciele rodziny nalegali coraz usilniej - Cezar równie stanowczo odmawiał. Następnym krokiem ze strony Sulli mogło być tylko umieszczenie nazwiska Cezara na liście proskrybowanych.

Uprzedzając wyrok śmierci chłopak przebrany w nędzną odzież uciekł nocą z Rzymu. Schronił się w Górach Sabińskich, odległych od miasta o kilkadziesiąt mil. Był chory, wstrząsały nim ataki silnej gorączki. Musiał stale zmieniać miejsce pobytu, okolice bowiem były pilnie przeszukiwane przez sullańczyków. W czasie jednej z nocnych obław żołnierze wyciągnęli z któregoś z domostw wychudłego, rozgorączkowanego chłopca. Choć był zbiedzony i odziany w łachmany, podejrzewali, że nie jest to syn chłopca. Schwytany wyjawił oficerowi swoje nazwisko. Ten zastanawiał się długo, sprawa bowiem nie była prosta. Miał przed sobą zięcia Cynny, bliskiego powinowatego Mariusza. To obciążało poważnie. Chłopak ukrywał się, tym samym więc przyznawał, że jest wrogiem reżymu. Chyba więc należałoby zabić go na miejscu. Ale z drugiej strony nie był on oficjalnie proskrybowany. Jeśli go zabije, kto wypłaci nagrodę?

Szałę tych żołnierskich wątpliwości przeważył pękaty woreczek srebrnych monet. Cezar dał wszystko, co miał przy sobie. Oficer uznał, że brzęcząca gotówka jest lepsza od wątpliwej nagrody. Oddział opuścił dom.

W trzydzieści kilka lat później, kiedy Cezar był wszechwładnym dyktatorem, ów oficer - nazywał się Korneliusz Fagita - żył jeszcze. Ale Cezar nie zażądał od niego zwrotu pieniędzy.

Tymczasem w Rzymie krewni i przyjaciele rodziny Cezara czynili wszystko, by ratować chłopca. Wstawiły się za nim nawet dziewice Westalki - rzecz zrozumiała, bo pochodziły z najświetniejszych domów rzymskich i były wśród nich spokrewnione z rodem Juliuszów. Wstawił się również brat matki, dobrze przez Sullę widziany Aureliusz Kotta. Przedkładano dyktatorowi, że młodzieńki chłopiec politycznie nic nie znaczył, że powoduje nim tylko upór, równie śmieszny, co jego ulubiony, nieco ekstrawagancki sposób ubierania się: tunikę wiązał zawsze zbyt luźno. Po wielu naleganiach dyktator ustąpił, rzucając jednak gniewne ostrzeżenie: „uważajcie na tego źle przepasanego chłopca; siedzi w nim wielu Mariuszów”.



## KRÓL NIKOMEDES

Choć ułaskawiony i przywrócony do majątności, Cezar nie mógł pozostać w Rzymie, pełnym intryg i donosicieli. W ówczesnej sytuacji politycznej nie było tam dlań żadnych możliwości jakiejś szerszej działalności, ku której kierowała go ambicja. Należało w ogóle wyjechać z Italii do którejś z prowincji, by tam zdobywać doświadczenie wojskowe i administracyjne u boku namiestnika, poznawać obce kraje i ludy, zgłębiać tajniki metod rządzenia. Na wielką wojnę zanosilo się wówczas w Hiszpanii, gdzie trzymały się mocno resztki popularów pod wodzą Sertoriusza, byłego oficera Mariusza. Tam jednak Cezar nie mógł się udać w żadnym wypadku, udział bowiem w walce z Sertoriuszem byłby zdradą kierunku politycznego, z którym wiązały go nie tylko koligacje rodzinne, lecz i nienawiść do optymatów.

Pozostawał więc Wschód. Tliły się tam jeszcze niewygasłe ogniska wielkiej wojny z Mitrydatesem. Od lat bohaterski opór stawiało Rzymowi miasto Mytilene na wyspie Lesbos. W roku 88 opowiedziało się ono po stronie Mitrydatesa i wydało mu nawet wodza rzymskiego, który szukał tu schronienia przed zwycięskim pochodem króla Pontu. Choć teraz miasto było zupełnie osamotnione, wciąż odpierało ataki Rzymian. Obleżeniem dowodził ostatnio pretor Marek Minucjusz Termus. Pod jego więc komendą rozpoczął Cezar służbę wojskową. Z racji swego wysokiego urodzenia był w sytuacji uprzywilejowanej, należał bowiem do najbliższego otoczenia i sztabu wodza; trudy, obowiązki i rygory życia obozowego dotyczyły go tylko częściowo.

Wkrótce otrzymał bardzo poważną misję, jak na swój młody wiek i brak doświadczenia. Został wysłany na dwór króla Nikomedesa III, władcy Bitynii, w celu uzyskania okrętów koniecznych dla zamknięcia Mytilene od strony morza. Bitynią zwano pas nadczarnomorskich wybrzeży Azji Mniejszej, od Bosforu na wschód, aż po granice Pontu. Królestwo to nie miało wówczas żadnego znaczenia politycznego. Nikomedes władał od lat wyłącznie z łaski Rzymu, który utrzymywał go na tronie tylko dlatego, by kraju nie opanował Mitrydates, król sąsiedniego Pontu. W tej sytuacji spełnienie zleczonej misji przyszło Cezarowi łatwo. Ale w nieoczekiwany sposób ten pierwszy sukces dyplomatyczny stał się dlań jednocześnie przykrą i kompromitującą porażką osobistą.

Po raz pierwszy w swym życiu Cezar zetknął się w Bitynii z bogatym, starym dworem hellenistycznym. Był to świat zupełnie różny od wciąż jeszcze surowego i prostego sposobu życia w Rzymie, gdzie od wieków wpajany i obowiązującym ideałem była chłopska pracowitość, oszczędność i ofiarność dla sprawy publicznej, wszelki zaś, choćby tylko względny, zbytek i wykwint ściągały powszechną uwagę, zawiść i obmowę. Ale Cezar miał zawsze pełne zrozumienie dla uroków luksusu, lubił wygodę w życiu codziennym, kochał się w pięknych sprzętach i starych,

artystycznych srebrach, które skupywał za drogie pieniądze. Wszystko to - i więcej jeszcze - znalazł na dworze Nikomedesa. Wdzięk i subtelność greckiej myśli i sztuki splatały się tu w sposób dziwaczny ze wschodnim despotyzmem, zamiłowaniem do barbarzyńskiego przepychu, wyuzdaną zmysłowością. W rozkoszach i wspaniałościach tego nieznanego świata smakował z zachwytem.

Ponieważ młody i urodziwy arystokrata rzymski - wysoki, o pięknych, regularnych rysach twarzy, oczach czarnych i pełnych blasku - przebywał w prywatnych apartamentach królewskich długo i często, stary zaś Nikomedes był powszechnie znany jako adorator młodzieńców, rychło rozeszły się po całym dworze ucieszne plotki. W świecie greckim nie przyniosłyby one Cezarowi żadnej ujmy, albowiem zmysłowy podziw dla uroków chłopięcego ciała był tu powszechny i uświęcony dostojną tradycją. Jednakże z dworu bityńskiego plotki przedostały się do rzymskiego obozu pod Mytilene, stamtąd zaś do samej stolicy, gdzie na rzecz patrzano inaczej. Nowy żer plotkom dał fakt, że wkrótce po pomyślnym ukończeniu misji Cezar ponownie udał się do Bitynii, by ściągnąć tam pewne sumy pieniężne, należne komuś z jego podopiecznych. Odtąd przez lat kilkadziesiąt wszyscy wrogowie Cezara mogli kompromitować go w oczach opinii publicznej łatwymi żarcikami w rodzaju: „Oto kochanka Nikomedesa, oto królowa Bitynii”. On natomiast zwalczał te kpiny i oszczerstwa, wkładając wiele wysiłku w zdobycie szerokiej i dobrze uzasadnionej sławy uwodziciela kobiet.

Oba pobyty na dworze wschodniogreckiego monarchy były tylko barwnymi epizodami w surowym i jednostajnym trybie życia obozowego pod Mytilene. Tu oblężenie zbliżało się ku końcowi. Dzięki okrętom Nikomedesa można było skutecznie zamknąć miasto i pod koniec roku 80 przypuścić szturm generalny. Cezar wyróżnił się w walce odwagą, ratując życie jednemu z żołnierzy, za co otrzymał od wodza wysokie i zaszczytne wyróżnienie - wieniec z liści dębowych, zwany „corona civica”. Przyznawano je tym tylko, którzy w bitwie ocalili współobywatela.

Po zdobyciu Mytilene Cezar przeniósł się do floty Publiusza Serwiliusza, który przygotowywał operację przeciwko piratom. Jednym z głównych ich ośrodków były górzyste wybrzeża Cylicji na południu Azji Mniejszej. Zaledwie jednak rozpoczęto pierwsze działania, nadeszła z Rzymu ważna wiadomość.



## BUNT LEPIDUSA

**Już** z początkiem roku 79 Sulla oficjalnie złożył władzę i wszystkie swoje uprawnienia, oświadczając publicznie na Forum, że odtąd jest prywatnym człowiekiem, kto zaś rości sobie doń pretensje, może ich dochodzić na drodze sądowej. Dyktator mógł sobie pozwolić na ten efektowny gest, bo dzięki jego reformom ustrojowym władzę miał senat, gdzie przewodzili optymaci, na straży zaś wprowadzonego porządku stało ponad sto tysięcy weteranów, osiedlonych w wielu

krainach Italii.

Cezar nie mógł nigdy zrozumieć tego kroku Sulli - dobrowolnego wyrzeczenia się władzy i wycofania się z życia publicznego. Mawiał często: „Sulla był głupcem, bo złożył władzę”. Ale dzięki tej rzekomej głupocie były dyktator spokojnie spędził ostatni rok życia w swej pięknej willi nad zatoką neapolitańską, łowiąc ryby i pisząc pamiętniki. Zmarł nagle na atak serca z początkiem roku 78.

Wspaniałość pogrzebu przeszła wszystko, co dotąd Rzym oglądał. Tysiące weteranów eskortowało z Puteoli do Rzymu złożone mary, na których leżały po królewsku przyodziane zwłoki wodza i insygnia jego dyktatorskiej władzy. Senat, wszyscy urzędnicy, kapłani, westalki - oczekiwali na żałobny pochód u bram miasta. Senatorowie przejęli mary i nieśli je przez całe miasto na Pole Marsowe, gdzie chowano tylko najznamienitszych. Po wygłoszeniu uroczystych mów spalono ciało dyktatora na stosie. Kobiety z najświetniejszych rodów rzucały w płomienie wonności.

Ale właśnie ostatni akt tego wspaniałego pogrzebu wskazywał, jak niepewna była sytuacja rządzącego stronnictwa. Sulla wyraźnie polecił w swym testamencie, by jego ciała nie palić, jak to przeważnie praktykowano w Rzymie, lecz pogrzebać - taki bowiem zachowywano zwyczaj w jego rodzie. Senat jednak postanowił inaczej. Obawiano się, by ciało Sulli nie zostało kiedyś tak zbezczeszczone jak zwłoki Mariusza. Zwycięscy żołnierze sullańscy wywlekli z grobu i włożyli po ulicach szczątki człowieka, który ocalił Rzym przed germańskim najazdem i siedem razy piastował godność konsula.

W roku śmierci i pogrzebu Sulli konsulem był Marek Emiliusz Lepidus. Już w czasie swej kampanii wyborczej ten ambitny arystokrata wygłaszał demagogiczne mowy do mieszkańców Italii wyzutych przez Sullę z majątków i do synów proskrybowanych, których pozbawiono ojcowizny oraz wszelkich praw politycznych. Nie wspominał jednak w swych pełnych patosu przemówieniach o tym, że on sam był jednym z najbezwzględniejszych pomocników dyktatora i zagarnął liczne majątki jego ofiar. Lepidus żywił nadzieję, że przy poparciu popularów uda mu się wznieść wielki ruch wszystkich przeciwników panującego ustroju i objąć samemu najwyższą władzę. Miejsce dyktatora optymaty zająłby dyktator z ramienia popularów.

Gorliwym stronnikiem Lepidusa stał się młody Cynna, brat żony Cezara. Na skutek pośmiertnego proskrybowania ojca Cynna został pozbawiony rodzowego majątku i praw politycznych. Jedyłą szansę odzyskania utraconej fortuny upatrywał zatem w obaleniu istniejącego stanu rzeczy. Zarówno Lepidus, jak i Cynna liczyli na przystąpienie do ich ruchu Cezara, którego nazwisko mogło wiele znaczyć: był przecież spowinowacony i z Mariuszem, i z Cynną, jego zaś odwaga cywilna zyskała mu już pewien rozgłos i sympatie szerokich mas.

Kiedy jednak Cezar, znęcony roztoczonymi przed nim perspektywami, przybył do Rzymu, rychło doszedł do wniosku, że cały plan Lepidusa jest z góry skazany na niepowodzenie. Ludność Italii była zmęczona i strwożona ciągłymi przewrotami,

większość wolała przezornie oczekiwać, kto będzie górą, i nie angażować się po żadnej stronie. Optymaci kontrolowali całą administrację i mieli w swym ręku regularną armię. Po ich stronie stał Pompejusz. Tylko w niektórych rejonach Italii, szczególnie dotkniętych sullańskimi konfiskatami ziemi, Lepidus mógł liczyć na zwolenników. Tak było w Etrurii. Co najważniejsze jednak, sam Lepidus nie stał na wysokości zadania; jego ambicje stanowczo górowały nad zdolnościami wodza i męża stanu.

Cezar odsunął się od całej sprawy. Najbliższe miesiące wykazały, że uczynił słusznie. Armia Lepidusa została rozbita w czasie próby marszu na Rzym, on sam zmarł już w roku następnym na Sardynii, gdzie przeprowadził się z resztkami oddziałów. Jego stronnicy, wśród nich i szwagier Cezara, uciekli do Hiszpanii pod opiekę Sertoriusza.

Skoro ta sposobność obalenia wrogiego reżymu i szybkiego dojścia do politycznego znaczenia okazała się złudna, należało próbować normalnej drogi zyskania popularności. Było zwyczajem, że młody Rzymianin, pragnący dać się poznać jako mówca i polityk, podejmował jakąś sprawę sądową. W ten sposób dokumentował swoje zainteresowanie sprawami publicznymi, umiejętności krasomówcze, znajomość prawa - więc wszystkie te dane, których ówczasie wymagano od męża stanu. Oczywiście należało wytoczyć sprawę możliwie skandaliczną i dotyczącą znanych osobistości, bo tylko w ten sposób zdobywało się rozgłos.

Cezar oskarżył Gnejusza Dolabellę, byłego konsula i triumfatora, o nadużycia popełnione w czasie sprawowania namiestnictwa nad prowincją Macedonią. Sprawa była zupełnie jasna, wiele miast greckich złożyło obciążające świadectwa i zeznania, Cezar, posiadający wrodzony dar wymowy, zabłysnął jako świetny mówca, lecz Dolabellę trybunał uznał za niewinnego. Było to zresztą z góry do przewidzenia. Ustawy Sulli oddawały sądownictwo całkowicie w ręce senatu, ten zaś składał się wyłącznie z sullańczyków. Dolabella był również sullańczykiem. Cezar zyskał tyle, że rozwścieczony starzec miotał nań publicznie wyzwiska ku uciesze gawiedzi, nazywając gobityńską kurtyzaną i spodnią deską królewskiego łoża.

Ale już sam rozgłos sprawy był sukcesem. Dlatego w roku następnym Cezar oskarżył Gajusza Antoniusza, który dowodząc oddziałem jazdy złupił za czasów Sulli wiele miast Grecji. Trybunał, któremu przewodził pretor Marek Lukullus, uznał roszczenia Greków za całkowicie uzasadnione. Antoniusz uniknął skazania tylko dzięki zastosowaniu przez obronę pewnego kruczka prawnego.

Jednakże popularność i opinia dobrego mówcy, jakie zyskał sobie w Rzymie dzięki obu oskarżeniom, raczej tylko zmniejszyły szanse Cezara szybkiego zdobycia politycznego znaczenia. Ciągnąc przed sąd dwu wybitnych sullańczyków naraził się całemu panującemu stronnictwu i zadeklarował się jako zdecydowany wróg optymatów. Konstytucja sullańska była zaś tak pomyślana, że senat mógł łatwo obezwładniać swych przeciwników i z góry odbierać im możliwość poli-

tycznej działalności. W tym stanie rzeczy dalsze pozostawanie w Rzymie było bezcelowe. Po stłumieniu rewolty Lepidusa optymaci byli silniejsi niż kiedykolwiek. Cezar uznał, że będzie najrozsądniej na jakiś czas usunąć się ze stolicy i przeczekać niepomyślną aurę gdzieś na dalekiej prowincji.

Zimą roku 75/4 wyjechał z Rzymu znowu na Wschód, na wyspę Rodos, by tam - jak głosił wokół - pogłębić swoje studia retoryczne w szkole sławnego nauczyciela wymowy, Molona; uczył się u niego wcześniej Cynceron.



## PIRACI

Cezar zawsze doceniał znaczenie osobistych wygod i pewnego wykwinu, nawet w czasie podróży. I teraz więc, w tej drugiej podróży na Wschód, towarzyszyło mu, jak przystało na wielkiego pana, wielu niewolników i kilku przyjaciół. By przepłynąć do Azji Mniejszej, a później na Rodos, trzeba było wynająć w jednym z portów greckich cały okręt. Ta wielka świta i wystawność otoczenia Cezara zwróciły uwagę pirackich szpiegów, od których roilo się wówczas we wszystkich miastach nadmorskich. Piraci byli wciąż właściwymi panami Morza Śródziemnego. Mnogość wysp i wrzynających się w górzyste wybrzeża zatok, jak również i sympatie mieszkańców wielu krain zapewniały im swobodną żeglugę, ułatwiały nagłe napady i w razie potrzeby dawały bezpieczne kryjówki.

Okręt płynął wśród wysp Morza Egejskiego, kierując się ku Azji Mniejszej, by stamtąd pożeglować wzdłuż jej wybrzeży ku Rodos. Starożytni tak właśnie podróżowali morzem: starano się nigdy nie tracić z oczu lądu. Kiedy okręt znalazł się już w pobliżu Miletu, koło wysepki Farmakussa, niespodziewanie pojawiła się wielka flotylla piracka. Wobec ogromnej przewagi wroga nie mogło być nawet mowy o obronie. Ale nie było też i potrzeby rozlewu krwi. Piratom chodziło jedynie o odpowiedni okup za znakomitego Rzymianina. Pozwolono więc Cezarowi rozesłać wszystkich prawie niewolników do okolicznych miast greckich, by tam zbierali pieniądze. Cezar pozostał z dwoma tylko pokojowcami i przybocznym lekarzem. Panami jego życia byli zbiegli niewolnicy, zrujnowani chłopci, dezertrzy z czasów ubiegłej wojny z Mitrydatesem, wreszcie i zwykli przestępcy. Dla dumnego arystokraty rzymskiego była to sytuacja bardzo upokarzająca. Ale okazywanie wyniosłości i dumne odosobnianie się mogło ją tylko pogorszyć, dając piratom okazję do naigrawań i kpin. Cezar okazywał więc zupełną beztroskę, łatwość i bezpośredniość obejścia, traktując otaczającą go bandę niemal jak równych sobie. Całymi dniami grał z piratami w kości i prowadził długie rozmowy, życzliwie zapewniając towarzyszy gry, że gdy tylko odzyska wolność, zgotuje im piękną śmierć na krzyżu. Pogróżki poczytywano za dobry żart, wiadomo bowiem było, że chłopak nie rozporządza żadną siłą wojskową i w ogóle nie jest urzędnikiem. A piraci radzili sobie, jak dotąd, z całymi flotami i legionami rzymskimi.

Tak zbiegło prawie 40 dni. Wreszcie nadeszła wiadomość z Miletu, że okup już zebrany. Była to suma ogromna, bo aż 50 talentów. Wymiana miała nastąpić na wybrzeżu. By uniknąć nowego porwania, Cezar przezornie kazał piratom wysłać wpierw zakładników. Uwolniony przybył w nocy do Miletu. Nie odpoczywając ani chwili zażądał od mieszkańców natychmiastowego wystawienia i obsadzenia ochotnikami wszystkich okrętów, które stały w porcie. Sam stanął na czele tej zaimprovizowanej floty i bezzwłocznie, tej samej jeszcze nocy, wypłynął na morze. Zaskoczył niczego nie spodziewających się piratów przy tejże wysepce, gdzie wczoraj jeszcze trzymano go w niewoli. Atak był tak niespodziewany, że tylko nielicznym okrętom udało się w ogóle wypłynąć na morze i ujść. Kilka broniących się zatopiono, resztę zaś zdobyto bez walki. Prawie wszyscy wczorajsi towarzysze gry stali się jeńcami Cezara. Skutych w kajdany zawiódł do więzienia w mieście Pergamon, skąd sam udał się do namiestnika prowincji, do którego wyłącznej kompetencji należało wydanie wyroku śmierci. Namiestnikiem był wówczas Junkus Silanus. Przebywał on właśnie w znanej już Cezarowi Bitynii, albowiem król Nikomedes zmarł w tymże roku i w testamencie zapisał swoje królestwo ludowi rzymskiemu. Junkus zajęty był obejmowaniem tego dziedzictwa. Cezar przedstawił mu całą sprawę i zażądał - jak to było zwyczajem - ukarania piratów śmiercią krzyżową. Ale Junkus, powodowany częściowo zawiścią, częściowo zaś zwykłą chciwością, najpierw zwlekał, później zaś wprost odmówił. Do Pergamonu wysłał polecenie, by piratów sprzedać jako niewolników. Wyprzedził posłańca Cezar. Naczelnikowi więzienia przekazał rzekomy ustny rozkaz namiestnika: wyrok śmierci na piratach ma być wykonany natychmiast. Gdy posłaniec z listem Junkusa wjeżdżał do miasta, piraci wisieli już rzędem na krzyżach.

Teraz dopiero Cezar udał się na Rodos. Ta urocza wyspa była przez trzy ubiegłe wieki jednym z najbogatszych państw greckich, potęgą morską, czerpiącą ogromne zyski z żeglugi i handlu pośredniczącego. W owych czasach świetności wzniesiono przy wejściu do portu jeden z cudów starożytnego świata - olbrzymich rozmiarów brązowy posąg boga słońca, Heliosa. Trzęsienie ziemi zważyło olbrzyma już w kilkadziesiąt lat po wystawieniu, lecz strzaskane członki i części, przy których ludzie wydawali się karłami, przez wiele jeszcze wieków budziły podziw zwiedzających. Choć w czasach Cezara kupiecka republika mocno podupadła, to jednak formalnie stanowiła ona wciąż jeszcze niezależne państwko, związane z Rzymem osobnym traktatem sojuszniczym. Łagodny klimat i urok starego, cichego miasta, z którego uciekło już życie, pozostawiając tylko skamienieliny pięknej architektury, ściągały do tej starożytnej Wenecji wielu rzymskich arystokratów i bogaczy. Rodos stała się modną miejscowością wypoczynkową. Snobistycznych walorów dodawały jej istniejące tu sławne szkoły krasomówstwa. Pod pozorem studiów retorycznych można było urządzić się na Rodos bardzo przyjemnie i wytchnąć od targających nerwy intryg i przewrotów nadtybrzańskiej stolicy.

Ale studia Cezara nad tajnikami sztuki wymowy trwały ledwie kilka miesięcy.

Niespodziewanie z końcem roku 74 nadeszły z pobliskiej prowincji Azji alarmujące wieści. Król Pontu Mitrydates - ten sam, którego kilkanaście lat przedtem pokonał Sulla - wszczął znowu działania wojenne przeciw Rzymowi. Czuł się zagrożony objęciem przez Rzymian spadku po Nikomedesie, już bowiem od dawna rościł sobie pretensje do Bitynii. Pierwsze oddziały pontyjskie wdarły się szybko i głęboko w rzymską prowincję. Pograniczne miasta, zamieszkane przez ludność grecką, zajęły stanowisko wyczekujące. Do rządów rzymskich były zrażone nadużyciami namiestników i bankierów, miały jednak w pamięci tragiczne doświadczenia ubiegłej wojny. Odpowiedziały wówczas od razu na wezwanie Mitrydatesa, w jednym dniu wymordowując wszystkich Rzymian i Italików, za co - po ostatecznym zwycięstwie Rzymu - spotkała je surowa kara. Gdyby i tym razem udało się Mitrydatesowi zyskać ich poparcie, mogła się powtórzyć sytuacja z roku 89, kiedy to armia króla Pontu opanowała i Azję Mniejszą, i Środkową Grecję.

W tym stanie rzeczy wiele zależało od zdecydowanej postawy sił rzymskich już w rejonach granicznych. Ale na Wschodzie nie było wówczas żadnych większych jednostek wojskowych, namiestnicy zaś, odpowiedzialni za bezpieczeństwo swych prowincji, okazali się ludźmi nieudolnymi. Zajmowało ich tylko i wyłącznie możliwie szybkie zabicie osobistego majątku.

Na pierwszą wiadomość o wtargnięciu wojsk Mitrydatesa Cezar opuścił Rodos i przerzucił się do zagrożonych miast Azji równie szybko i zdecydowanie jak wówczas, gdy ścigał piratów lub wyprzedzał posłańca namiestnika. Co prawda był tylko młodym człowiekiem, nie piastował żadnego urzędu i nikt go nie upoważnił do podejmowania jakichkolwiek działań. Nie mając tego autorytetu, jaki daje wiek i wysoka godność, działał jednak energicznie i sprawnie, nie pozwalając nikomu na chwilę wahania i wątpliwości. Skupił wokół siebie wszystkie drobne oddziały i garnizony rzymskie, pomnożył je o ochotników i na czele tej zaimprovizowanej armii zaatakował korpus Mitrydatesa, nie spodziewający się żadnego oporu. Zaskoczony przeciwnik nie miał nawet czasu na zorientowanie się, z jak słabymi siłami ma do czynienia. Po pierwszej porażce armia pontyjska od razu wycofała się z granic rzymskiej prowincji. Miasta greckie opowiedziały się natychmiast po stronie silniejszego. Sytuacja była na razie uratowana dla Rzymu.

W tym właśnie momencie ze stolicy nadeszła wiadomość, że zmarł brat matki Cezara, były konsul Aureliusz Kotta, i że na miejsce opróżnione przezeń w kolegium pontyfików wybrano Cezara. To pradawne kolegium kapłańskie składało się z piętnastu dożywotnio wybieranych członków i sprawowało nadzór nad religijnymi kultami republiki, co dawało też pewien pośredni wpływ na bieg spraw politycznych. Swoją wyprawę zawdzięczał Cezar pokrewieństwu z Aureliuszem Kottą, ale też i pewnej popularności, jaką zyskał sobie wśród ludności Rzymu dzięki obu śmiałym oskarżeniom.

Dla oficjalnego objęcia zaszczytnej godności należało stawić się w Rzymie osobiście. Ponieważ sprawa dalszych działań przeciw Mitrydatesowi należała do kompetentnych władz i ciężka machina przygotowań wojskowych była już w



ruchu, Cezar spokojnie opuścił swój dobrowolny posterunek w Azji i możliwie spiesznie zdążył do stolicy. Najniebezpieczniej zapowiadała się przeprawa morzem. Wieść o losie, jaki Cezar zgotował piratom, którzy go schwytali, z całą pewnością od razu rozeszła się po całym ich dobrze zorganizowanym państwie. Na morskich szlakach, którymi musiał płynąć w kierunku Italii, mogły już czatować korsarskie floty. By ominąć możliwą zasadzkę, przez Morze Adriatyckie przeprowadzał się nie jak zwykle w miejscu, gdzie cieśnina jest najwęższa, lecz właśnie poprzez całą szerokość. Pragnąc zyskać na czasie płynął w dużej łodzi o dwu parach wiosł, z dziesięciu tylko niewolnikami. Już blisko brzegu ujrzano przed sobą cały las masztów. Nikt się nie łudził - to mogły być tylko okręty pirackie. Cezar, zdecydowany na wszystko, zrzucił odzienie, do uda zaś przywiązał sztylet. Gotów był ratować się wpław lub popełnić samobójstwo. Ale w tymże momencie ów las masztów okazał się prawdziwym lasem zeschniętych drzew nadbrzeżnych.



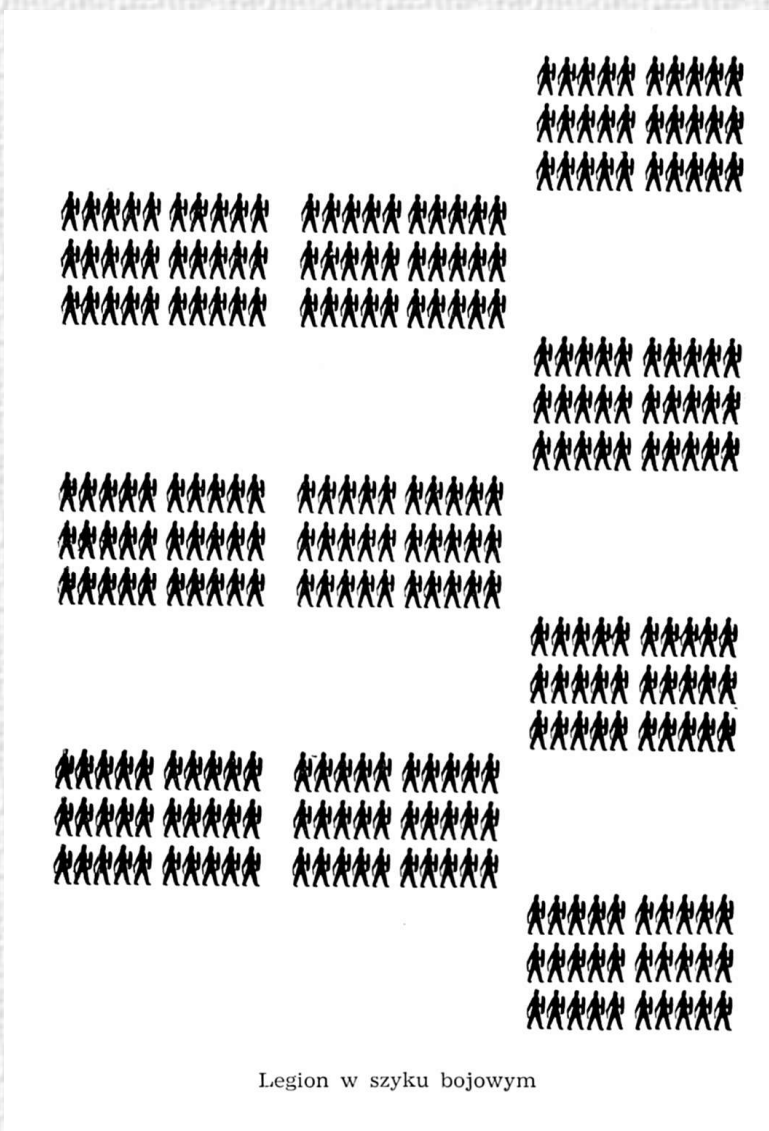
## POMPEJUSZ I KRASSUS

**W** Rzymie zastał Cezar dziwną sytuację - bezwładności obu stronnictw. Optymacy sprawowali wprawdzie kontrolę nad całą administracją i naczelnymi organami, byli jednak zżarci wewnętrznymi rozgrywkami i brakiem jakiegokolwiek koncepcji politycznej. Konstruktynego programu brakło również ich przeciwnikom, popularom, ci jednak wygrywali na wszelkich błędach rządzącego stronnictwa, zyskując sobie łatwy posłuch i poklask wśród tłumów. Nie mieli jednak prawie żadnych możliwości legalnej walki z optymatami, albowiem ustawy Sulli odebrały niemal wszystkie uprawnienia trybunom ludowym, którzy byli głównym narzędziem rozpraw z tyranią senatu i urzędników.

Nawet groza aż trzech jednocześnie wojen nie zmieniła nic w owej sytuacji wewnętrznej. Na Wschodzie walczyło z Mitrydatesem i popierającym go królem Armenii; w Hiszpanii Pompejusz od lat nie mógł się uporać z Sertoriuszem, który zorganizował tu jakby udzielne państwo; wreszcie i w samej Italii wybuchło w roku 73 wielkie powstanie niewolników pod wodzą Spartakusa. Szeregi powstańców rosły jak lawina. Po pierwszych zwycięstwach nad oddziałami wojsk regularnych liczba ich wynosiła już ponad sto tysięcy. Wodzowie rzymscy byli bezradni. Po dwu latach walk wiele krain Italii znalazło się pod faktyczną władzą niewolników. Jedynie niezgoda i rozłam w armii Spartakusa umożliwiły nowo mianowanemu wodzowi, wzbogaceniemu na proskrypcjach i nie zawsze czystych machinacjach pretorowi Markowi Krassusowi, stopniową likwidację rozproszonych oddziałów. W jednej z ostatnich bitew padł po bohaterskiej obronie sam Spartakus. Resztki uciekających na północ niewolników zostały wychwycone przez armię Pompejusza, który wreszcie, po pokonaniu Sertoriusza zdradą, wracał w roku 71 do Italii. Tysiące pojmanych zawisło na krzyżach.

Właśnie w tych latach, gdy rzymskie legiony toczyły ciężkie walki na kilku

frontach, Cezar nie opuszczał stolicy i zajmował się wyłącznie sprawami polityki wewnętrznej. Skłoniły go do tego poważne względy. Zakłócenia w normalnym rytmie życia gospodarczego i różnorakie trudności, nieodłączne od każdej wojny, spowodowały, jak to zwykle bywa w takich wypadkach, wzburzenie i rozgoryczenie ludności. Przyczynę każdego niepowodzenia w operacjach wojskowych i każdego wzrostu cen na rynku upatrywano w nieudolności i korupcji rządzącego stronnictwa optymatów. Ułatwiało to, rzecz prosta, agitację odsuniętym od władzy popularom.



W tej sytuacji Cezar bez większych trudności uzyskał wybór na stanowisko trybuna wojskowego, czyli wyższego oficera legionu. Według starej praktyki rzymskiej część trybunów wojskowych corocznie mianowali wodzowie, część zaś wybierało zgromadzenie ludowe. Sukces przyszedł łatwo, ale rzeczywista korzyść polityczna nie była wielka. Urząd ten nie dawał w życiu państwowym żadnych uprawnień, nie stanowił nawet wstępu do normalnej kariery urzędniczej. W armii też znaczył niewiele, trybun bowiem - służyło ich sześciu przy każdym legionie - był ostatecznie tylko wykonawcą rozkazów dowódcy. Tak więc poza pewną satysfakcją osobistą, że wyborcy oddali głosy właśnie na niego, a nie na współbiegających się, Cezar w istocie nic nie zyskał.

Będąc związany z popularami zarówno koligacjami rodzinnymi, jak i nadziejami na przyszłość, popierał z całą energią hasła i żądania wysuwane przez ich ówczesnych przywódców. Osobiście był szczególnie zainteresowany w przeprowadzeniu ustawy zezwalającej na powrót do Rzymu uczestników niedawnej rebelii Lepidusa, w której sam omal nie wziął udziału: wśród skazanych na wygnanie znalazł się przecież młody Cynna, brat Kornelii. Na jednym z wieców zorganizowanych dla przeforsowania ustawy Cezar wygłosił mowę - jedną ze swych pierwszych wielkich mów politycznych. Ostatecznie ustawa przeszła, ale nie tyle na skutek wysiłków popularów, ile po prostu dlatego, że sami optymaci nie

mieli żadnych istotnych powodów stawiania w tym wypadku oporu. Aktualna sytuacja państwa wymagała właśnie zjednoczenia wszystkich sił. Pozwolenie wygnanym na powrót nie uszczuplało w niczym praw i pozycji rządzącego stronnictwa, mogło zaś uchodzić za akt łaski i łagodności.

Zgoła inaczej miała się rzecz z zasadniczym żądaniem popularów: przywrócenia trybunom ludowym wszystkich uprawnień, których przed dziesięciu laty pozbawił ich Sulla. Urząd trybunów ludowych był od początku istnienia republiki zarówno puklerzem ludu przed uciskiem i nadużyciami ze strony możnych, jak też i bronią w walce o zrównanie polityczne wszystkich obywateli. Od czasu działalności obu braci Grakchów trybunat ludowy stał się najpotężniejszym środkiem propagandy i reformatorskich poczynań stronnictwa popularów. Pozbawieni tego oręża popularzy niewiele mogli zdziałać, nie mieli bowiem możliwości nawet zwoływania legalnych zgromadzeń ludowych.

Dlatego też odkąd tylko zelżał terror sullańczyków, w Rzymie niemal bez przerwy odbywały się wiece i demonstracje, w czasie których żądano przywrócenia trybunatu.

Cezar brał bardzo aktywny udział we wszystkich tych poczynaniach i popierał walczących o swe prawa trybunów ludowych jak najgoręcej. On sam co prawda nie mógłby, jako patrycjusz, w żadnym wypadku sprawować tego urzędu. Żywił jednak nadzieję, że jeśli uda mu się przeforsować to tak drogie ludowi rzymskiemu żądanie, znaczna część chwały przypadnie właśnie jemu, przyda mu popularności i ułatwi dalszą karierę polityczną.

Te piękne plany Cezara zostały obrócone wniwecz na skutek niespodziewanej zmiany w układzie sił wewnętrznych. Trybunat ludowy przywrócono, ale cała zasługa i sława przypadły komu innemu.

W roku 71 Marek Krassus i Gnejusz Pompejusz rozpoczęli starania o wybór na urząd konsulów na rok 70. Choć obaj należeli do najbliższych współpracowników zmarłego dyktatora i oddali sprawie optymatów ogromne usługi - ostatnio pierwszy z nich stłumił powstanie Spartakusa, drugi zaś pokonał Sertoriusza - senat zajął wobec ich starań stanowisko zdecydowanie wrogie. Istotnym powodem takiej postawy była obawa optymatów przed zbyt dużym wzrostem znaczenia obu wodzów. Lękano się, by ów konsulat nie przerodził się w dwugłową dyktaturę. Jako przyczynę odmowy podawano jednak oficjalnie, że i Krassus, i Pompejusz nie mogą ubiegać się o ten najwyższy w republice urząd z powodów wyłącznie formalnych. Dotyczyło to w szczególności Pompejusza, który nie sprawował dotąd żadnej z normalnych niższych godności.

Pompejusz i Krassus dotychczas byli sobie raczej niechętni. Jednakże w tej sytuacji doszli łatwo do porozumienia. Wspólnie nawiązali kontakty z popularami. Ci zaofiarowali im od razu pomoc, tj. swoje głosy w czasie wyborów, pod warunkiem jednak, że przyszli konsulowie zobowiążą się znieść najbardziej ciężące reformy Sulii, w szczególności zaś wszelkie ograniczenia władzy trybuńskiej.

Senat okazał się zupełnie bezsilny wobec wspólnej akcji obu wodzów i

popularów. Pompejusz i Krassus zostali wybrani konsulami i zaraz na początku urzędowania zrealizowali obietnice złożone sojusznikom politycznym. Trybunowie ludu odzyskali dawne przywileje. Co prawda rychło też odżyły dawne urazy i zawiści między obu konsulami; reszta roku zeszła na bezpłodnych sporach między nimi.

Tak więc złośliwość i przekora losu, prześladowające Cezara od lat, sprawiły i tym razem, że wszystkie wysiłki poszły na marne. Gorzkie doświadczenie pierwszej porażki politycznej pouczyło jednak młodego człowieka, jak pożyteczne bywają alianse nawet z ludźmi, których się nie lubi, i jak ważna dla polityka jest umiejętność zdradzania w porę własnych ideałów.



## GENS IULIA

**Z**arówno w tych, jak i w następnych latach Cezar skarbił sobie popularność na wszelki sposób, nie tylko drogą działalności politycznej. Wydawał częste, wspaniałe przyjęcia, na które zapraszał ludzi z różnych warstw i z różnych kręgów społecznych. Starał się zawierać jak najwięcej znajomości i zjednywać sobie wpływowych przedstawicieli wszelakich zrzeszeń i korporacji ludowych przystępnością i bezpośredniością. Wygłaszał przed trybunałami mowy obrończe, wyrabiając sobie opinię dobrego mówcy, wielkodusznego obrońcy skrzywdzonych, śmiałego oskarżyciela nawet najmożniejszych.

Wszystkie te zabiegi, choć nie bez znaczenia na dalszą metę, nie mogły jednak przynieść szybkich i olśniewających sukcesów. W Rzymie zresztą działało wówczas wielu młodych, zdolnych, przedsiębiorczych polityków, którzy w walce o karierę zyskiwali sobie łaski wyborców co najmniej równie skutecznie, jak i Cezar. Bo choć był on znakomitym mówcą, nie mógł przecież równać się z Cyncerem, który właśnie w roku 70 odniósł wspaniały triumf, oskarżając Werresa, byłego namiestnika Sycylii, o straszliwe zdzierstwa i nadużycia. A choć Cezar starał się żyć na wysokiej stopie i dom jego był zawsze otwarty, nie mógł przecież ani w przybliżeniu mierzyć się z majątkiem o kilka tylko lat starszego Marka Krassusa. Dochody z posiadłości ziemskich Cezara, jego dóbr rodowych i wniesionych mu w posagu przez Kornelię, nie wystarczały na koszty polityki i wykwintnego życia. Dlatego też z każdym rokiem rosły długi i proporcjonalnie do nich pewne lekceważenie w kołach poważnych, wpływowych polityków. Na owo lekceważenie wpływała też i zbytnia, jak na surowy Rzym, dbałość Cezara o wygląd zewnętrzny. Tu nie było w zwyczaju, by początkujący mąż stanu układał fryzurę tak starannie, że - jak zauważył złośliwy Cynceron - bał się jej palcem dotknąć, aby nie zburzyć.

Nie stanowiło więc żadnego szczególnego i godnego uwagi sukcesu, że w trzydziestym drugim roku życia Cezar osiągnął pierwszy stopień rzymskiej kariery urzędniczej: został kwestorem, czyli jednym z dwudziestu urzędników mających pieczę nad skarbem państwa. Godność sama przez się mało znacząca, ważna była o

tyle, że od czasów Sulli każdy były kwestor stawał się automatycznie członkiem senatu, czyli tego czynnika ustrojowego republiki, którego autorytet rozciągał się na wszystkie dziedziny życia państwowego Rzymu i który decydował w zasadzie o każdej istotniejszej sprawie.

Właśnie w roku kwestury Cezara - był to najprawdopodobniej rok 68 - zmarła siostra jego ojca a żona wielkiego Mariusza, Julia. Jej pogrzeb przygotował Cezar w ten sposób, by stał się on jednocześnie manifestacją wielkości rodu Juliuszów i świadectwem jego osobistego przywiązania i wierności dla tradycji popularów. Było w Rzymie odwiecznym zwyczajem, że jeśli zmarły uchodził za wybitną osobę i należał do wielkiego rodu, kondukt pogrzebowy przeciągał ulicami miasta i zatrzymywał się na Forum. Najbliższy krewny wygłaszał tam z trybuny uroczystą mowę, sławiąc postać i zasługi odchodzącego. Przez całe też miasto, aż na miejsce, gdzie zwłoki palono lub chowano w grobowcu, towarzyszył im osobliwy pochód: dziesiątki osób w woskowych maskach, oddających dokładnie rysy przodków zmarłego, bo zdejmowanych bezpośrednio po śmierci. Przybrani w maski mieli też szaty i insygnia godności, sprawowanych niegdyś przez tych, których przedstawiali. Tak więc cały ród, umarli i żywi, odprowadzał zmarłego do grobowca, przypominając zarazem Rzymowi swoją wspaniałą przeszłość i zasługi dla ojczyzny.

I teraz tłumy zebrane na ciasnych uliczkach i wokół mównicy na Forum w milczeniu, jak przystało, patrzyły na defilujące przed nimi, w kolejności od najstarszych, postacie wielkich i sławnych przodków zmarłej, należących do rodu Juliuszów. Nagle rozległy się pojedyncze okrzyki oburzenia, wnet zagłuszone wielką, powszechną wrzawą radości i aprobaty. Tuż przed marami zmarłej szła postać w masce i z wszystkimi insygniami godności jej męża - Mariusza. Po raz pierwszy od czasów dyktatury Sulli ujrzano na ulicach Rzymu podobiznę zwycięzcy Jugurty i Germanów, prześladowcy optymatów.

Mowa Cezara na Forum sławiła nie tyle Julię, ile jej ród - więc ród samego Cezara. Wywodził go od dawnych królów rzymskich i od bóstw nieśmiertelnych, mianowicie od samej Afrodyty. Jej bowiem synem miał być trojański książę Eneasz, którego losy zagnały po upadku Troi aż do Italii, do Lacjum. Tu syn Eneasz, Julus, założył na krawędzi góry, okalającej krystalicznie czyste jezioro, święte miasto Latynów - Alba Longa, które z kolei dało początek Rzymowi.

W ustach człowieka tak silnie związanego z popularami mogły dziwić te słowa pełne nieposkromionej pychy rodowej. Ale w Rzymie starożytność i świetność rodu stanowiły zawsze powód dumy i przedmiot podziwu. A pycha i ambicja z pewnością nigdy nie były obce Cezarowi. Dlatego też, kiedy dwadzieścia lat później stał się on panem i władcą Rzymu, wielu współczesnych podejrzewało, że ma zamiar przywdziać diadem królewski i wstąpić na tron. Kto wie, czy nie przypomniano sobie wówczas owego ustępu z mowy ku czci Julii. Te właśnie podejrzewania miały kosztować Cezara życie. Nauczony tym doświadczeniem spadkobierca Cezara, Oktawian, tworząc podwaliny nowej formy ustrojowej -

cesarstwa, przezornie unikał wszelkich tytułów i oznak, kojarzących się w jakikolwiek sposób z tak znienawidzonym w Rzymie jedyno-władztwem. Przeciwnie, starał się podtrzymać fikcję istnienia republiki. Ale i Oktawian nie zrezygnował z wielkiej legendy rodu Juliuszów. Z jego to właśnie inspiracji ta legenda stała się kanwą najpiękniejszego utworu, jaki kiedykolwiek napisano w języku łacińskim - wielkiej epepei, sławiącej w dźwięcznych, harmonijnych heksametrach czyny i postać Eneasza, syna Afrodyty, protoplasty rodu Juliuszów.

Czyniąc z pogrzebu Julii wielką manifestację dla celów politycznych Cezar nie przypuszczał, że jeszcze w tym samym roku stanie na mównicy na Forum, by znowu wygłosić mowę pogrzebową. Zmarła jego młoda żona, Kornelia. Surowy obyczaj rzymski nie pozwalał na wygłaszanie mów w czasie ceremonii pogrzebowych tak młodych kobiet. Mimo to Cezar złożył publicznie hołd pamięci kobiety, która była matką jego jedyne dziecko.



## GADES

Głównym miastem prowincji zwanej Hiszpanią Dalszą, a obejmującej zachodnie, nadatlantyckie krainy Półwyspu Iberyjskiego, było Gades - dzisiejszy Kadyks. Położone pięknie i obronnie zarazem na wyspie u ujścia rzeki Betis (Guadalkwiwir), słynęło jako wielki port, w którym zbiegały się drogi morskie wiodące z Morza Śródziemnego ku zachodnim wybrzeżom Europy i Afryki. Miasto nie imponowało wielkością, ale w ciasnocie murów wrzało życiem barwnym i rojnym. Spotykały się tu prawie wszystkie ludy, języki i kultury ówczesnego świata. Dumni, wojowniczy Iberowie z wnętrza półwyspu; śniadzi, zdradzieccy Maurowie i Numidowie z sąsiedniej Afryki; wysocy, jasnowłosi Celtowie z Galii i z Brytanii; drobni, ruchliwi, bystrzy i inteligentni Grecy, konkurujący z zamożnymi, chytrymi kupcami punickimi, dawnymi panami miasta. Wszyscy jednak musieli ustępować coraz to liczniejszemu i coraz pewniejszemu sobie, energicznemu i bezwzględniemu przybyszom z Italii. Każdy okręt, których dziesiątki co dzień zawijały do portu, przynosił ze sobą jakby oddech dalekich przestrzeni i nieznanymi światów.

Wiosną roku 67 przybył do Gades Cezar. Już prawie rok bawił w Hiszpanii Dalszej. Przyjechał tu, by w myśl obowiązujących przepisów jako były kwestor służyć pomocą namiestnikowi prowincji. Zlecono mu funkcje sędziego objazdowego dla rozstrzygnięcia na miejscu spraw i sporów mniejszej wagi. Procesy poważne toczyły się przed samym namiestnikiem. Tak więc przez kilka miesięcy Cezar objeżdżał miasta i miejsciny położone wśród gajów oliwnych i winnic w rozległych dolinach rzek lub też przytulone do ostrych, skalistych masywów górskich. Dzień po dniu wysłuchiwał drobnych skarg małych ludzi o zagrabione ziemie lub o nie zwrócone w terminie pożyczki. Po latach zgiełku i nerwowego napięcia w Rzymie był to w pewnym sensie odpoczynek i Cezar powoli poddawał się sennej

atmosferze dalekiej prowincji, gdzie pozornie nic się nie działo i gdzie żaden dzień nie przynosił wieści o groźnej intrydze politycznej lub o nowym skandalu towarzyskim.

Przebudzenie nastąpiło w Gades. Po spokoju i ciszy małych miast wnętrza półwyspu ten pulsujący życiem port zdawał się wielką metropolią i nieodparcie wiodł myśli i wyobraźnię ku egzotycznym i pełnym wielkich obietnic krainom, leżącym gdzieś na krańcach świata. Cezar krążył po ulicach, chłonąc nieświadomie wrażenia i podniety, płynące od różnojęzycznego, kolorowego tłumu, który zdawał się przybywać z baśniowych wysp bezkresnego Oceanu. Aż na te wyspy miał dotrzeć Herakles podczas swych legendarnych wypraw na Zachód - po stado krów Geriona i po złote jabłka z ogrodu Hesperyd. Ku wiecznej pamięci owych nadludzkich czynów ustawił wówczas u wejścia do Morza Śródziemnego dwie ogromne skały, które odtąd wszyscy zwali słupami Heraklesa. W samym mieście zbudowano mu wielką świątynię. Obok przybytku herosa kupcy greccy wzniesli posąg Aleksandra Wielkiego. Jak bowiem Herakles dotarł, nieustraszony, aż na krańce Zachodu, tak młodziutki król macedoński podbił i przemierzył w baśniowym prawie pochodzie ziemie od Nilu po Indus, otwierając światu greckiemu cały Wschód.

Przed tym właśnie posągiem zatrzymał się Cezar. Patrząc nań uświadomił sobie nagle i z całą ostrością, że ma już lat więcej, niż liczył umierający Aleksander. A wielki król był już wówczas zdobywcą najpotężniejszej monarchii, jaką znał ówczesny świat; był opromieniony sławą największego wodza wszystkich czasów; był czczony jako bóg i zbawca przez miliony. Tymczasem on, Cezar, stał ledwie u progu ewentualnej kariery urzędnika republiki rzymskiej i w zapadłych dziurach dalekiej prowincji rozstrzygał spory o miedzę wśród barbarzyńskich chłopów. A gdyby nawet nie sięgać w przeszłość i nie porównywać się z Aleksandrem Wielkim, który urodził się synem królewskim, nie musiał więc mozolnie zdobywać władzy i znaczenia, to przecież i współczesność mogła służyć przykładem wspaniałej, olśniewająco szybkiej kariery. Pompejusz, ledwie o kilka lat starszy od Cezara, miał lat 26, kiedy jako triumfator wjeżdżał Drogą Świętą na Kapitol.

Czegóż więc nie stawało jemu, Cezarowi, że wciąż jeszcze był mało znaczącym politykiem, ledwie dostrzegalnym w cieniu prawdziwych wielkości? Okazji i sprzyjających warunków, czy też zdolności i energii prawdziwego męża stanu?

Były to myśli głęboko upokarzające, jak są nimi dla każdego mężczyzny, który wchodzi w życie z wielkimi ambicjami, w pewnym jednak momencie uświadamia sobie z okrutną jasnością, że czas uciekł mu między palcami jak woda, nie zostawiając nic prócz śliskiego osadu goryczy i zwątpienia we własne siły.

Z wrodzoną sobie impulsywnością Cezar powziął decyzję natychmiast. Nie wolno już tracić ani dnia, ani momentu. Trzeba za wszelką cenę dokonać czegoś wielkiego, co by otwarło bramę do szybkiej kariery. Pod jakimś pozorem złożył prośbę o zwolnienie z urzędu i od razu wyjechał do Italii.

Jak było z góry do przewidzenia, pierwszy plan wielkiego czynu skończył się

zupelnym niepowodzeniem i przysporzył mu tylko zlej slawy - wichrzyciela i rebelianta. Sama mysl byla rownie prosta co i - w owczesnej sytuacji - nierealna.

Zyzna i bogata dolina Padu, rozposcierajaca sie miedzy lukim Apeninu a poludniowymi stokami Alp, nie nalezala do Italii wlasciwej i administracyjnie stanowila odrubna prowincje. Niegdyz zamieszkivali te ziemie Galowie i dlatego tez wciaz jeszcze utrzymywala sie nazwa Galia Przedalpejska. Galią Zaalpejską nazywano dzisiejszą Francję. Ale nad Padem już od dawna nie było Galów, zostali bowiem albo wytepieni, albo też wchłonięci przez osadników od wieków tłumnie napływających na te tłuste, równinne ziemie z górzystego i przeludnionego południa. Wszyscy mieszkańcy miast i wsi nad Padem mówili piękną łaciną, służyli w armii, czuli i myśleli jak Rzymianie. Ale obywatelstwo rzymskie mieli - i to od niedawna - tylko mieszkający na południe od Padu. Wszyscy na północ od tej rzeki - z wyjątkiem kilku znaczniejszych miast - zadowolić się musieli prawem latyńskim, czyniącym z nich jakby drugą, upośledzoną kategorię obywateli. Rzecz prosta, odczuwali to bardzo boleśnie. Zamożni, rządni i gospodarni stanowić mogli wielką siłę i wielu polityków rzymskich od dawna już ubiegało się o ich poparcie, obiecując zająć się sprawą nadania im praw obywatelskich. Cezar miał plan ambitniejszy. Niecierpliwy i płonący pragnieniem nadrobienia straconych lat, zamierzał wyzyskać rozgoryczenie ludności za Padem, wywołać wielkie jej powstanie i ruszyć na czele zbrojnych oddziałów wprost na Rzym. Objeżdżał miasta i osiedla wygłaszając na masowych wiecach i zebraniach płomienne mowy. Przedstawiał w ponurych barwach ogrom krzywdy, jaka spotyka ludzi całkowicie oddanych Rzeczypospolitej, nie mających jednak żadnych praw i przywilejów obywatelskich. Zapewniał, że tylko odwaga i zdecydowanie mogą wywalczyć im cel upragniony. Dawał do zrozumienia, że dla ich dobra i sprawy gotów jest osobiście podjąć każde niebezpieczeństwo. Słuchano go chętnie i z przejęciem, wszędzie zyskiwał sobie wielu przyjaciół. Ale tymczasem do Rzymu doszły słuchy o mowach i wiecach Cezara, zaczęto przebąkiwać o wielkim buncie Transpadańczyków. Senat postanowił wstrzymać odmarsz legionów wysyłanych właśnie do Cylicji. Wieść o tej decyzji wystarczyła, aby od razu ostudzić zapęły słuchaczy Cezara. Byli zbyt rozsądni i przywiązani do swych gospodarstw, by poważnie myśleć o wojnie domowej. Sam Cezar zorientował się szybko, że tą drogą nigdzie nie dojdzie. Tak więc niedoszły Aleksander Wielki opuścił rychło Galię i skromnie zawitał do Rzymu, by tu, spokojnie i jakby nigdy o niczym innym nie myślał, starać się znowu o dalsze szczeble urzędniczej kariery.



## PONTIFEX MAXIMUS

Niedługo po powrocie do stolicy poślubił Pompeję. Była ona daleką krewną Pompejusza, wnuczką zaś samego Sulli. Ta koligacja wojującego stronnika popularyzatorów z rodami przywódców optymatów mogła się wydać zdumiewająca. W istocie



jednak program polityczny popularów - jeśli taki wówczas w ogóle istniał - był Cezarowi zupełnie obojętny. Wyzyskiwał bez skrępów ich hasła, by zjednywać sobie poparcie ludu, natomiast poślubienie Pompei było posunięciem jakby na innym planie jego co najmniej podwójnej gry politycznej.

Odkąd bowiem sława Pompejusza jako świetnego wodza, w połączeniu z popularnością, zyskaną w roku 70 dzięki zniesieniu najbardziej znieawidzonych reform Sulli, wysunęła go na pierwsze miejsce w Rzeczypospolitej, Cezar nie szczędził wysiłków, by zapewnić sobie życzliwość tego ulubieńca bogów i ludzi. Dał tego dowód już w roku 67, popierając ustawę o przyznaniu Pompejuszowi nadzwyczajnych pełnomocnictw celem zwalczania plagi piratów. A kiedy oczyścił on wody Morza Śródziemnego z korsarzy w zdumiewająco krótkim okresie kilku miesięcy, Cezar przyłączył się do agitujących za oddaniem zwycięskiemu wodzowi naczelnej komendy w przedłużającej się wojnie z Mitrydatesem. Wówczas to właśnie poślubił Pompeję, by zadokumentować, jak ściśle jest związany ze sprawą triumfatora.

Ale gdy tylko Pompejusz wyjechał do Azji Mniejszej, by przejąć tam dowództwo armii od Marka Lukullusa i gromiąc Mitrydatesa nieść orły rzymskich legionów aż w góry Armenii i Kaukazu, Cezar wszedł w tajne porozumienie z Markiem Krassusem. Ten był kolega Pompejusza w konsulacie patrzył na coraz świetniejsze laury jego zwycięstw z nie ukrywaną już zawiścią. Wspólnie z Krassusem zaaranżował Cezar kilka akcji politycznych, prowadzonych z ukrycia i bardzo przemyślnie. Miały one na celu przyniesienie wspólnikom szybkich i dużych korzyści materialnych i prestiżowych, ale też i pośrednie osłabienie pozycji Pompejusza.

W roku 65 Cezar był edylem kurulnym, tj. urzędnikiem sprawującym nadzór nad porządkiem i budownictwem w mieście. Urząd ten dawał możliwość zyskania sobie wielkiej popularności przez popisanie się szczodrobliwością i wystawnością przy urządzaniu igrzysk, uświetniających uroczystości religijne, co również należało do obowiązków edyla. Wymagało to wydatkowania zawrotnych sum. Ale Cezar, nie liczący się nigdy z pieniędzmi, zaciągnął długi, gdzie tylko mógł, byle tylko zaćmić wszystkich swych poprzedników i zapisać się na długo w pamięci ludu rzymskiego. Istotnie igrzyska Cezara przewyższyły rozmachem i przepychem wszystko, co dotąd w Rzymie widziano. Dzikie bestie, sprowadzone z pustyń Afryki i puszczy Europy, padały setkami na piasku areny, żrąc się wzajem lub też rażone strzałami i włóczniami. Sześciuset czterdziestu gladiatorów w posrebrzanych zbrojach - takiego zbytku dotąd nie było - stanęło parami przeciw sobie, by walczyć na śmierć i życie. W ten sposób uczcił Cezar dwudziestą rocznicę śmierci ojca. Miał zresztą zamiar wystawić jeszcze więcej par gladiatorów, ale zabronił tego senat, obawiający się wprowadzenia do miasta zbyt wielkiej liczby zbrojnych. Był to zarazem dowód, jak bardzo nie ufano Cezarowi.

Gdy zyskał sobie w ten sposób przychylność szerokich mas, usiłował przy pomocy Krassusa i trybunów ludowych przeprowadzić ustawę, która by właśnie je-

mu zlecała zorganizowanie w Egipcie nowej prowincji rzymskiej. Wnioskodawcy opierali się na rzekomym testamencie zmarłego króla Egiptu, Aleksandra Ptolemeusza XI, w którym miał on ponoć zapisać całe swoje państwo Rzymowi - jak to niedawno uczynił Nikomedes z Bitynią. Zadanie było nęcące, bo zupełnie zmurzała dynastia Ptolemeuszy nie przedstawiała żadnej siły politycznej, przy sposobności zaś przejmowania spadku można było zawładnąć bajecznymi skarbami starego dworu. Ale ten wielki plan Cezara i Krassusa został unicestwiony w zarodku przez opozycję optymatów, z którymi w tym wypadku sprzymierzyli się stronnicy Pompejusza oraz nawet niektórzy przywódcy popularów. Było przecież oczywiste, że nawet gdyby poważnie traktować ów rzekomy zapis testamentarny, jego wykonanie wypadłoby zlecić właśnie Pompejuszowi, który przebywał wówczas na Wschodzie i po ostatecznym zwycięstwie nad Mitrydatesem organizował tam nowy system rzymskich posiadłości. Dzięki tym wewnętrznym waśniom i intrygom wśród polityków rzymskich Ptolemeusze utrzymali się na tronie jeszcze kilkadziesiąt lat.

Nie zrażeni tym niepowodzeniem Krassus i Cezar wysunęli wkrótce, przez zaufanych trybunów ludowych, nowy projekt - tym razem wielkiej reformy rolnej, która dałaby mającej ją przeprowadzić komisji ogromne uprawnienia. Żywiono nadzieję, że w ten sposób zyska się poparcie najszerszych mas ludności, jednocześnie zaś odsunie od znaczenia Pompejusza; projekt bowiem wyraźnie zakładał, że członkami komisji mogą być tylko senatorzy przebywający w Rzymie. Ale i ten plan został udaremniony na skutek zdecydowanej opozycji ze strony konsula roku 63, Marka Tulusza Cyncerona.

W tymże roku zmarł jeden z czołowych przywódców optymatów, Lucjusz Metellus Pius, piastujący godność najwyższego kapłana. Pontifex maximus miał zwierzchnictwo nad wszystkimi kolegiami kapłańskimi i państwowymi kultami religijnymi, co miało też poważne znaczenie polityczne.

Na tę dożywotnią godność wybierało go zgromadzenie ludu, zwane *comitia centuriata*. Swoje kandydatury zgłosili dwaj starzy, możni i ogólnie szanowani optymaci: Publiusz Serwiliusz z przydomkiem Izaurycki - ten sam, pod którego rozkazami Cezar miał walczyć w roku 78 w Cylicji, oraz Kwintus Lutacjusz Katulus, uważany ówczas za „pierwszego senatora”. Ku ogólnemu zdumieniu, a nawet zgorszeniu wysunął swoją kandydaturę również Cezar - człowiek stosunkowo młody, nie cieszący się ani świetną reputacją, ani szczególną powagą.

Ale w ówczesnym Rzymie, wobec powszechnej i zupełnej korupcji wszystkich organów państwowych i warstw społecznych, liczył się nie wiek, nie autorytet i zasługi, lecz tylko i jedynie wysokość sum, jakie kandydat wypłacał wyborcom. Do głosowania uprawniony był każdy obywatel rzymski; głosowano pośrednio według przynależności do okręgów administracyjnych (tribus) lub też centurii i klas majątkowych. Istniały całe biura i organizacje zawodowo pośredniczące w kupowaniu głosów wyborców. Mimo licznych ustaw i prób represji przeciw temu procederowi władze były bezsilne i transakcji dokonywano niemal jawnie.

Kupowali głosy nawet najgodniejsi i najbardziej zasłużeni. Również i Katulus nie uchylał się od tego obowiązku i wpłacił już pośrednikom poważne sumy. Okazały się jednak one zbyt małe wobec olbrzymich pieniędzy, jakie rzucił na rynek wyborczy Cezar. Zadłużył się w sposób bezprzykładny. Zaciągnął ogromne pożyczki na lichwiarski procent i stanął na skraju zupełnej ruiny finansowej, byle tylko pokonać znienawidzonego przez siebie starca.

Powodem tej nienawiści było wydarzenie sprzed dwu lat, kiedy Cezar sprawował urząd edyla. Kazał wówczas potajemnie odnowić i nocą ustawić na Kapitolu pomniki zwycięstwa Mariusza nad Jugurtą i nad Teutonami, obalone i zniszczone przez Sullę. Na wieść o tym olbrzymie tłumy poczęły się gromadzić na Kapitolu. Było wśród nich wielu dawnych żołnierzy Mariusza, którzy ze łzami w oczach przypominali owe dni pełne chwały i radości, kiedy to ich wódz prowadził w triumfalnym pochodzie na tenże Kapitol upokorzonego króla Numidów, a później rzesze germańskich jeńców. Wzniesienie jego trofeów wydawało się symbolem nadejścia nowej epoki, końcem tyranii i wszechwładzy optymatów.

Lecz w tym samym czasie, gdy rozentuzjasmowane tłumy wznosiły na Kapitolu okrzyki na cześć odważnego edyla, w kurii na Forum odbywało się nadzwyczajne posiedzenie senatu. Optymaci z furją natarli na Cezara. Katulus, którego ojciec zginął z rąk siepaczy Mariusza, nazwał edyla jawnym wrogiem Rzeczypospolitej. Wołał: „Cezar już nie podkopami osłabia Rzeczypospolitą, lecz wprost szturmuje ją machinami”. Jeśli senat nie wyciągnął wówczas w stosunku do osoby Cezara żadnych konsekwencji, to głównie z obawy przed nastrojami tłumów. Ale Cezar nie zapomniał rzuconego mu w twarz oskarżenia.

W czasie akcji przedwyborczej dumny optymata i przywódca senatu zorientował się, że nie sprosta energii i popularności Cezara. Pragnąc uniknąć kompromitującej porażki zwrócił się do Cezara przez pośredników. Proponował pokrycie wydatków, jakie poczynił on w związku z kampanią wyborczą, byle tylko wycofał swoją kandydaturę. Cezar odmówił, choć nie był jeszcze pewny wygranej. W razie klęski ryzykował wszystko. W dniu wyborów wychodząc rankiem z domu powiedział całując matkę: „Albo wrócę zwycięzcą, albo od razu pójdę na wygnanie”.

Prawie wszystkie centurie głosowały za nim.



## KATYLINA

**M**ożna się było poważnie zastanawiać, czy Cezar postąpił słusznie, płacąc za swój wybór na najwyższego kapłana ruiną finansową i ściągnięciem nienawiści potężnego starca. Jak groźne siły rozpełtał przeciwko sobie, przekonał się już po kilku miesiącach.

Jesienią roku 63 całym miastem wstrząsnęła wieść o spisku Katyliny. Ten zdeklasowany i zadłużony arystokrata dał się już wcześniej poznać jako człowiek niezwykłych zdolności i żelaznej energii, pozbawiony jednak wszelkich skrupułów.

Mówiono, że zgładził własnego syna, bo stał mu na drodze w uzyskaniu ręki pięknej Aurelii Orestilli. W czasach proskrypcji sullańskich był jednym z najkrwawszych zbirów na usługach dyktatora. Zamordował wówczas swego brata i szwagra; temu ostatniemu własnoręcznie odciął głowę. Później jako namiestnik Afryki, czyli dzisiejszej Tunezji, dopuścił się niesłychanych nadużyć i zdzierstw. Na skutek oskarżenia, jakie z tego powodu przeciw niemu wytoczono, nie mógł się starać o wybór na konsula na rok 66; a uzyskanie tego urzędu było głównym celem wszystkich jego poczynań. Wówczas to powziął po raz pierwszy plan dokonania zamachu stanu. Chciał zamordować obu konsulów i co wybitniejszych senatorów. Na czele nowego rządu miał ponoć stanąć Marek Krassus jako dyktator i - Cezar. Oni to bowiem obaj popierali z ukrycia zbrodnicze machinacje Katyliny, dostarczali środków i pieniędzy. Ostatniego dnia roku 66 Katyliną zebrał na Forum swoje uzbrojone bandy, by o świcie przystąpić do rzezi. Ale ostrzeżony senat przedsięwziął wszystkie środki ostrożności i trzeba było przesunąć termin zamachu na dzień piąty lutego. Jednak i wówczas nie doszło do niczego. Krassus i Cezar zorientowali się, że plan jest zbyt ryzykowny, i w ostatnim momencie nie dali umówionego znaku rozpoczęcia akcji.

Choć dla nikogo w mieście plany i przygotowania Katyliny nie były tajemnicą, rozkład życia politycznego posunął się już tak daleko, że niedoszły morderca senatorów i konsulów zasiadał dalej w senacie i nie wytoczono mu nawet procesu - rzekomo z braku dowodów. O udziale Krassusa i Cezara obawiano się nawet wspominać głośno. Pierwszy był zbyt bogaty, drugi zbyt popularny. Co więcej, Katyliną miał odwagę znowu wysunąć swoją kandydaturę w czasie wyborów w roku 64. Mimo ogromnych sum, które Krassus rzucił dla przekupienia wyborców, Katyliną przepadł i tym razem. Większość zdobył jego kontrkandydat, młody i zdolny mówca, Marek Tuliusz Cynceron. Choć nie pochodził on z rodu arystokratycznego, optymaci poparli go, byle tylko nie dopuścić do władzy Katyliny i jego popleczników. Przeszli nawet do ataku: jeden z wrogów Katyliny pozwał go przed trybunał sądowy o morderstwa, których dopuścił się w czasie rządów Sulli. Ale trybunałowi przewodniczył Cezar. Katyliną został uniewinniony.

W lipcu roku 63, wkrótce po wyborze Cezara na najwyższego kapłana, Katyliną po raz trzeci wszczął starania o wybór na konsula - i przepadł po raz trzeci. Było oczywiste, że drogą legalną nawet w skorumpowanym Rzymie zbrodniarz tak osławiony nie dojdzie nigdy do najwyższej w państwie godności. Wówczas, nie widząc innego wyjścia z rozpaczliwej sytuacji majątkowej, Katyliną podjął na nowo myśl dokonania zamachu stanu. Ale tym razem musiał działać na własną rękę. Cezar, wybrany najwyższym kapłanem, a ostatnio i pretorem na rok przyszły, 62, układał inne plany. Krassus, człowiek majątku i interesu, mógłby tylko stracić na anarchistycznym przewrocie, jaki obecnie przygotowano. Zebrał natomiast Katyliną dziesiątki oddanych na śmierć i życie popleczników wśród młodych arystokratów, doprowadzonych do bankructwa majątkowego i politycznego przez życie nad stan i nadmierne ambicje.

Demagogiczne hasła zniesienia wszystkich długów i wprowadzenia nowego porządku znalazły natychmiastowy odzew wśród tysięcy nędzarzy, zrujnowanych chłopów, zbiegłych niewolników, wszelkiego rodzaju rozbitków życiowych. Po tylu przewrotach politycznych były ich rzesze we wszystkich krainach Italii. Rychło zebrała się cała armia, kilkanaście tysięcy ludzi, w północnej Etrurii, w okolicach Florencji. 27 października doszło tam do otwartego powstania przeciw miejscowym władzom.

Tymczasem Katylina organizował wraz ze swym sztabem akcję w stolicy. I znowu, jak przed trzema laty, o przygotowaniach do zamachu wiedziało prawie całe miasto - Katylina zaś z całym spokojem ukazywał się publicznie i uczestniczył w posiedzeniach senatu pod przewodnictwem Cycerona, którego zamordowanie wyznaczył już na noc z piątego na szósty listopada.

Lecz Cyceron był dobrze informowany przez swoich szpiegów, zwłaszcza przez kochankę jednego ze spiskowców, o każdym niemal kroku i słowie Katyliny. Zamach nie udał się. Teraz konsul przystąpił do ataku, oskarżając go publicznie o przygotowywane zbrodnie w mowach ostrych i gwałtownych, wygłaszanych z niesłychaną swadą. Zdemaskowany Katylina wyjechał w dniu ósmym listopada do swych oddziałów w Etrurii. Pozostałym w mieście spiskowcom polecił jednak dokonać w odpowiednim momencie zamachu na Cycerona i jednocześnie podpalić Rzym, co ułatwiłoby jego armii opanowanie stolicy. Ale i tych planów nie udało się utrzymać w tajemnicy. Cyceron, powiadomiony na czas, mając wiarogodne wskazówki od osób postronnych, uzbrojony w powziętą już wcześniej uchwałę senatu o wprowadzeniu stanu wyjątkowego, mógł przystąpić od razu do aresztowania członków sprzysiężenia. Ich zeznania i wypowiedzi świadków dały wreszcie władzom bezsporne i oczywiste dowody winy Katyliny i jego współników, co umożliwiło wytoczenie całej sprawy w sposób oficjalny przed senatem, jako najwyższym stróżem bezpieczeństwa kraju.

W dniu piątym grudnia pod wieczór senat zebrał się na posiedzenie w świątyni bogini Konkordii (Zgody). Ta świątynia, zbudowana przed kilkadziesiąt laty na pamiątkę stłumienia ruchu grakchańskiego przez optymatów, stała u stóp Kapitolu od strony Forum. Przedmiotem debaty była zasadnicza kwestia: co uczynić z aresztowanymi spiskowcami. Sytuacja była nadal niezmiernie napięta. Wprawdzie samą świątynię Konkordii i wszystkie ważniejsze punkty w mieście obsadziły wierne straże Cycerona - grupy młodych ludzi z warstw zamożnych, a więc z natury rzeczy najbardziej wrogie próbie przewrotu - ale pozostała na wolności część spiskowców, głównie wyzwoleńcy i młodzież rzemieślnicza, przygotowywała się do odbicia aresztowanych, umieszczonych tymczasowo w prywatnych domach wyższych urzędników.

Posiedzeniu przewodniczył Cyceron. Jak to było zwyczajem, pytał zebranych o zdanie, wywołując ich po nazwisku w porządku według godności. Jako pierwszy przemówił Decymus Syllanus, wybrany konsulem na rok przyszły. Zażądał najwyższego wymiaru kary. Do jego zdania przyłączali się wszyscy następni.

Wreszcie, według utartej od wieków formuły, Cynceron zwrócił się do Cezara słowami: „Powiedz ty, Gajusie Juliuszu Cezarze, co sądzisz o tej sprawie”. Na jego wypowiedź czekali wszyscy w wielkim napięciu. Nie tyle dlatego, że znane były powiązania Cezara z Katyliną w czasie pierwszej próby zamachu stanu przed trzema laty. Jak na szybkie tempo życia politycznego w Rzymie była to już historia dawna i niemal zapomniana. Ale od wielu już tygodni, odkąd tylko stał się głośny nowy spisek Katyliny, dwaj wrogowie Cezara, Katulus i Pizon, nie szczędzili trudu i imali się różnych środków, by przekonać wszystkich ludzi wpływowych, że i tym razem Cezar działa w porozumieniu z Katyliną. Powód nienawiści Katulusa był oczywisty - upokarzająca porażka przy ostatnich wyborach na najwyższego kapłana. Pizon natomiast nie mógł darować Cezarowi pozwania go przed sąd za bezprawne wydanie wyroku śmierci na pewnego mieszkańca Italii północnej. Obaj obchodzili teraz domy wszystkich polityków i bogaczy, wywodząc, że Cezar jest bliskim współpracownikiem Katyliny i należy go ukarać jak innych spiskowców. Od Cyncerona żądali wprost, by traktował Cezara jako jednego ze sprzysiężonych. Konsul miał jednak zbyt wiele zdrowego rozsądku, by utrudniać sobie sytuację rzucaniem podejrzeń na ludzi możliwych a stojących, jak sam najlepiej wiedział, z dala od całej sprawy. Mimo to znalazło się bardzo wielu senatorów, którzy z różnych pobudek dali chętny posłuch oskarżeniom wysuwany przez Katulusa i Pizona.

Wstając, by zabrać głos, Cezar zdawał sobie świetnie sprawę ze swej sytuacji. Przygniatająca większość zebranych była mu wręcz wroga i czekała na najłżejsze pośliżnięcie z jego strony, by zepchnąć go w przepaść, w której znaleźli się już spiskowcy. Gra szła może nawet o życie.

Panowało ogólne przekonanie, że Cezar, świadom oskarżeń Katulusa, będzie chciał odsunąć od siebie wszelkie podejrzenie i przyłączy się do zgodnego chóru przedmówców, żądających skazania spiskowców. Istotnie, Cezar rozpoczął swoją mowę od potępienia w patetycznych słowach potwornej zbrodni, przygotowywanej przez sprzysiężonych. Ale po tym wstępie począł wywodzić z perfidną bezczelnością, że taka zbrodnia przekracza wszelką karę, jaką może wymierzyć ludzkość - w każdym zaś razie karę śmierci. Bo śmierć jest przecież raczej nagrodą. Ustanowili ją bogowie nieśmiertelni jako naturalny koniec życia, jako odpoczynek po trudach. Zresztą - czy jest w ogóle w mocy senatu skazywać obywateli rzymskich na karę śmierci bez normalnego przewodu i wyroku sądowego, bez dania obwinionym możliwości odwołania się do zgromadzenia ludowego, co przysługuje im przecież na mocy prastarego i nienaruszalnego przywileju? Stworzyłoby to bardzo niebezpieczny precedens, który rychło mógłby się zwrócić przeciwko jego autorom. Jeśli bowiem raz złamie się zasady praworządności i uzna, że najbardziej podstawowe przywileje obywatelskie nie zawsze i nie do wszystkich się stosują, da się do ręki straszną broń każdemu, kto tylko będzie u władzy. Uważa więc, że winnych nie należy karać śmiercią, lecz jedynie rozmieścić pod dozorem w różnych miastach Italii, konfiskując ich mienie.

Przemówienie wywarło piorunujące wrażenie. Dostojni senatorowie, wspaniali krasomówcy, obrońcy ładu i ojczyzny, przerażeni ciężką na nich odpowiedzialnością, poczęli pospiesznie i na wyścigi zmieniać swoje stanowiska i przyłączać do zdania Cezara. W tym duchu przemawiał nawet brat Cyncerona. Decymus Syllanus nie wstydził się raz jeszcze prosić o głos i zawile tłumaczyć, że mówiąc o najwyższym wymiarze kary zgoła nie miał na myśli kary śmierci. Wydawało się, że odwaga i zręczność polityczna Cezara przyniesie mu w beznadziejnej prawie sytuacji pełny triumf osobisty, sprawa zaś spisku Katyliny ugrzęźnie w toku przewlekłych dochodzeń.

Jednakże Cynceron zbyt zaangażował się w walce z Katyliną, by mógł teraz pozwolić na taki obrót rzeczy. Pod pozorem konieczności zreasumowania rozstrzelonych zdań i dyskusji zarządził powtórne przeprowadzenie debaty. Otwierając ją wygłosił mowę, w której bardzo zręcznie przemycił i swoje zdanie (jako przewodniczący formalnie nie miał prawa zabierania głosu co do meritum sprawy): spiskowców winno ukarać się śmiercią.

Ta świetna mowa, w której Cynceron dał do zrozumienia lekliwym dostojnikom, że to on sam poniesie odpowiedzialność za wydanie wyroku skazującego, natchnęła senatorów nową odwagą. Ale zadecydowało dopiero wystąpienie Marka Porcjusza Katona. Był to prawnuk wielkiego Katona z czasów wojen z Kartaginą, owego wzoru i uosobienia wszystkich cnót starorzzymskich: surowości i gospodarności, prostoty obyczajów, całkowitego oddania dla spraw Rzeczypospolitej. W szczególnym stopniu stał się ideałem postępowania dla swego potomka. Młody Katon - od Cezara młodszy o siedem lat - był tępy i uczciwy, pryncypialny i pozbawiony poczucia humoru. Nie pojmował zupełnie ani finezji gry politycznej, ani też żywych potrzeb społeczeństwa i nowej epoki. Z natury i wychowania konserwatysta, od dziecka pozował na stoickiego mędrca, który idzie zawsze i bezkompromisowo za głosem praw i obowiązku, broni wolności przed zakusami tyrańskimi, jest twardy i nieskazitelny jak monolit. Ta nieustępliwość Katona i brak wyobraźni politycznej przyniosły zresztą sprawie optymatów więcej szkody niż pożytku. Ale jego mowa w dniu 5 grudnia, pełna tej siły, jaką daje tylko głębokie przekonanie o słuszności bronionej sprawy, wywarła na słuchaczach ogromne wrażenie. Mowa godziła wprost w Cezara, pod którego adresem nie brakło jawnych pogroźek: jeśli wśród powszechnej trwogi sam tylko Cezar nie lęka się niczego i występuje nawet w obronie zbrodniarzy, tym bardziej winni się obawiać i mieć na baczności jego współobywatele.

Po raz pierwszy Katon i Cezar starli się publicznie. Ich spór miał rychło zmienić charakter i wymiar, stając się coraz ostrzejszy i bezwzględniejszy - chodziło bowiem o dwie z gruntu różne koncepcje ustrojowe i polityczne. Tej walki nie przerwała nawet śmierć jednego z przeciwników.

W owym pierwszym starciu zwyciężył Katon. Cezar próbował jeszcze odpowiadać i bronić swego stanowiska, ale sprawa była już przegrana. Cynceron został upoważniony do wydania rozkazu egzekucji. Senatorowie poczęli opuszczać

świętynie. Był już późny wieczór, w całym jednak mieście nikt nie spał. Wszyscy czekali na wynik obrad. Przed świątynią Konkordii straż trzymały grupy młodych ekwitów z mieczami w ręku. Gdy przechodził obok nich Cezar, zaczęli mu grozić i zbliżać się z obnażonymi mieczami. Cudem tylko uniknął wówczas śmierci, osłonięty przez kilku przyjaciół.



## METELLUS NEPOS

Aż do końca roku 63 Cezar nie brał już udziału w posiedzeniach senatu. Jednakże w pięć dni po swej porażce i po egzekucji aresztowanych wykazał optymatom, jak niebezpieczną grę rozpoczęli.

10 grudnia objęli urządowanie nowi trybunowie ludu, wśród nich Kwintus Metellus Nepos. Był to wyższy oficer Pompejusza, przybyły specjalnie wcześniej ze Wschodu, by politycznie przygotować powrót swego wodza do stolicy. Po olśniewających zwycięstwach w Azji Mniejszej i Syrii Pompejusz już lada miesiąc mógł zjawić się w Italii. Cień tego powrotu, jak niegdyś Sulli, padał już na wydarzenia i nastroje w Rzymie, gdzie dotąd zajmowano się wyłącznie doraźnymi sprawami i rozgrywkami. Przywódcy obu stronnictw zadawali sobie z lękiem pytanie: co będzie, jeśli Pompejusz po wylądowaniu w Italii nie rozwiąże swej armii, lecz na jej czele pomaszeruje na stolicę i za wzorem Sulli zażąda najwyższej władzy?

Krassus, przezorny jak zwykle, zdając sobie sprawę, że nie ukryły się przed Pompejuszem jego knowania i intrygi, zebrał wszystkie kosztowności i wraz z rodziną wyjechał do Azji. Większość starała się wkupić w łaski nowego pana, uchwalając dlań coraz to świetniejsze honory i zaszczyty. Cynceron przedstawił wniosek, by odprawić dwukrotnie święta dziękczynne za odniesione przez Pompejusza zwycięstwa. Ale prześcignął go Cezar, popierając wniosek, by przyznać wodzowi nadzwyczajne przywileje: mógłby nosić w czasie świąt złoty wieniec wawrzynowy i zasiadać w łożu cyrkowej w todze triumfalnej. Jeden Katon miał odwagę sprzeciwić się temu pomysłowi. Zauważył wówczas złośliwie:

„W całej tej wojnie z Mitrydatesem walczono głównie z kobietkami”.

Ale wszystkie wnioski mówiły tylko o zewnętrznych splendorach i odznaczeniach. Pompejuszowi chodziło o coś więcej. Tak przynajmniej zrozumiano to w Rzymie, kiedy jego agent polityczny, Metellus Nepos, wystąpił w pierwszym dniu swego trybunatu z projektami dwu ustaw. Pierwszy przyznawał Pompejuszowi prawo zaocznego ubiegania się o konsulat, drugi zaś oddawał mu dowództwo w walce z oddziałami Katyliny, które wciąż jeszcze stały w Etrurii. Jednocześnie Metellus zaatakował z całą gwałtownością Cyncerona za bezprawne skazanie obywateli rzymskich na śmierć. Posunął się nawet do tego, że w dniu 29 grudnia, kiedy to Cynceron, składając urząd konsula, miał odwiecznym zwyczajem wygłosić mowę sprawozdawczą przed ludem, zabronił mu tego na mocy swych



uprawnień trybuńskich.

Cezar współdziałał z Metellusem jak najściślej. By nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości, w dniu 1 stycznia roku 62 rozpoczął on z kolei swoje urzędowanie jako pretor od publicznego oświadczenia na Forum, że należy przeprowadzić kontrolę rachunków budowy świątyni Jowisza na Kapitolu, Katulus bowiem, który sprawował nad nią pieczę, rzekomo dopuścił się nadużyć; dlatego też należy na przyszłość oddać nadzór nad tą budową Pompejuszowi, by jego to imię zostało wyryte na świątyni na wieczną rzeczy pamiątkę. Optymacy, wzburzeni tym skandalicznym oskarżeniem, napłynęli tłumnie na Forum. Cezar natychmiast odstąpił od swych żądań, bo też w istocie nie zależało mu na ich realizacji. Chodziło tylko o podanie w wątpliwość dobrego imienia Katulusa i o piękny gest wobec Pompejusza.

Nadszedł dzień głosowania nad projektami ustaw Metellusa. Całe Forum, gdzie odbywało się zgromadzenie ludowe, obstawili zbrojni najemnicy jego i Cezara. Oni sami zasiedli na wysokim tarasie przed świątynią Kastora i Polluksa. Schodów od strony Forum strzegli gladiatorzy w pełnym rynsztunku. Wszystkie te środki miały służyć sterroryzowaniu ludu i zabezpieczeniu się przed przeciwdziałaniem ze strony wrogich ustawie optymatów. Chodziło przede wszystkim o Katona, który był właśnie w tym roku trybunem ludowym - więc kolegą w urzędzie Metellusa - i z całą pasją zwalczał projekt ustawy jako niezgodny z prawami i gotujący Rzymowi rządy nowego tyra.

Wydawało się, że wobec takich przygotowań nikt z optymatów nie ośmieli się nawet wejść na Forum i że przeprowadzenie ustawy będzie tylko zwykłą formalnością. Ledwie jednak Metellus i Cezar zasiedli na swych miejscach, na placu wszczął się gwar i rumor. Przez gęstą ciżbę przepychał się w stronę świątyni Katon w towarzystwie młodego Minucjusza Termusa, również trybuna ludowego. Z racji swego urzędu obaj byli nietykalni - *sacrosanti*, jak mówili Rzymianie - nawet więc agenci i najemnicy Cezara nie śmieli ich powstrzymać. Rozstąpili się przed nimi również i gladiatorzy na schodach świątyni. Obaj zajęli miejsca, jak im z prawa przysługiwało, obok Cezara i Metellusa. Ku rosnącej ucieście tłumów, na tarasie rozpoczęła się od razu walka - najpierw słowna, rychło jednak doszło i do rękoczynów. Na mocy swego przywileju trybuńskiego Katon założył przede wszystkim uroczyste weto przeciw ustawie Metellusa. Ten, rzecz prosta, zignorował owo weto i przystąpił do odczytywania swego projektu. W tym momencie Katon wyrwał z rąk woźnego tabliczki z tekstem ustawy, kiedy zaś niezrażony Metellus zaczął wygłaszać paragrafy projektu z pamięci, Minucjusz zamknął mu usta ręką. Jak zwykle bywa w podobnych sytuacjach, sympatie tłumy, wtórującego tym zmaganiom wrzaskiem i śmiechem, zaczęły się przechylać na stronę dwu śmiałków, tak odważnie drwiących sobie z obnażonych mieczy gladiatorów. Rozjuszony Metellus krzyknął na swych ludzi, by atakowali. Ale na Forum znaleźli się też i najemnicy optymatów. Wszczęła się ogólna bijatyka. W wirze walki wszystkich przeciwko wszystkim jeden Katon stał nieporuszony jak

posąg, choć wokół gęsto padały kamienie i drągi. Wreszcie sam konsul Murena, by ratować straceńca, zarzucił nań togę i wciągnął go do świątyni.

Metellus, pewny już wygranej, kazał swym ludziom odstąpić i przystąpił na nowo do odczytywania najeżonej formułami ustawy nad pustym prawie pobojo-wiskiem. Ale w tymże momencie z wyciem i wrzaskiem wtargnęła na Forum jakaś spóźniona grupa najemników senatu. Ludzie Metellusa natychmiast rzucili się do ucieczki - w przekonaniu, że to nadchodzi wielka odsiecz dla uwięzionego w świątyni Katona. Ten, wyswobodzony wreszcie z togi i objęć konsula, wyszedł na taras, by wygłosić wielką mowę przeciwko tyranii. Wydawało mu się, że przemawia do ludu rzymskiego, do patriotycznych obywateli Rzeczypospolitej, którzy dzięki jego właśnie odwadze i postawie przejrzeni i przepędzili precz najemników tyrana. Mówił więc o wolności, godności i cnotach obywatelskich - do zwykłych zbirów, tyle tylko, że opłacanych przez senat.

Nazajutrz senat wprowadził stan wyjątkowy i udzielił konsulom nadzwyczajnych pełnomocnictw, Cezara zaś i Metellusa zawiesił w urzędowaniu. Cezar próbował to zignorować i nadal wykonywać funkcje pretorskie. Gdy jednak uzbrojeni najemnicy optymatów poczęli otaczać jego lokal urzędowy, uciekł w strachu, zrzucając po drodze krępującą ruchy togę. Odtąd przez długi czas nie opuszczał domu.

Wyzyskując tę sytuację Katulus ponowił oskarżenie, że Cezar był współnikiem Katyliny. Sprawa była niebezpieczna, albowiem na mocy specjalnej uchwały senatu wplątanych w spisek skazywano na wygnanie i konfiskatę majątku. Przed sądami toczyło się wiele procesów tego rodzaju. Wrogowie Cezara przedstawili senatowi nawet świadków - zawodowych denuncjantów, tych samych, którzy niedawno obciążali Katylinę i jego straconych już towarzyszy. Jeden z nich zeznał, że o udziale Cezara w spisku słyszał wprost od samego Katyliny, drugi zaś przyrzekł dostarczyć odręczne pismo Cezara do przywódcy sprzysiężenia. Ale ta intryga polityczna, kierowana przez nieprzejednanych wrogów Cezara, była zbyt przejrzysta i nie znalazła poparcia nawet wśród umiarkowanych optymatów. Sam Cynceron zeznał, że w najniebezpieczniejszym okresie przestrzegał go właśnie Cezar.

Tymczasem przed domem Cezara, który demonstracyjnie wciąż nie opuszczał swego dobrowolnego więzienia, poczęły się gromadzić tłumy, wyrażając sympatię i poparcie dla prześladowanego pretora. Owe burzliwe owacje mogły każdej chwili przerodzić się w poważne rozruchy. Senat uznał za rzecz rozsądniejszą cofnąć zawieszenie Cezara w urzędzie i umorzyć wszczęte już dochodzenie sądowe. Ukarano nawet zbyt gorliwego sędziego, który formalnie przyjął oskarżenie. Zresztą przywrócenie Cezara do czynności nie mogło już grozić żadnymi komplikacjami, albowiem Metellus Nepos widząc, że nie podoła siłom optymatów, opuścił Rzym i powrócił do głównej kwatery Pompejusza na Wschodzie.

Jeśli styczeń roku 62 był burzliwy i pełen gwałtownych spięć, to następne miesiące upływały we względnym spokoju. Wyplýwało to stąd, że całe życie

polityczne było sparaliżowane lękiem przed wielką niewiadomą, jaką stanowił zbliżający się powrót Pompejusza. Nikt nie chciał angażować się w jakąkolwiek poważniejszą akcję, nie wiedząc, jakie byłoby wobec niej stanowisko Pompejusza. A tymczasem wielki wódz milczał i przed nikim nie uchylał rąbka tajemnicy swych planów.

Gdy Cezar czekał z całym Rzymem na rozwój wielkich spraw publicznych, w jego własnym domu wynikła niespodziewanie skandaliczna afera. Skompromitowała go ona przed całą opinią publiczną i dała nową broń do ręki wszystkim jego wrogom.



## KLODIUSZ

Przez całe wieki utrzymywały się w Rzymie pradawne kulty religijne, obrzędy i ceremonie, tkwiące swymi początkami w pomroce dziejów, kiedy to przyszła stolica świata była małą osadą na wzgórzach nad rozlewiskami Tybru. Chłopi i pasterze zamieszkujący tę ubogą wieś w pokorze czcili tajemnicze siły życiodajnej i okrutnej zarazem przyrody. Ofiarami starali się przebłagać gniew bóstw zsyłających pioruny, powódź i pomór, za pomyślne zaś zbiory i udaną wyprawę rabunkową na pola sąsiadów dziękowali uroczystymi obchodami i tańcami. Społeczeństwo starorzymskie, jak każde chłopskie, było konserwatywne, przywiązane do form i zwyczajów uświęconych tradycją, drobiazgowo przestrzegało przekazanej przez praojców obrzędowości. I dlatego też, choć w ciągu wieków do Rzymu wkraczały różne obce kulty i bóstwa - najpierw etruskie i greckie, później zaś i wschodnie - nigdy nie zanedbywano owych najstarszych i najbardziej rodzimych. Pokolenie za pokoleniem pieczołowicie i wiernie odtwarzało prastary rytuał i powtarzało słowa i gesty, których właściwego sensu nikt już nie rozumiał.

Do tych pradawnych obrządków, tym czcigodniejszych, że bardzo tajemniczych, należały też i uroczystości ku czci bogini, której nawet imienia nie wymieniało, zwąc ją umownie „Bona Dea” - Dobra Bogini. Jej kult był wyłączną domeną kobiet. Jednej z pierwszych nocy grudniowych panie z najwyższej arystokracji zbierały się w domu konsula lub pretora, by pod przewodnictwem jego żony dopełnić corocznej ceremonii. Na tę noc wszyscy mężczyźni, nawet mali chłopcy, opuszczali dom, kobiety zaś odprawiały misteria, sięgające chyba jeszcze czasów Romulusa, w przyozdobionych mirtem pokojach, przy grze fletnistek i kitarzystek.

W roku 62 nabożeństwo ku czci Bona Dea wyznaczono na noc z trzeciego na czwarty grudnia. Miało się odbyć w domu Cezara na samym Forum. Od razu bowiem po objęciu godności najwyższego kapłana przeniósł się Cezar ze swego rodzinnego, dość skromnego domu w niezbyt eleganckiej dzielnicy Rzymu zwanej Subura do urzędowego mieszkania na Forum. Był to stary budynek, zwany od niepamiętnych czasów „Regia” - Dom Królewski, wznoszący się obok prastarej,

okrągłej świątynki Westy, gdzie płonął nigdy nie gasnący znicz - serce i największa świętość Rzymu, jak sercem każdego domu jest jego ognisko. Dniem i nocą czuwały nad nim dziewice Westalki, wybierane z najświetniejszych rodów arystokratycznych, otoczone powszechną czcią i szacunkiem. Mieszkały w prawie klasztornym odosobnieniu w domu opodal świątyni. Opiekę nad nimi sprawował każdorazowy „pontifex maximus” - nawet jeśli jego osobista reputacja, jak właśnie Cezara, była bardzo wątpliwa.

Zapadała już święta noc i poczęły się schodzić panie, by czynić przygotowania pod kierunkiem drugiej żony Cezara, Pompei, i jego matki, Aurelii. Przyszły również muzykantki. Drzwi domu były otwarte dla wciąż nadchodzących gości i cały dom rozbrzmiewał gwarem i śmiechem. Nagle w głębi rozległ się przeraźliwy krzyk. Młoda niewolnica wbiegła do sali pełnej dostojnych matron wołając, że w domu ukrywa się mężczyzna w przebraniu lutnistki. Chciała się bawić z ową lutnistką rzucając piłkę, ale zauważyła, że dziewczyna unika światła i boi się mówić. Zaczęła ją ostro wypytywać, co tu robi i czego szuka. Głos od razu zdradził przebranie.

Aurelia poleciła natychmiast zamknąć wszystkie wyjścia, rozdać służbie pochodnie i dokładnie przeszukać cały dom. Po chwili z ciasnej izdebki jednej z niewolnic Pompei wyciągnięto przerażonego młodzieńca w kobiecym stroju. Panie poznały go od razu: był to Klodiusz z przydomkiem Piękny, o którym ostatnio dużo mówiono w mieście. Młodszy o kilka lat od Cezara, próbował, jak on, dojść do znaczenia za wszelką cenę. Służąc pod rozkazami Lukullusa w wojnie przeciwko Mitrydatesowi omal nie doprowadził do buntu armii przeciw wodzowi; tak samo postąpił później w Syrii; po powrocie do Italii dopuścił się różnych nadużyć pieniężnych, co nie przeszkodziło, że właśnie w roku 62 wybrano go kwestorem. Było powszechnie wiadome, że od kilku miesięcy Klodiusz nie bez powodzenia adorował Pompeję. Ale surowa Aurelia dobrze pilnowała synowej, towarzysząc jej osobiście przy każdym wyjściu do miasta. Wreszcie, z braku innych możliwości, usłużna niewolnica Pompei wprowadziła kochanka do domu właśnie w czasie uroczystości, spodziewając się, że pośród mnóstwa kobiet nikt nie zwróci uwagi na skromną lutnistkę.

Zgorszone panie tłumnie opuściły dom Cezara i ceremonię przerwano. Nazajutrz całe miasto wiedziało o uciśnej historii. Początkowo wszyscy, nawet najpoważniejsi senatorowie, traktowali rzecz na wesoło. Sam Cezar nie przywiązywał do sprawy najmniejszej wagi. Z Klodiuszem, który należał do stronnictwa popularów, nigdy nie zerwał stosunków. Ale rychło nastąpiła zmiana nastrojów. Grupa nieprzejednanych optymatów - Katon, Lukullus, Katulus, Hortensjusz - dostrzegła w przygodzie Klodiusza doskonałą sposobność rozprawienia się z obu wichrzycielami. Niefortunnego kochanka można było wprost oskarżyć o świętokradztwo, Cezara zaś ośmieszyć i pokazać ludowi, jakie to skandaliczne stosunki panują w domu najwyższego kapłana. Sprawę przedstawiono senatowi, który z kolei zwrócił się o orzeczenie do kolegium pontyfików. Na podstawie opinii tego

kolegium, że zaszedł istotnie wypadek świętokradztwa, powołano specjalny trybunał sądowy dla rozpatrzenia wypadku. Ale ta zaczęła zataczać coraz szersze kręgi i z półprywatnej sprawy alkwianej stała się pierwszoplanowym przedmiotem walk i sporów.

Taki obrót rzeczy był możliwy dzięki temu, że właśnie w tychże dniach przyszła do Rzymu wiadomość, która uwolniła wszystkich polityków od najpoważniejszej troski. Pompejusz wylądował ze swoją armią w Brundyzjum - i natychmiast zwolnił żołnierzy oraz rozwiązał formacje! Jechał teraz powoli w stronę Rzymu, zamierzając starać się o pozwolenie na odbycie triumfu, o ziemię dla swych weteranów, o zatwierdzenie stanu rzeczy, jaki wprowadził na Wschodzie. Ale nie stała za nim żadna siła zbrojna, nie trzeba więc było obawiać się, że sięgnie po dyktaturę. Teraz sam Pompejusz musiał zabiegać o względy i życzliwość tych, którzy tak niedawno prześcigali się w zasypywaniu go honorami i odznaczeniami.

Nim jeszcze Pompejusz dotarł do Rzymu, by tu - a raczej pod jego murami, według bowiem odwiecznego zwyczaju jako oczekujący na triumf nie miał prawa wstępu do miasta - prowadzić rozmowy z politykami i senatem, w mieście rozeszła się wieść o dwu sensacyjnych, choć oczekiwanych rozwodach: Pompejusza z Mucją i Cezara z Pompeją. Mucja dała wielkiemu wodzowi trzech synów i na rozwód decydował się on z ciężkim sercem. Ale od lat już krążyły pogłoski - trudne dziś do sprawdzenia - że Mucja, tak często samotna skutkiem długich i dalekich kampanii wojennych męża, ma kochankę - Cezara.

Prawie pół roku trwał spór o formułę prawną, według której miano by sądzić Klodiusza, o skład trybunału, o samą procedurę. Na wiecach i na zgromadzeniach dochodziło do coraz to ostrzejszych starć, Klodiusz bowiem i jego poplecznicy zorganizowali zbrojne bandy dla sterroryzowania przeciwników. Wreszcie w maju roku 61 rozpoczął się przewód sądowy. Jego przebieg i wynik stały się jeszcze większym skandalem niż sam przedmiot sprawy.

Po długotrwałej i skomplikowanej procedurze doboru sędziów - albowiem zarówno powód, jak i oskarżony mieli prawo odrzucania pewnej liczby kandydatów z proponowanej listy - na ławach trybunału zasiadło pięćdziesięciu sześciu osobników. Cynceron, który stanął przed nimi jako świadek, twierdził później, że nawet w domu gry hazardowej trudno byłoby spotkać ohydniejszy zespół. Wśród notorycznie przekupnych senatorów i zrujnowanych bankierów siedziała ledwie kilku uczciwych ludzi, zawstydzonych samą swoją obecnością w tym towarzystwie. Mimo to rozprawa początkowo zdawała się przebiegać w sposób niekorzystny dla oskarżonego i sędziowie czynili wrażenie wrogo doń usposobionych. Świadców w ogromnej większości obciążali Klodiusza. Zdarzały się zeznania szokujące. Lucjusz Lukullus, jeden z najświetniejszych arystokratów, posiadacz olbrzymich bogactw, sławny wódz - po nim to właśnie Pompejusz objął komendę w wojnie przeciwko Mitrydatesowi - nie wstydził się stwierdzić publicznie, że Klodiusz utrzymywał stosunki kazirodcze ze swoją własną siostrą a była żoną Lukullusa. Cezar natomiast oświadczył z całym spokojem, że nic mu

absolutnie nie wiadomo o jakichkolwiek miłośkach Pompei. Gdy jeden ze zdumionych sędziów zapytał, czemu wobec tego z nią się rozwiódł, kochanek Mucji odrzekł z dumą godną najwyższego kapłana: „Żona Cezara musi być ponad wszelkie podejrzenia”.

Obrona Klodiusza starała się dowieść jego alibi. Jeden z przekupionych świadków zeznał pod przysięgą, że właśnie tejże nocy, kiedy w Rzymie odbyć się miały uroczystości ku czci Bona Dea, bawił z Klodiuszem kilkadziesiąt mil od miasta. Ale temu bezczelnemu świadectwu kłam zadał Cynceron. Co prawda Klodiusz nie należał do jego wrogów, przeciwnie, w okresie spisku Katyliny był członkiem osobistej straży konsula. W pierwszym stadium sprawy Cynceron nie angażował się zbytnio w toczące się wokół niej spory. Później jednak był stopniowo spychany do obozu przeciwników Klodiusza. Stało się to skutkiem splotu różnych okoliczności, wśród których pewną rolę odegrały również intymne sprawy domowe Cyncerona. Jego żona, Terentia, była od dawna zazdrosna o siostrę Klodiusza, kobietę piękną, uwodzicielską, muzę i natchnienie Waleriusza Katullusa, twórcy najpiękniejszych liryków, jakie kiedykolwiek napisano w języku łacińskim. Uroda i opinia Klodii usprawiedliwiały obawy każdej Rzymianki drżącej o wierność męża. Oskarżano Klodię o otrucie pierwszego męża; zarzucano jej, podobnie jak i siostrze, żonie Lukullusa, kazirodczy stosunek z bratem; dano jej przydomek „Quadrantaria”, tak bowiem nazywano najtańsze prostytutki rzymskie; a mimo to - lub może właśnie dlatego - jej wspaniałe, czarne oczy siały spustoszenie w męskich sercach. Terentia, podejrzliwa jak wszystkie kobiety, była głęboko przekonana, że wstrzemięźliwość Cyncerona w potępianiu występku Klodiusza płynie właśnie z ukrytej sympatii dla jego siostry. Dręczony w domu scenami zazdrości, na zebraniach zaś senatu i na zgromadzeniach ludowych atakowany z różnych stron o wyraźne zdeklarowanie się, dostojny mąż stanu powoli ustępował. Najpierw pozwolił sobie na złośliwy żarcik pod adresem Klodiusza, skoro zaś ten nie pozostał dłużny, zaczął brnąć dalej. Wówczas Klodiusz sprzymierzył się z wszystkimi, którzy nie mogli zapomnieć Cynceronowi jego bezwzględności w stosunku do spiskowców Katyliny. Wywłócił też na porządek dzienny sprawę zasadniczą: czy konsul miał prawo skazywać obywateli rzymskich bez normalnej procedury sądowej?

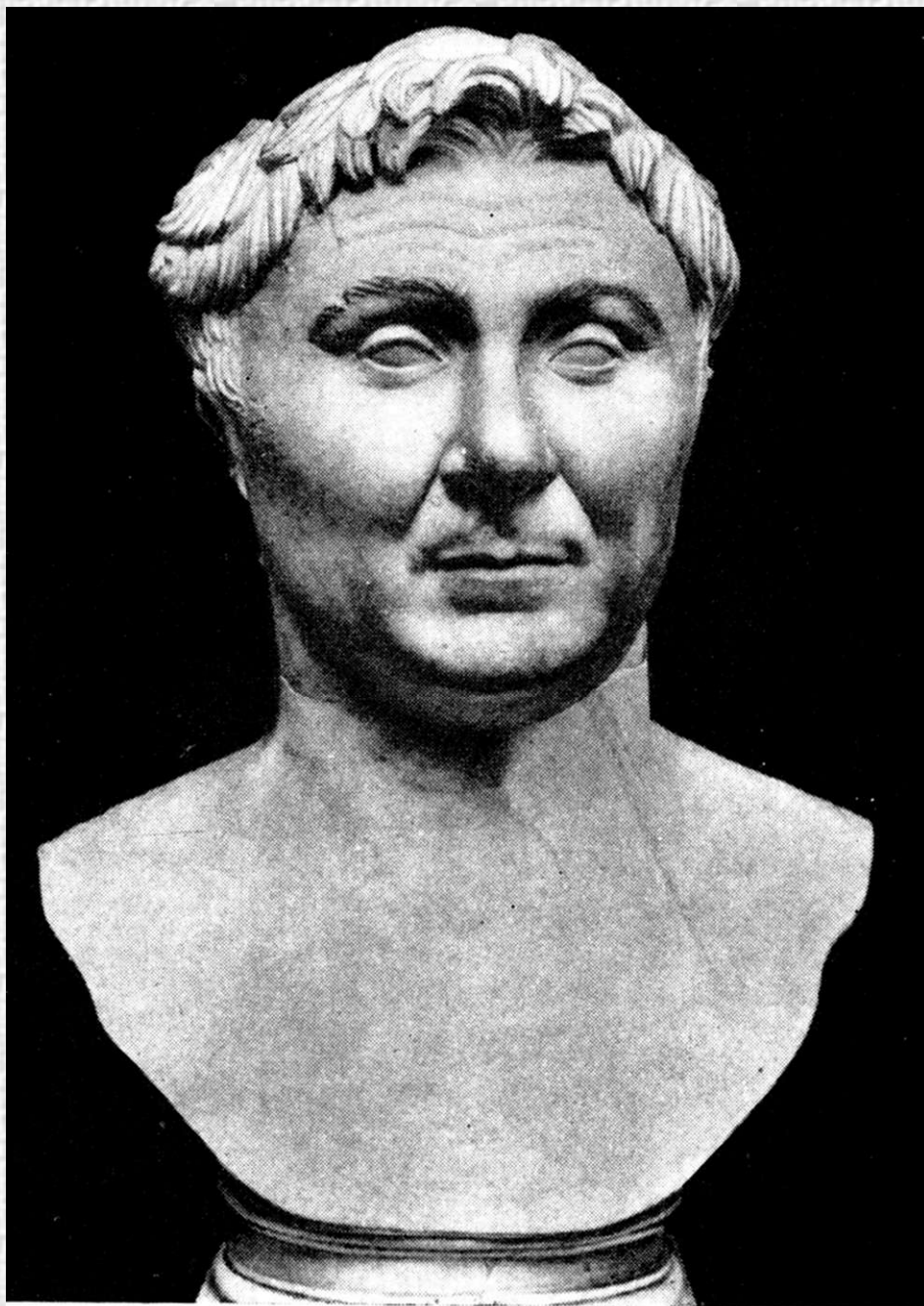
Kiedy Cynceron zjawił się w sądzie, by złożyć swoje zeznania w sprawie Klodiusza, sędziowie przyjęli go manifestacyjnie jako obrońcę ładu i zbawcę ojczyzny. Jego świadectwo było krótkie i jasne: trzy godziny przed feralnym zajściem widział się z Klodiuszem w Rzymie.

Wydawało się, że sprawa Klodiusza została już definitywnie przesądzona i że wyrok może być tylko skazujący. Tymczasem za kulisami zapadły inne decyzje. Za pośrednictwem jednego sprytnego niewolnika Krassus załatwił w krótkim czasie sprawę, która od kilku miesięcy była głównym przedmiotem sporu najwybitniejszych mężów stanu. Prawie wszyscy sędziowie zostali przekupieni. Klodiusza uznano za niewinnego większością sześciu głosów.

BR

CZĘŚĆ DRUGA

# TRIUMWIRAT I GALIA



Gnejusz Pompejusz





## HISZPANIA

Jako były pretor Cezar miał objąć obecnie, według zasad rzymskiego ustroju, namiestnictwo jednej z prowincji. Przypadła mu w udziale prowincja Hiszpania Dalsza - ta sama, w której działał przed kilku laty jako kwestor. Dla formalnego objęcia urzędu potrzebna jeszcze była uchwała senatu, wyznaczająca nowemu namiestnikowi jego budżet i limit sił zbrojnych. Ale w tym roku nastąpiła zwłoka w przygotowaniu uchwał, spowodowana głównie sporami wokół sprawy Klodiusza. Ponieważ jednak uchwała miała znaczenie czysto formalne, Cezar postanowił wyjechać z Rzymu natychmiast po zakończeniu procesu.

W życiu politycznym stolicy nie zapowiadały się żadne doniosłe wydarzenia. Pompejusz wciąż prowadził rokowania o realizację swych planów i żądań. A tymczasem zwłóczono nawet z przyznaniem mu prawa odbycia triumfu, do czego w pełni upoważniały go świetne zwycięstwa na Wschodzie. Po rozwodzie z Mucją stosunki Pompejusza i Cezara uległy ochłodzeniu. Rzecz prosta, obaj byli zbyt wytrawnymi politykami, by jakiegokolwiek osobiste urazy w sprawach alkwianych mogły mieć istotny wpływ na ich poczynania. Ale w obecnej sytuacji Pompejusz szukał zbliżenia do senatu i nie potrzebował w niczym pomocy Cezara. Przeciwnie, kontakty ze skompromitowanym przywódcą popularów mogły mu tylko zaszkodzić w oczach optymatów.

Wyczuwając, że w istniejącym układzie sił dalszy pobyt w mieście nie przyniesie mu żadnych korzyści, Cezar przyspieszył wyjazd. Ale tuż przed opuszczeniem stolicy wyrosła niespodziewana przeszkoda. Dom Cezara obległ tłum wierzycieli, żądając wśród wrzasków i wyzwisk natychmiastowej spłaty długów. Cezar zachował wprawdzie spokój i mówił z uśmiechem: „potrzebuję milionów, by nic nie mieć”, ale dobrze zdawał sobie sprawę, że stał się pośmiewiskiem całego miasta. Na szczęście Krassus poręczył za najpilniejsze długi i wierzycciele odstąpili od oblężenia. Zobowiązania jednak zostały i trzeba było koniecznie zdobyć środki na ich wyrównanie.

Do swej prowincji udał się Cezar drogą lądową, wybrzeżami Italii i Galii. Jechał bardzo spieszenie i w kilkanaście dni po opuszczeniu stolicy świata, tętniącej życiem i rozgorączkowanej wielkimi intrygami, znalazł się wśród alpejskich skał i śniegów, gdzie tłem głuchoj ciszy był tylko daleki huk wodospadu. Zatrzymano się na noc w jakiejś maleńkiej mieścinie, zagubionej zupełnie wśród górskich lasów i szczytów. Jej mieszkańcy, formalnie od Rzymu zupełnie niezależni i stanowiący jakby odrębne państewko, mówili niezrozumiałym, celtyckim językiem. Zdawali się interesować jedynie swymi trzodami na halach i zdobyciem najprostszych środków dla podtrzymania ubogiego życia. Patrząc na owo bytowanie ciche i jednostajne, tak różne od bogactwa i gwaru, które zostawiono za sobą, ludzie z otoczenia Cezara zaczęli wśród żartów rozmawiać, czy i w tej mieścinie - która



przecież musiała jakoś się rządzić - istnieje problem władzy, jakież to rozgrywają się walki o jej zdobycie i jak rozpalają one ambicje tutejszych wielkości. Cezar przysłuchiwał się tym rozmowom w milczeniu, ale w pewnym momencie powiedział: „wolałbym być pierwszym tutaj niż drugim w Rzymie”.

Łatwo było rzucić te dumne słowa, lecz jednocześnie i sam Cezar, i wszyscy w jego gronie musieli sobie uświadomić, że ma już lat ponad 40 i nie jest w Rzymie ani pierwszym, ani nawet drugim.

Był natomiast przez dwanaście miesięcy pierwszym w swej prowincji, w Hiszpanii Dalszej, krainie bardzo bogatej i ludnej. Poprzez jej żyzne doliny, wśród rozległych gajów oliwnych, łąnów pszenicy i wzgórz pokrytych uprawami winorośli, płynęły ku Atlantykowi rzeki Betis, Tag i Duero. Nad samym tylko Guadalkwiwirem (Betis) liczono prawie dwieście dostatnich miast i miasteczek. Rojące się od ryb rzeki i ich dopływy miały swoje źródła na rozległej wyżynie wnętrza półwyspu lub też spływały z ostrych, skalistych łańcuchów górskich. Właśnie te góry kryły najbardziej nęcące bogactwa kraju: niewyczerpalne, choć dobywane od wieków, złoża metali. Grudki złota, rudy srebra, ołowiu i cyny miejscami znajdowano niemal na powierzchni. Rzeki, żeglowne daleko w głąb lądu, niosły owe bogactwa do miast nadmorskich, gdzie zawijały okręty z wielu krain i portów. Rzym był jeszcze nędzną i nikomu nie znaną osadą, kiedy nad ujściem Betis kwitnęło już miasto Tartessos, o którego skarbach krążyły legendarne wieści nawet w krainach Wschodu. Znęćeni nimi kupcy fenicy przejęli prawie cały handel pośredniczący z rąk miejscowych, skłóconych plemion iberyjskich. Później Kartagińczycy, wyparci przez Rzym z Sycylii, próbowali mocniej usadowić się w Hiszpanii. Wielkie sukcesy osiągnął tu Hannibal. Wówczas zawistni Rzymianie sprowokowali wybuch nowej wojny z Kartaginą. Ta druga wojna punicka kosztowała ich morze krwi i bezmiar spustoszeń w samej Italii, ale ostatecznie stali się panami całej Hiszpanii.

Choć od tych wypadków do czasów Cezara upłynęło prawie półtora wieku, panowanie rzymskie na półwyspie dotąd nie było całkowite. Ludy iberyjskie bohatercko broniły swej niezależności. Wielkie powstanie Luzytanów krwawo stłumiono kilkadziesiąt lat przed Cezarem, jednakże właśnie w Hiszpanii Dalszej żyło w górach wiele nie ujarzmionych plemion. Nie atakowały one Rzymian, ale też nie uznawały ich władzy i roszczeń. Poprzednicy Cezara przeważnie tolerowali ten stan rzeczy, walki bowiem z góralami mogły być ryzykowne, dla umiarkowanego zaś wzbogacenia się wystarczało mocniej pocisnąć spokojną ludność miast i równin.

Lecz nowy namiestnik miał ambitniejsze plany i przystąpił do ich realizacji natychmiast po objęciu urzędowania. W prowincji stacjonowało wówczas 20 kohort (batalionów) wojsk rzymskich, w sumie więc najwyżej 10.000 ludzi. Wystarczało to dla zapewnienia spokoju i gromienia pojawiających się czasem band rozbójników, było jednak za mało dla rozpoczęcia jakiegokolwiek poważniejszej akcji przeciw niezależnym ludom. A tylko tą drogą można było

zdobyć szybko większe bogactwa: skarby rodowe i plemienne, bydło, przede wszystkim zaś niewolników, których sprzedawano do rozbudowujących się kopalń. Dlatego też pierwszym posunięciem Cezara było zorganizowanie - z upoważnienia ze strony senatu - dziesięciu dalszych kohort. Dysponował więc teraz trzema legionami. Zyskał sobie doskonałego współpracownika w osobie Lucjusza Korneliusza Balbusa. Pochodził on z Gades, ale już od dziesięciu lat miał rzymskie obywatelstwo. Znając świetnie miejscowe stosunki, Balbus, mianowany dowódcą oddziałów inżynieryjnych, oddał Cezarowi ogromne usługi. Był wiernym i zdolnym agentem politycznym Cezara również i później w Rzymie.

Ale posiadanie armii nie oznaczało jeszcze możliwości rozpoczęcia kampanii. W ówczesnej sytuacji senat rzymski niechętnie by widział wszczynanie samowolnie działań zaczepnych. A w razie niepowodzenia wrogowie Cezara mogliby łatwo go zgubić w opinii publicznej jako nieodpowiedzialnego i nieudolnego wodza. Taki obrót sprawy oznaczałby ruinę finansową i koniec dalszej kariery. Należało więc rzecz tak poprowadzić, by w Rzymie odniesiono wrażenie, że to Cezar został zaatakowany i zmuszony do podjęcia działań w obronie pokoju.

A tymczasem plemiona iberyjskie zachowywały się spokojnie jak nigdy. W ostateczności Cezar miał się łatwej do przejrzenia prowokacji. Pod pozorem walki z gromadami rozbójnictwa zażądał od ludności zamieszkującej góry zwane dziś Sierra da Estrella, między rzekami Tag i Duero, by opuściły swe niedostępne osady i przeniosły się na równiny. Górale, jak było do przewidzenia, odmówili. Kiedy w okolicy pojawiły się oddziały rzymskie i rozpoczęły się pierwsze utarczki, mieszkańcy nizin nad Duero przeprawili swoje rodziny i cały dobytek za rzekę. Uczynili to z obawy, że Rzymianie, skoro tylko uporają się z góralami, znajdą powód, by zaatakować i obrabować ich samych. Ową ostrożność Cezar natychmiast uznał za akt wrogi. Rozkazał zająć wszystkie okoliczne osady. Wreszcie miał upragnioną sposobność wojny i rabunku na szerokim froncie.

Ostatecznie górale zostali pokonani, ale większości udało się uciec aż na wybrzeża Atlantyku i przeprowić na małą wysepkę. Choć Rzymianie nie mieli pod ręką żadnych okrętów, wysepka wydawała się tak bliska, że Cezar wydał rozkaz przepłynięcia tam na zbitych naprędce tratwach. Oficer prowadzący desant kazał przybić do skalistego odnoża wyspy, którym łatwo było przejść dalej. Ale w tymże momencie rozpoczął się odpływ - zjawisko, którego mocy i ogromu Rzymianie w ogóle nie doceniali. Fale porwały i pociągnęły daleko na morze większość tratw i wyładowujących się ludzi. Garstka, której udało się przedostać na wyspę, została wycięta w pień przez obrońców. Uratował się tylko jeden legionista. Ranny i broczący krwią dotarł wpław na ląd.

Ta porażka nauczyła Rzymian ostrożności. Generalny szturm na wyspę przypuszczono dopiero po nadpłynięciu okrętów, po które posłano aż do Gades. Napotkano opór niespodziewanie słaby. Obrońcy wyspy, głodujący od tygodni, byli u kresu sił.

Okręty skierowały się następnie dalej na północ, na sam zachodni cypel

Hiszpanii. Był to kraj zamieszkały przez lud Kallajków. Nad zatoką morską, wdzierającą się głęboko w strome góry, wiodło tam cichy i dostatni żywot miasto Brigancjum. W tych stronach niewiele dotąd słyszano o Rzymianach. Sam widok okrętów, na których pokładach stały lśniące bronią, karne szeregi żołnierzy, wystarczył, by przerażeni mieszkańcy poddali się i złożyli w dani wszystko, czego od nich żądano.

Tak więc kilkumiesięczna zaledwie kampania przyniosła znaczne sukcesy - duże zdobycze i sławę dobrego wodza, tym cenniejszą dla Cezara, że po raz pierwszy dowodził samodzielnie większą siłą zbrojną. Żołnierze Cezara, wzbogaceni łupami, okrzyknęli go „imperatorem”. Ów tytuł upoważniał do starania się o odbycie triumfalnego wjazdu do stolicy. Formalnie prawo to przyznawał senat, ponieważ jednak uchwalił on już na wieść o zwycięstwach Cezara odprawienie nabożeństwa dziękczynnego, więc i zgoda na odbycie triumfu wydawała się zupełnie pewna. Co prawda cała owa kampania hiszpańska nie mogła się równać ani swym rozmachem, ani też rezultatami z prawdziwie wielkimi wojnami i sukcesami Gnejusza Pompejusza. W wyniku jego ostatnich zwycięskich pochodów Rzym zyskał na Wschodzie wielkie, bogate prowincje: Pont i Bitynię oraz Syrię. A przecież nie była to pierwsza wielka wojna Pompejusza. Tym olśniewającym zwycięstwom miał Cezar do przeciwstawienia tylko zwykłą wojnę prowincjonalną, jedną z tych, jakie niemal co roku prowadził któryś z namiestników.

Cezar zajął się również administracją cywilną swojej prowincji. Co prawda i tu najważniejszy był dlań interes osobisty. Urząd namiestnika, jak wszystkie urzędy w ówczesnym Rzymie, był honorowy i oficjalnie nie dawał żadnych korzyści finansowych. Skarb państwa wyznaczał tylko niewielkie sumy na pokrycie pewnych wydatków, przede wszystkim na utrzymanie armii. Ale namiestnik jako najwyższy sędzia, dowódca i naczelnik administracji na podległych sobie terenach był przez rok panem życia i mienia mieszkańców swej prowincji. Ludność starała się więc zyskać sobie jego przychylną składając dobrowolnie cenne dary. Jeśli tylko namiestnik nie przekraczał pewnej zwyczajowej granicy przy wskazywaniu wysokości owych dobrowolnych darów i jeśli nie dopominał się o nie zbyt brutalnie, uchodził za człowieka rzetelnego i ludzkiego. Namiestnik bezwzględny i okrutny bywał czasem oskarżany o zdzierstwa. Ale działo się to nader rzadko, oskarżenie bowiem mogło mieć miejsce dopiero po złożeniu urzędu i przed trybunałem w samym Rzymie. Była to procedura długa, uciążliwa i kosztowna, nie rokująca zresztą wiele nadziei. Namiestnicy zmieniali się w zasadzie co rok, rokrocznie więc trzeba było na nowo zbierać znaczne sumy dla ich zjednania - niezależnie od wysokich danin, które prawie wszystkie miasta i ludy podbite musiały składać na rzecz państwa. Pieniądz, wysysany z prowincji różnymi sposobami, stawał się tam rzadki i drogi. Można go było pożyczyć od rzymskich finansistów i spółek handlowych, ale na lichwiarski procent. Tak więc rządy rzymskie groziły gospodarczą ruiną nawet najbogatszym prowincji. Nie inaczej było w Hiszpanii Dalszej. Poprawić ten stan rzeczy w sposób zasadniczy nie było w

mocy jednego człowieka, trzeba by bowiem zmienić w ogóle strukturę całego państwa. O tym Cezar wówczas nie myślał. Sam był zresztą zainteresowany w tym, by wyciągnąć ze swej prowincji możliwie wiele.

Dał więc wyraźnie do zrozumienia, jak wysoko by sobie cenił dowody uznania dla swych ojcowskich rządów, i otrzymał więcej bogatych darów niż którykolwiek z jego poprzedników. Ale z drugiej strony Cezar od lat tonący w długach lepiej niż kto inny rozumiał położenie ludności. By w jakiejś mierze przyjąć jej z pomocą, zabronił zajmowania przez wierzycieli więcej niż 2/3 rocznego dochodu z posiadłości niewypłacalnego dłużnika. Uznano to zarządzenie za wyjątkowo ludzkie.

Najwięcej stosunkowo czasu poświęcił Cezar regulowaniu stosunków w głównym mieście swej prowincji, w Gades. Toczyły się tam ostre walki o władzę między różnymi grupami ludności. Południowy temperament hiszpański dodawał tym konfliktom szczególnej gwałtowności. Dzięki radom i wskazówkom Balbusa udało się doprowadzić do ugody.

Swoją prowincję opuścił Cezar równie szybko i nagle, jak się w niej zjawiał, nim jeszcze przybył następca, któremu winien by przekazać oficjalnie urząd i wszystkie sprawy. Ale był już czerwiec roku 60 i należało się spieszyć, by na czas rozpocząć w stolicy wielką grę polityczną.



## POTWÓR TRÓJGŁOWY

**U** bram Rzymu, jak kazał zwyczaj, czekał Cezar na wielką chwilę swego życia. W zasadzie rzecz była już postanowiona, chodziło tylko o decyzję senatu co do dnia odbycia triumfalnego wjazdu. Dlatego też Cezar wyłożył już wielkie sumy na przygotowanie i uświetnienie pochodu. Jak każdy triumfator miał wjechać do stolicy na rydwaniu zaprzężonym w cztery białe konie, odziany w purpurową tunikę haftowaną w złote palmy i równie purpurową togę zdobioną złotymi gwiazdami, uwieńczony laurem, trzymając w ręku berło z kości słoniowej o głowicy w kształcie orła. W jego orszaku mieli iść byli żołnierze, niosąc najświetniejsze łupy z odbytej kampanii, makiety zdobytych miast i obrazy przedstawiające sceny bitew. Uroczysty pochód kroczyłby, wśród grania trąb i fletów, pieśni żołnierzy i okrzyków tłumów, Drogą Świętą na Kapitol, przed ołtarz Jowisza.

Jedna tylko sprawa nieco komplikowała sytuację i nie pozwalała przyszłemu triumfatorowi na pełne rozkoszowanie się tak bliską chwilą blasku. W lipcu, więc już za kilkanaście dni, miały się odbyć wybory na konsulów na rok przyszły - 59. Cezar postanowił właśnie teraz wysunąć swoją kandydaturę. Upoważniał go do tego i wiek, i sprawowane dotąd urzędy, i obecny triumf. Jednakże kandydaci musieli w oznaczonym terminie oficjalnie stanąć w mieście i wpisać się na listę ubiegających się o urząd. Ale właśnie tej prostej formalności Cezar wciąż nie mógł

dopełnić, albowiem jako wódz czekający na triumf miał zamknięty wstęp do miasta. Z chwilą przekroczenia granic stolicy straciłby swoje przywileje „imperatora” i tym samym prawo do triumfu. Ponieważ jednak były już wypadki udzielenia przez senat dyspensy od obowiązku osobistego zgłoszenia kandydatury, Cezar przedłożył odpowiednią prośbę, powołując się na owe precedensy. Ale w senacie czuwała opozycja. Optymacy wszystkich ugrupowań byli jednakowo wrodoży kandydaturze Cezara na ten najwyższy w państwie urząd. Jego przeszłość polityczna, wiązanie się z wywrotowymi ruchami, finansowe bankructwo, skandaliczne miłostki - wszystko to zrażało do osoby Cezara nawet umiarkowanych senatorów. Powszechnie uważano go za człowieka jeśli nie niebezpiecznego, to w każdym razie niepoważnego i nieodpowiedzialnego. Najzaciętsi opozycjoniści skupili się wokół Katona i czynili wszystko, co było w ich mocy, by odwlec rozpatrzenie prośby Cezara.

Nadszedł wreszcie ostatni dzień zgłaszania kandydatur. W senacie rozpoczęła się wielka debata. Umyślni posłańcy powiadamiali Cezara, któremu grunt palił się pod nogami, o przebiegu obrad. Teraz liczyły się już godziny.

Wszystkie meldunki brzmiały identycznie: przy głosie jest Katon; mówi bez przerwy; prawdopodobnie nie skończy przed zachodem słońca. A więc Katon miał się prostego środka, który groził przekreśleniem całego planu Cezara. W senacie nikt nie miał prawa przerwać przemawiającemu. Perorując aż do zakończenia debaty, Katon uniemożliwił powzięcie jakiegokolwiek uchwały co do prośby Cezara. Nie będzie on mógł zgłosić swej kandydatury i w ten sposób zniknie z mora jego ewentualnego konsulatu.

Miało się już pod wieczór, kiedy Cezar powziął bolesną, ale jedyną w tej sytuacji decyzję. Ku zdumieniu wszystkich wszedł w obręb murów miejskich, rezygnując tym samym z prawa odbycia triumfu i tracąc bezpowrotnie ogromne pieniądze, które już wyłożył na jego przygotowanie. Zgłosił formalnie swoją kandydaturę na urząd konsula.

Ale wpisanie na listę kandydatów nie było jeszcze równoznaczne z wygraniem wyborów. A kampania wyborcza nie zapowiadała się łatwo. Szanse Cezara były wątpliwe zarówno z powodu wrogości optymatów, jak i z tej przyczyny, że nie miał dość funduszy dla przekupienia wyborców. Wszystko, co zyskał w Hiszpanii, poszło na pokrycie długów i na przygotowania do niedoszęłego triumfu.

Sprawę pokrycia kosztów wyboru udało się Cezarowi załatwić w sposób przynoszący zaszczyt jego pomysłowości. Jednym z kontrkandydatów był zamożny, ale mało energiczny i jeszcze mniej znany senator Lucjusz Lukcejusz. Cezar zawarł z nim transakcję korzystną, jak się wydawało, dla obu. Lukcejusz miał pokryć wszystkie koszty propagandy wyborczej i przekupić wyborców w imieniu obu, w zamian za co Cezar obiecał użyć swych wpływów w stronnictwie popularów również i dla poparcia swego towarzysza. Tak więc na rok 59 obaj zostaliby konsulami.

Skoro tylko optymacy zorientowali się, że Cezar i Lukcejusz współdziałają,

postanowili i oni poprzeć finansowo swego kandydata, Marka Bibulusa. Przeprowadzili wśród siebie formalną zbiórkę pieniędzy dla opłacenia akcji wyborczej w jego imieniu. Choć cele tej swoistej subskrypcji były oczywiste, nie odmówił swego udziału i sam Katon, niejednokrotnie przedtem rzucający gromy na nieczne praktyki przekupstw wyborczych. I mędrzec stoicki musiał uznać, że czasem cel uświęca środki.

Niez mordowany Cezar szukał tymczasem dalszych sprzymierzeńców. Łatwo stwierdził, że w czasie jego rocznego pobytu w Hiszpanii doszło do poważnego ochłodzenia stosunków między Pompejuszem a senatem. Wielki wódz, pozbawiony poparcia armii, którą tak nieopatrnie rozwiązał po wylądowaniu w Italii, od półtora roku daremnie zabiegał o spełnienie swych słusznych w zasadzie postulatów. Pewny swej przewagi senat pragnął teraz wykazać zwycięzcy Mitrydatesa, kto rządzi państwem. Działali też w senacie osobiści wrogowie Pompejusza, jak Lucjusz Lukullus, któremu przed laty odebrano dowództwo na Wschodzie, by przekazać je właśnie Pompejuszowi. Z największym jednak uporem i zaciekłością występował przeciw Pompejuszowi sam Katon. W swym zacierzewieniu widział on właśnie w Pompejuszu głównego wroga swobód republikańskich i podejrzewał go o „tyrańskie” zamiary. Na nic się zdały pojednawcze gesty, ustępstwa, nawet prośby Pompejusza. Upokarzano go ciągłym zwlekaniem i wynajdywaniem wciąż nowych trudności w realizacji podstawowych żądań: nadania ziemi weteranom i zatwierdzenia wprowadzonej na Wschodzie organizacji nowo zdobytych krain. Nawet na triumf musiał czekać pół roku.

Tak więc polityczna ślepotą Katona i jemu podobnych ostatecznie zraziły Pompejusza do senatu. Ten moment wyzyskał Cezar i bezzwłocznie wszczął rokowania z człowiekiem, któremu nie tak dawno jawnie uwodził żonę. Wykazał Pompejuszowi, że jest jeden tylko sposób przeprowadzenia tak ważnych dlań planów: jeśli on, Cezar, zostanie konsulem. Ponieważ siły ich obu mogą się okazać zbyt słabe dla sprostania optymatom, należy sprzymierzyć się jeszcze z człowiekiem wielkich bogactw i wpływów, dotąd wprawdzie niechętnym Pompejuszowi, ale dość przyjaznym Cezarowi - z Markiem Krassusem.

Pompejusz, dla którego w tej chwili najważniejszą kwestią była realizacja obietnic danych żołnierzom i miastom Wschodu, przystał od razu na plan Cezara. Równie łatwo było przekonać Krassusa, który od lat już przecież prowadził wspólne z Cezarem machinacje polityczne. Jakkolwiek wciąż zazdroszczący Pompejuszowi sławy, Krassus był przede wszystkim człowiekiem interesu i umiał odsunąć na bok wszystkie osobiste urazy tam, gdzie chodziło o pewną korzyść. A pomysł Cezara gwarantował, że będzie można rządzić państwem nie oglądając się ani na zżarty intrygami senat, ani na skorumpowane zgromadzenie ludowe.

W ten sposób doszło do porozumienia trzech: najślawniejszego wówczas wodza, najmożniejszego bogacza i kandydata na konsula, mającego za sobą poparcie popularów. Porozumienie zawarto i zaprzysiężono w zupełnej tajemnicy, ujmując je w formule: „odtąd nie stanie się w Rzeczypospolitej nic, co nie podobałoby się

któremukolwiek z trzech”.

Przez długie miesiące nikt w Rzymie nie domyślał się istnienia owej tajnej umowy. Dopiero fakty, dowodzące współdziałania triumwirów, ujawniły opinii publicznej to, co stało się za kulisami. Ale wówczas było już za późno. Nic w państwie nie mogło się przeciwstawić połączonym siłom trzech potentatów. Na nic zdały się próby oporu w senacie i na zgromadzeniach ludowych, na nic mowy, intrygi, złośliwe dowcipy polityczne. Wszyscy musieli ustępować niewidzialnej sile, która - na pozór nie naruszając starych form ustrojowych, nawet wyzyskując je i niby respektując - zdawała się być wszędzie obecna, wszystko przenikać i naginać do swych bezwzględnych celów. „Trikaranos” - Potwór Trójgłowy - zatytułował wówczas Marek Warron, pisarz i uczonek, satyrę wykpiwającą ów twór groźny i nienawistny. Przyszłość miała okazać, że w istocie był to potwór jeszcze groźniejszy, bo jednogłowy.



## ***CAESARE CONSULE - GDY CEZAR BYŁ KONSULEM***

**P**ierwszym sukcesem triumwirów było przeprowadzenie wyboru Cezara na konsula. Przepadł co prawda Lukcejusz, który na darmo stracił wielkie pieniądze, przeszedł natomiast Bibulus, kandydat optymatów. Formalnie więc obie strony były na równi. Ale okazało się rychło, że energii i zdolnościom Cezara jego kolega w konsulacie, tępy i ograniczony, niewiele może przeciwstawić.

Jedno z pierwszych rozporządzeń Cezara jako konsula miało pozornie znaczenie tylko formalne, w istocie jednak ułatwiło przeprowadzenie dalszych ustaw. Zarządził mianowicie, by publikowano protokoły posiedzeń senatu i zgromadzeń ludowych. Ów dziennik urzędowy, zatytułowany „Acta Diurna”, był wywieszany na Forum i w odpisach dostępny dla wszystkich. W ówczesnej sytuacji politycznej najważniejsze okazało się publikowanie przebiegu obrad senatu, teraz bowiem łatwo było sprawdzić, jakiego zdania są poszczególni senatorowie w danej kwestii. Senat przestał być dostojną, monolityczną wielkością. Ujawniły się zasadnicze różnice zdań i stanowisk, pokazało się, że większość senatorów to ludzie mali i ograniczeni, co najważniejsze zaś, wrodzy tym właśnie ustawom, które z natury rzeczy były dla ludu najżywotniejsze. Jawność życia politycznego stała się pomocą w realizacji planów triumwirów.

Następnym posunięciem było przeprowadzenie ustaw agrarnych. Pierwszą z nich przedstawił Cezar rychło po objęciu urzędu, uchwalono ją zaś w kwietniu. Spotkała się od razu z gwałtownym oporem senatu. Wówczas nie zdawano sobie jeszcze sprawy z miażdżącej potęgi triumwiratu i opozycja sądziła, że zdoła utracić projekt starą i wypróbowaną metodą przewlekania debaty. Ale zadanie to okazało się trudne już choćby z tego względu, że projekt ustawy przemyślano bardzo wszechstronnie. Ustawa była zresztą w ówczesnej sytuacji społecznej i gospodarczej posunięciem wręcz koniecznym, częściowo bowiem rozwiązywała

najbardziej palący problem Italii - kwestię agrarną.

Rozwój wielkiej własności - ogromnych majątków obszarniczych, uprawianych przez tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy niewolników - od dawna już zwichnął równowagę gospodarczą półwyspu i spowodował poważne komplikacje w rzymskiej polityce wewnętrznej. Zanikała drobna własność chłopska, wypierana przez obszarników wszelkimi sposobami: drogą wykupu, konkurencji gospodarczej, często siłą. Chłop pozbawiony ziemi najczęściej wędrował wprost do stolicy, gdzie powiększał i tak już liczne rzesze proletariatu, żyjącego w pełnym nieróbstwie jedynie z łaski państwa i możnych. Te właśnie masy proletariatu, mającego - jako obywatele - prawo głosu, doprowadziły do praktyki przekupstw wyborczych. Z nich rekrutowali się najemnicy, tworzący zbrojne bandy na usługi różnych polityków. Dla ich wyżywienia trzeba było wprowadzić sprzedaż zboża po niższych cenach, co ogromnie obciążało skarb państwa. Cała działalność obu Grakchów miała na celu wstrzymanie tego niebezpiecznego procesu przez częściowe odrodzenie warstwy chłopskiej. Mimo nieszczęsnego losu, jaki spotkał obu braci, w następnych dziesięcioleciach ich myśl była wciąż na nowo podejmowana i wciąż z jednakową bezwzględnością zwalczana przez senat. Jego członkami byli przecież posiadacze wielkich latyfundiów, więc z natury rzeczy obrońcy dawnego ładu i stanu.

Ustawa Cezara przewidywała oddanie pod osadnictwo zarówno domen państwowych, jak też i ziem specjalnie zakupionych z funduszów, które Pompejusz wpłacił do skarbu państwa jako zdobycz z wojny z Mitrydatesem. Działki mieli otrzymać przede wszystkim weterani Pompejusza - w ten sposób wywiązywał się Cezar z przyrzeczenia jemu złożonego - ale też i znaczna liczba proletariatu miejskiego.

Starannie opracowanemu i rozsądnemu projektowi senat nie mógł przeciwstawić żadnej kontrpropozycji ani też konstruktywnej krytyki. Odsuwano moment decyzji wygłaszając napuszone mowy, pozbawione wszelkiej rzeczowej treści. Z braku argumentów rozwodzono się nad kwestiami formalnymi. Do najzaciętszych oponentów należał Katon i współkonsul Cezara, Bibulus. Kiedy nadszedł wreszcie dzień głosowania, Katon zastosował znowu taktykę przemawiania bez przerwy. Doprowadzony do ostateczności Cezar rozkazał aresztować go i wyprowadzić z sali. Sam Katon nie stawiał oporu pachołkom, ale w tymże momencie podniosła się cała grupa senatorów, by dobrowolnie iść z nim razem do więzienia. Ktoś powiedział głośno: „Wolę być z Katonem w lochu niż z Cezarem w pałacu”. Wobec takiej demonstracji Cezar był bezsilny. Ponieważ nie wypadało odwoływać raz wydanego rozkazu, polecił jednemu z oddanych sobie trybunów założyć weto przeciw własnemu zarządzeniu.

Na tym komicznym incydencie zakończyło się wówczas posiedzenie senatu - a jednocześnie wszelkie próby współpracy Cezara z tym dostojnym ciałem. Oświadczył to senatorom wręcz i brutalnie. Projekt ustawy przedłożył wprost zgromadzeniu ludowemu.



Ale optymaci jeszcze nie złożyli broni. Bibulus, zapytany przez Cezara przed całym ludem, co właściwie zarzuca ustawie, nie umiał wprawdzie powiedzieć nic konkretnego, nie ustąpił jednak nawet wówczas, kiedy Cezar wezwał lud, by prośbą i błaganiami starał się przekonać konsula o niesłuszności jego stanowiska. Wtedy to po raz pierwszy Cezar odwołał się jawnie do pomocy dwu pozostałych triumwirów. Zwrócił się do Pompejusza i Krassusa z żądaniem, by publicznie oświadczyli, jakie jest ich zdanie o ustawie. Obaj, rzecz prosta, wyrazili całkowitą aprobatę. A gdy Cezar zapytał ich, jak zachowają się wobec gróźb użycia przemocy przez optymatów, Pompejusz odrzekł z całym spokojem, że przeciw mieczom wrogów wystąpi i z mieczem, i z tarczą.

Już w nocy poprzedzającej dzień ostatecznego głosowania triumwirowie obsadzili Forum swymi ludźmi, uzbrojonymi w ukryte w zanadrzu noże i sztylety. Na nic się zdały uroczyste obwieszczenia Bibulusa, że przeprowadza właśnie religijne obserwacje wieszczych znaków na niebie - a według pradawnych zwyczajów bez dokonania takich obserwacji i bez otrzymania pomyślnych wskazówek nie mogło się odbyć prawomocne zgromadzenie. Wówczas garstka nieprzejednanych optymatów pod wodzą samego Bibulusa oraz Katona i Lukullusa usiłowała przeszkodzić referowaniu ustawy w ten sam sposób, jak przed dwoma laty z powodzeniem uczynił to Katon. Trybuna, na której zasiadali przewodniczący zgromadzenia, znajdowała się, jak i wówczas, na stopniach przed świątynią Kastora. Optymaci próbowali wdrzeć się na nią. Ale tym razem ludzie Cezara działali bezwzględnie. Bibulusa siłą ściągnięto w dół i wsadzono mu na głowę kosz pełen gnoju. Kiedy mimo to stawiał opór i pchał się na schody, został raniony. Z trudem tylko udało się przyjaciołom wciągnąć go do pobliskiej świątyni. Raniono również dwu trybunów ludu stojących po stronie optymatów. Katona przegnano z Forum, choć z uporem wracał kilkakrotnie, zaklinając „współobywateli”, by się opamiętali.

Ustawa, szybko przyjęta przez zgromadzenie, stała się prawomocna. Zaraz następnego dnia Bibulus zwołał posiedzenie senatu, by oskarżyć swego kolegę o zamach stanu, o znieważenie godności urzędu i o złamanie najświętszych praw obywatelskich. Ale tym razem w dostojnym gronie kilkuset senatorów nie znalazł się nikt, kto miałby cywilną odwagę poparcia słusznych żalów konsula. Strach przed „trójgłowym potworem” poraził wszystkich. Pozostawiony sam sobie Bibulus zamknął się w domu i odtąd całą swoją działalność urzędową ograniczał jedynie do regularnego wysyłania woźnych na Forum w dniach zgromadzeń ludowych. Obwieszczali oni, że konsul Bibulus właśnie obserwuje niebo - więc obrady zgromadzenia należy odroczyć. Witano ich śmiechem i drwinami.

By zabezpieczyć na przyszłość swoją ustawę przed atakami ze strony senatu, Cezar dołączył klauzulę, zobowiązującą wszystkich senatorów do złożenia przysięgi, że będą jej przestrzegać. Znalazła się grupa optymatów gotowa raczej iść na wygnanie niż przysięgać wbrew przekonaniu. Przewodził im Katon. Ale większość uważała, że pozowanie na bohaterów, kiedy sprawa i tak już przegrana, jest

po prostu bez sensu. W imieniu umiarkowanych Cyceron począł przekonywać Katona. Można wątpić, czy zaważyły argumenty politycznego rozsądku, z pewnością jednak przekonało Katona piękne powiedzenie - tych miał Cyceron zawsze pod dostatkiem - czyniące zadość jego bezgranicznej pysze: „musi złożyć przysięgę i pozostać w mieście, bo w tej sytuacji to nie Katon potrzebuje Rzymu, ale Rzym Katona”.

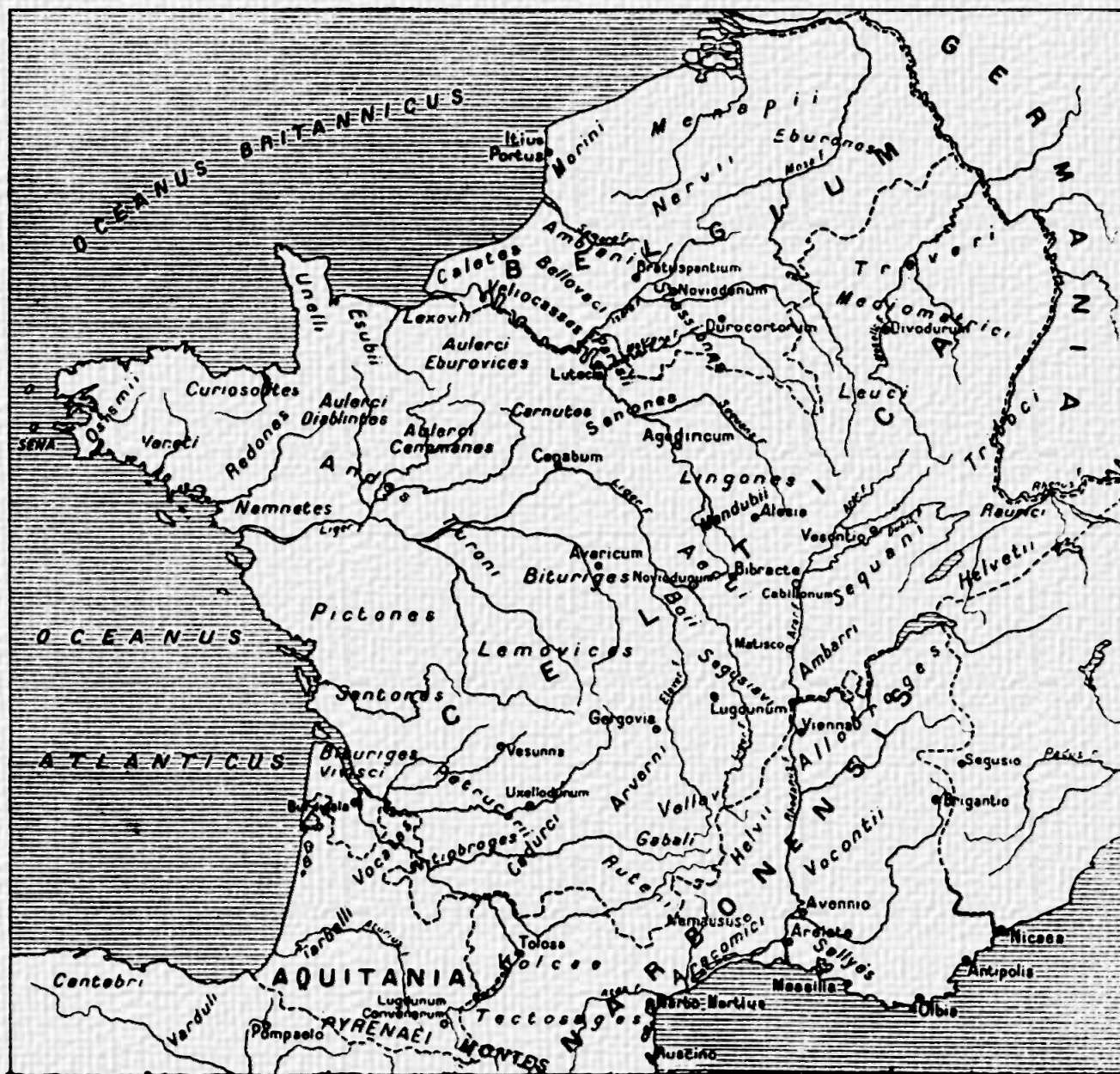
Wszystkie następne ustawy Cezara przechodziły już bez trudności: oddanie pod osadnictwo domen państwowych w Kampanii; zatwierdzenie rozporządzeń Pompejusza na Wschodzie; zakaz przyjmowania darów i sprzedawania przywilejów przez namiestników prowincji. Ta ostatnia ustawa wymierzona była przeciw tym właśnie grzechom, które rok wcześniej popełniał sam jej autor. Zresztą w tym samym czasie, kiedy przeprowadzał ustawę, wziął milionowe sumy od starającego się o tron egipski Ptolemeusza Auletesa za oficjalne uznanie go królem, wielu zaś miastom ułatwił zawarcie korzystnych traktatów z Rzymem w zamian za kosztowne dary.

W miarę jak upływały miesiące konsulatu coraz istotniejsza stawała się sprawa umocnienia triumwiratu i dobrego ugruntowania pozycji politycznej na przyszłość. By związać ze sobą Pompejusza, dał mu za żonę swoją jedyną córkę, słynną z urody Julię. W ten sposób stał się teściem człowieka od siebie starszego. Sam poślubił Kalpurnię, córkę Lucjusza Kalpurniusza Pizona. Było to małżeństwo podyktowane względami politycznymi. Pizon miał zostać konsulem na rok następny, tj. 58, i strzec porządku ustanowionego przez triumwirów.

Młodziutka, osiemnastoletnia żona nie interesowała Cezara. Był on wówczas całkowicie pod urokiem Serwili, damy już w średnim wieku, ale dzięki inteligencji i czarującemu sposobowi bycia pierwszej pani w życiu towarzyskim ówczesnego Rzymu. Pochodziła z jednego z najświetniejszych rodów arystokratycznych. W roku 59 była już dwukrotną wdową. Jej pierwszy mąż, Marek Juniusz Brutus, został stracony na rozkaz Pompejusza w roku 77 jako uczestnik nieudanej rewolty Lepidusa - tej właśnie, do której starano się wciągnąć i Cezara. Z tego to pierwszego małżeństwa Serwili pochodził syn, noszący imię ojca. Za konsulatu Cezara miał dopiero 20 lat.

Uczucie, jakim Cezar darzył Serwilię, nie było w stolicy tajemnicą. Mówiono o perle ogromnej wartości, którą jej ofiarował; może została ona kupiona za pieniądze otrzymane od Ptolemeusza? Ale wpływ tej kobiety na Cezara najwyraźniej wystąpił w związku z tajemniczą aferą Wetiusza. Był to zawodowy denuncjator. On to właśnie jesienią roku 63 oskarżył Cezara o uczestnictwo w spisku Katyliny. Obecnie zeznał przed senatem, że życiu Pompejusza grozi wielkie niebezpieczeństwo, powstało bowiem sprzysiężenie optymatów w celu zamordowania triumwira. Wymienił wiele osób, wśród nich konsula Bibulusa, młodego Kuriona, Marka Brutusa. Następnego dnia Wetiusza publicznie przesłuchiowano na Forum. Tu podał jeszcze więcej nazwisk, właściwie prawie wszystkich wybitniejszych optymatów, m. in. Lukullusa, a nawet Cycerona. Ale tym razem nawet nie wspomniął o synu

Serwili. To przemilczenie powszechnie tłumaczono tym, że w ciągu nocy matka ubłagała kogoś wpływowego, kto był właściwym autorem zeznań Wetiusza.



Galia w czasach Cezara.

Głupota denuncjatora i jego płątanie się w odpowiedziach przekonały wszystkich, że ów rzekomy spisek jest intrygą, uknutą w celu zdyskredytowania politycznych wrogów triumwirów, i że właściwym reżyserem ponurej farsy jest sam Cezar. Jednego z najbliższych dni Wetiusz został zgładzony w więzieniu - oczywiście na polecenie osoby, której po odegraniu swej roli stał się niewygodny.

W nastrojach ludności stolicy nastąpiła w miesiącach letnich poważna zmiana. Nikt nie ośmielał się występować wprost przeciw triumwirom, wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że nie ma już prawdziwej wolności. W teatrze publiczność kazała aktorowi powtarzać wielokrotnie wiersze: „Nadejdzie czas, gdy gorzko żałować będziesz obecnej wielkości” - odnosząc te słowa do Pompejusza. Burzą oklasków witano wchodzącego na widownię młodego Kuriona, jednego z

najzaciętszych przeciwników Cezara. Przy edyktach, wciąż wywieszanych przez Bibulusa, gromadziły się tłumy, natomiast mowę Pompejusza przeciw uwięzionemu w domu konsulowi przyjęto głuchym milczeniem. Senatorowie nie przychodzili na posiedzenia, w czasie których gmach obsadzały zbrojne straże Cezara. Jeden z najstarszych wiekiem senatorów powiedział Cezarowi wprost, że on sam przyszedł tylko dlatego, że stoi już nad grobem i nie boi się niczego.

Ale ta wzrastająca wrogość opinii publicznej tylko pobudzała Cezara do wysiłków utrzymania raz zdobytej władzy. Najważniejsze było zapewnienie sobie na przyszłość dowództwa nad większymi jednostkami wojskowymi. W samej Italii w zasadzie nie wolno było stacjonować dużym oddziałom, a więc w grę wchodzić mogły tylko garnizony najbliższych prowincji. Optymacy zdawali sobie sprawę, jakie znaczenie miałyby uzyskanie przez Cezara politycznie ważnej prowincji, i dlatego też jeszcze przed formalnym objęciem przezeń konsulatu przeprowadzili w senacie uchwałę, że konsulowie roku 59 otrzymają po złożeniu urzędu tylko nadzór nad górskimi i pasterskimi rejonami Italii. Cezar publicznie oświadczył, że przyszłe namiestnictwo jest mu zupełnie obojętne, ale potajemnie wydał odpowiednie polecenia oddanemu sobie trybunowi Watyniuszowi. Wiosną roku 59 przeprowadził on na zgromadzeniu ludowym ustawę, która oddawała Cezarowi w namiestnictwo na lat pięć dwie prowincje o kluczowym znaczeniu: Galię Przedalpejską, czyli dzisiejsze Włochy Północne, oraz Ilirję, czyli wybrzeża dzisiejszej Jugosławii. Granicę administracyjną między Galią a właściwą Italią stanowiła mała rzeczka, wpadająca do Morza Adriatyckiego pod Ariminum. Zwała się ona Rubikon.

W Galii stacjonowały trzy legiony, ludność zaś miejscowa była szczerze oddana Cezarowi, pamiętała bowiem jego działalność w roku 68, kiedy to zażądał przyznania jej pełnych praw obywatelskich. Tak więc administrując najbliższą Italię prowincją i dysponując znaczną siłą zbrojną, Cezar mógł nadzorować wydarzenia w stolicy, jak pan zamku włada bezbronnym miastem u stóp góry. Tak określił to Katon.

Ale namiestnictwo nad Galią Przedalpejską miało i pewną stronę ujemną. Ta zamożna, spokojna kraina nie dawała możliwości wszczęcia działań wojennych z ludami pogranicznymi. Wprawdzie ani Alpy, ani góry wnętrza Ilirii nie były jeszcze podbite, jednakże trudne warunki terenowe nie rokowały tu szybkich sukcesów, nieliczna zaś ludność zajmowała się głównie pasterstwem i nie posiadała nic, co mogłoby nęcić zdobywców. A tymczasem Cezar tonął jak zwykle w długach. Samo urządzenie igrzysk kosztowało miliony. Żądny też był sławy wojennej i zdobycia wreszcie prawa odbycia triumfu, które stracił tak niefortunnie. Namiestnictwo w Hiszpanii nauczyło go wiele. Wiedział już, jak sprowokować wybuch wojny w imię obrony bezpieczeństwa Rzymu i jak działać, by dała ona odpowiednie zyski.

Przemyślał dokładnie, która prowincja byłaby pod tym względem najponętniejsza. Wybór padł na Galię Narbońską, czyli na dzisiejszą południową

Francję. Wchodziła ona w skład państwa rzymskiego od roku 118. Pozostała natomiast część ogromnej krainy między Atlantykiem a Renem, zamieszкана przez wiecznie skłócone plemiona Galów, była zupełnie niezależna. Cezar wiedział, że są to ziemie ludne i bogate, wszystko zaś wskazywało, że nie będzie trudno wmieszać się w wewnętrzne spory między poszczególnymi ludami, z których każdy był zarazem wewnętrznie rozdarty ukrytą walką między wszechwładną arystokracją a chłopstwem, pozostającym w półniewolniczej zależności od swych panów.

Wniosek, by przyznać Cezarowi Galie Narbońską, postawił w senacie sam Pompejusz. Uchwalono go potulnie. Wraz z nową prowincją otrzymał też Cezar komendę nad stacjonującym tam legionem.

Tak więc Cezar zapewnił sobie na lat 5 prowincje ważne i dochodowe. Pompejusz i Krassus natomiast postanowili pozostać w Rzymie, by tu czuwać nad swoimi sprawami - Pompejusz nad osadnictwem weteranów, Krassus nad interesami finansowymi.



## HELWECI

**W** roku 61, kiedy Cezar sprawował namiestnictwo Hiszpanii Dalszej, do Rzymu przybył dostoyny gość z Galii Zaalpejskiej - najwyższy kapłan ludu Eduów z górnej Loary, druid Dywicjakus. Eduowie, mieszkający już poza granicami prowincji, byli od dawna w dobrych stosunkach z Rzymem, którego pomocy potrzebowali, walcząc nieustannie ze swymi sąsiadami od zachodu i wschodu: Arwernami, którzy zostawili po sobie nazwę krainie niegdyś zajmowanej - Auvergne, oraz Sekwanami między Saoną, górami Jura i Renem. Kiedy oba te ludy okazały się zbyt słabe i nie mogły sprostać Eduom, Sekwanowie wzięli na żołd wojowników germańskich z za Renu. Przewodził im Ariowist z plemienia Swebów. Początkowo przybyło ich około piętnastu tysięcy, później zaś dalsze, coraz liczniejsze oddziały. Eduowie zostali pokonani, musieli przekazać Sekwanom zakładników i poddać się woli zwycięzców. Spośród przywódców Eduów jeden tylko Dywicjakus nie zaprzysiągł pokoju i udał się wprost do Rzymu, by tam kołatać o pomoc.

Przyjęty z honorami, zamieszkał u Cyncerona, z którym wiódł subtelne rozmowy o religii i filozofii. Senat życzliwie wysłuchał jego relacji i próśb, ale ostateczny wynik misji okazał się nikły. Rzym nie był zainteresowany w podejmowaniu uciążliwych wypraw dla ratowania jednego z plemion Galii. Powzięto jedynie uchwałę, by każdorazowy namiestnik Galii Narbońskiej bronił Eduów - o ile będzie to z pożytkiem dla Rzeczypospolitej.

A tymczasem sytuacja ulegała stałemu pogorszeniu. Z każdym miesiącem przybywało do kraju Sekwanów coraz więcej wojowników germańskich. Wzywał ich Ariowist, nęciła żyzność ziemi, jakże różnej od porośniętych borami krain Germanii. Wkrótce po zwycięstwie nad Eduami Ariowist zażądał od Sekwanów, by

oddali jego ludziom trzecią część swej roli. Sekwanowie zawarli wówczas sojusz ze swymi dotychczasowymi wrogami, Eduami, i wspólnie próbowali uwolnić się od butnego wodza Germanów. Ponieśli zupełną klęskę. Teraz i Sekwanowie musieli oddać Ariowistowi dzieci swych przywódców jako zakładników. Każde nieposłuszeństwo było karane z bezwzględnym okrucieństwem. Sekwanowie stali się sługami swych najemników, byli ledwie tolerowani na własnej ziemi.

Jednocześnie z wieścią o klęsce Eduów i Sekwanów nadeszły do Rzymu meldunki o niebezpieczeństwie zagrażającym Galii Narbońskiej. Północną część dzisiejszej Szwajcarii, między górami Jury, jeziorem Lemana i górnym Renem, zamieszkiwali Helweci, spokrewnieni językowo z ludami sąsiedniej Galii. Uboga, skalista kraina nie mogła wyżywić szybko rozradzającej się ludności. Co gorsze, od północy i wschodu napierały na Helwetów ludy germańskie. Wówczas jeden z możnowładców helweckich, Orgetoryks, rzucił hasło opuszczenia niegościnniej ziemi i szukania nowej, bogatszej ojczyzny. Znalazł tysiące zwolenników. Dla ułatwienia wędrówki wszedł w porozumienie z Eduami i Sekwanami. Sojuszowi tych trzech najliczniejszych i najbitniejszych plemion celtyckich nie mógłby się oprzeć nikt w Galii. Również i Rzym stanąłby w obliczu nowej sytuacji, albowiem u granic prowincji wyrosłaby groźna potęga. Dlatego już w marcu roku 60, na wiadomość, że Helweci czynią wypadki w głąb Galii Narbońskiej i że Orgetoryks nawiązał kontakty z przywódcami różnych plemion, senat zarządził wysłanie posłów do państewek Galii dla odciągnięcia ich od sojuszu z Helwetami. Jednakże niebezpieczeństwo na pewien czas minęło. Zbyt ambitne plany Orgetoryksa wywołały opozycję wśród samych jego współplemieńców. Pozwano go przed sąd o zdradę stanu; w razie skazania groziłoby mu spalenie żywcem. Ale oskarżony zjawił się w dniu rozprawy z zastępem dziesięciu tysięcy swych poddanych. Sprawę odroczone, by władze i wrogowie Orgetoryksa mogli zebrać swoich ludzi. Do wojny domowej nie doszło tylko dlatego, że Orgetoryks zmarł; mówiono, że popełnił samobójstwo.

Ale śmierć Orgetoryksa tylko odwlokła helwecki plan wędrówki. Wiedząc o tym Rzymianie szukali w Galii sojusznika dla trzymania w szachu samych Helwetów i ich sprzymierzeńców. Kiedy więc za konsulatu Cezara przybyli do Rzymu posłowie Ariowista z prośbą o uznanie ich pana za króla i nadanie mu tytułu przyjaciela ludu rzymskiego, Cezar wyjednał u senatu zgodę na spełnienie obu ich życzeń - nie bacząc, że w ten sposób aprobuje usadowienie się Germanów w Galii i zdradza sprawę Eduów.

Do ostatecznych przygotowań do wędrówki przystąpili Helweci z początkiem roku 58. Postanowiono, że wyruszy cały lud. Skłoniono też do wywędrowania kilka małych, sąsiednich plemion. Dokładny spis, znaleziony później przez Cezara, podawał, że wyszło łącznie 368.000 ludzi, z czego samych Helwetów 263.000; zdolnych do walki było 92.000. By zerwać wszystkie więzy z dawną ziemią i nie pozostawić nikomu nadziei powrotu, spalono miasteczka, osady, nawet wolno stojące budynki. Zniszczono też zapasy żywności, biorąc ze sobą tylko zboże na trzy

miesiące.

Były tylko dwie drogi, którymi Helweci mogli wydostać się ze swej kotliny. Obie zaczynały się u zachodniego krańca jeziora Lemana, gdzie wypływa zeń Rodan. Pierwsza wiodła prawym brzegiem rzeki u stóp gór zwanych dziś Piat des Roches i Grand Credo. To przejście, miejscami tak wąskie, że wozy mogły jechać tylko pojedynczo, zwie się obecnie Pas de l'Ecluse. Druga droga była dogodniejsza: szła od Genawy, czyli dzisiejszej Genewy, lewym brzegiem Rodanu, który miejscami można było przebyć w bród. Sama Genawa leżała na ziemiach plemienia Allobrogów, podległych Rzymowi. Ale Helweci sądzili, że Allobrogowie zezwolą im na przejście, rzymski zaś namiestnik dla spokoju nie będzie stawiał trudności. Ustalili więc, że dnia 24 marca cała ludność ma stawić się nad Rodanem.

Dopiero na wiadomość o wyznaczeniu tego terminu Cezar wyruszył do Galii spod Rzymu, gdzie przebywał od chwili złożenia konsulatu. Wstrzymywała go w pobliżu stolicy przede wszystkim sprawa Cyclerona. Będąc konsulem Cezar wielokrotnie starał się przeciągnąć na swoją stronę wielkiego mówcę. Ale Cycleron nie tylko odmawiał współpracy, lecz wręcz zapowiedział zaatakowanie agrarnych ustaw Cezara. Triumwirowie zdecydowali więc, że należy go zmusić do opuszczenia Rzymu, w tym celu posłużono się Klodiuszem, śmiertelnym wrogiem Cyclerona od czasu procesu o świętokradztwo. Wybrany teraz trybunem ludowym od razu wytoczył sprawę skazania bez sądu spiskowców Katyliny. Zgromadzeniu ludowemu przedstawił ustawę, grożącą wygnaniem wszystkim, którzy w ten sposób zgwałcili podstawowe przywileje obywateli rzymskich. Ustawę uchwalono - mimo wszelkich zabiegów, próśb i błagań Cyclerona - w połowie marca. Cycleron opuścił Rzym już kilka dni wcześniej, udając się na wygnanie do Macedonii, Cezar zaś prawie równocześnie wyjechał na północ, do Galii, skąd dochodziły coraz to groźniejsze meldunki o ruchach Helwetów.

Stanął w Genawie po ośmiu dniach podróży. W prowincji zaalpejskiej dysponował tylko jednym legionem. W owych czasach liczba żołnierzy w legionie prawie nigdy nie osiągała teoretycznie wymaganego stanu sześciu tysięcy, była z reguły prawie o połowę niższa. Taka garstka nie mogłaby przeciwstawić się natarciu kilkudziesięciu tysięcy bitnych Galów. Dla uzupełnienia składu legionu Cezar zarządził natychmiastowy pobór w prowincji, na razie zaś postanowił grać na zwłokę. Kiedy zjawili się posłowie Helwetów z prośbą o zezwolenie na przejście przez prowincję, udzielił odpowiedzi, czyniącej wrażenie, że ustosunkowany jest do sprawy życzliwie; ale po ostateczną decyzję polecił stawić się dnia 8 kwietnia. Cały ten czas zużył na forsowne umacnianie wszystkich miejsc na lewym brzegu Rodanu, gdzie przejście wydawało się możliwe - na długości prawie dwudziestu ośmiu kilometrów. Gdy w oznaczonym dniu zgłosili się wysłannicy Helwetów, Cezar zawiadomił ich, że Rzymianie nie zwykli zezwalać nikomu na przemarsz przez swoje ziemie. Wzburzeni Helweci próbowali, jak było do przewidzenia, otworzyć sobie drogę siłą. Na łodziach i na tratwach przepływali dniem i nocą Rodan w różnych punktach, bezskutecznie próbując zdobyć któreś z umocnień.

Wreszcie zaprzestali ataków i postanowili obrać drogę przez dzisiejszy Pas de l'Ecluse. Ta jednak wiodła przez ziemie Sekwanów, którzy bez trudu mogli zamknąć przejścia. W tej sytuacji z pomocą przyszedł Helwetom Dumnoryks, jeden z przywódców ludu Eduów, rodzony brat Dywicjakusa. Był on wtajemniczony w plan Orgetoryksa zmierzający do utworzenia koalicji trzech ludów celtyckich; Orgetoryks miał mu nawet obiecywać godność króla, dla ściślejszego zaś powiązania dał mu za żonę swoją córkę. Choć Orgetoryks już nie żył, jego dawni sojusznicy nadal łączyli duże nadzieje osobiste z wędrówką Helwetów. Wpływy Dumnoryksa, przede wszystkim zaś jego złoto, sprawiły wkrótce, że Sekwanowie udzielili Helwetom zgody na przejście przez swój kraj.

Tak więc nie kończący się sznur wychodźców ruszył w pochód ku ziemiom Sekwanów. Wydawało się, że okazja wszczęcia wojny wymyka się Cezarowi z ręki, bo przecież nie miał on żadnych praw ani powodów do mieszania się w wewnętrzne sprawy ludów wolnej Galii. Ale pretekst znalazł się łatwo.

Helweci - nie kryli się z tym wcale - mieli zamiar osiedlić się w zachodniej Galii, nad Atlantykiem, w żyznej dolinie rzeki zwanej dziś Charente. Ziemie te zajmowało słabe plemię Santonów, o którego tam pobycie świadczy do dziś nazwa głównego miasta krainy - Saintes. Te przyszłe siedziby Helwetów byłyby odległe od najbliższego miasta rzymskiej prowincji, Tolosy, czyli obecnej Tuluzy, o kilkaset kilometrów i oddzielone posiadłościami innych ludów. Ale Cezar uznał i począł publicznie głosić, że właśnie siedząc nad Atlantykiem Helweci będą wielkim zagrożeniem rzymskiej prowincji Galii Narbońskiej - choć przecież dotychczas graniczyli z nią bezpośrednio...

Atakować Helwetów mając jeden tylko legion byłoby oczywistym szaleństwem. Przede wszystkim więc należało ściągnąć zza Alp, z Italii północnej, trzy legiony, które rozmieszczono tam na leżach zimowych pod Akwileą, oraz dwa nowe, które Cezar polecił sformować natychmiast na wiadomość o spodziewanym ataku Helwetów. Ponieważ Helweci, obciążeni ogromnym taborem, posuwali się wolno, czasu było dość.

Dla przyspieszenia marszu posiłków udał się po nie sam Cezar. Wracając już na czele pięciu legionów szedł przez Alpy możliwie krótką drogą: doliną rzeki Dora Riparia, poprzez masyw Mont Genevre i następnie doliną Durance. Na tych niebezpiecznych szlakach górskich miejscowe plemiona Galów wielokrotnie próbowały przeszkodzić pochodowi armii, wywołać zamieszanie i splądrować tabory. Przepędzono je łatwo. Cała przeprawa przez góry trwała siedem dni.

Po przyłączeniu legionu, który pod dowództwem Labienusa pozostał nad Rodanem, Cezar dysponował już poważną siłą. Zdecydował się na krok doniosły. Na własną odpowiedzialność, bez upoważnienia senatu i nie działając w obronie prowincji przekroczył Rodan - granicę w tym rejonie między prowincją a krajami wolnych Galów. Jako przyczynę tego bezprawnego kroku podał, że Helweci dopuszczają się rabunków na ziemiach sąsiednich plemion: Eduów, Ambarrów, Allobrogów. Rzecz prosta, przy wędrówce wielotysięcznych mas różnego rodzaju



zatargi musiały się zdarzyć. Ale były to sprawy między samymi Galami. Nic nie upoważniało Cezara do ingerencji, skoro pokój Rzymu i prowincji nie został zagrożony.

Dużym ułatwieniem dla Cezara była okoliczność, że skutkiem zatargów z Helwetami u Eduów doszło do władzy stronnictwo sprzyjające Rzymianom. Na urząd wergobreta, czyli naczelnika na rok, wybrano Liskusa. Do znaczenia powrócił też Dywicjakus, zawsze wierny Rzymowi. Liskus zawarł z Cezarem porozumienie, podejmując się aprowizacji armii w czasie całej kampanii.

Po przekroczeniu Rodanu obóz rozbito w pobliżu ujścia Saony. Zwiadowcy donieśli, że o 18 kilometrów w górę Saony znajduje się na tymże brzegu ostatnia, dopiero przepływająca się część Helwetów. Natychmiast, jeszcze w czasie trzeciej warty nocnej, tj. krótko po północy, Cezar wyruszył z trzema legionami. Zajęci przeprawą, zaskoczeni zupełnie niespodziewanie, zostali w większości wyrznięci nad rzeką. Część rozpieczęła się i szukała ratunku w lasach.

Ów rozbity szereg Helwetów zwany był Tygurynami. Oni to właśnie przed pół wiekiem zadali Rzymianom ciężką klęskę, w której zginął sam dowodzący konsul, Lucjusz Kasjusz.

By doścignąć główną masę Helwetów, która już wcześniej przepłynęła się przez Saonę, w ciągu jednego dnia zbudowano most na rzece. Ta szybkość działania przerażała Galów. Zjawili się ich posłowie z prośbą o zawarcie pokoju. Godzili się pójść i osiąść tam, gdzie poleci Cezar; przypominali jednak z godnością, że nie są bezbronni i że samymi Rzymianom dobrze wiadomo, jak potrafią walczyć; zdradzieckie pokonanie drobnej ich części nie świadczy o niczym. Cezar zażądał, by Helweci dali zakładników i zobowiązali się wynagrodzić szkody poczynione ludom, przez których ziemie przechodzili. Helweci odmówili. Stwierdzili z dumą, że zwykli zakładników brać, nie dawać.

Następnego dnia ruszyli w dalszy pochód, w ślad zaś za nimi Rzymianie. By zorientować się, w którym kierunku zdążają, Cezar wysłał przodem całą jazdę, 4000 konnych. Składała się ona z zaciągu z prowincji oraz z jeźdźców, których dostarczyli Eduowie. Tymi dowodził Dumnoryks. Cały ten oddział wpadł w zasadzkę. Pięciuset jeźdźców helweckich przepędziło znacznie liczniejszego przeciwnika. Ta potyczka dodała Helwetom odwagi, Rzymian zaś zmusiła do ostrożności.

Przez 15 dni legiony szły za Helwetami krok w krok, w oddaleniu ledwie kilku kilometrów. Sytuacja Rzymian stawała się coraz cięższa, Helweci bowiem w okolicy dzisiejszej miejscowości Maçon opuścili dolinę Saony i posuwali się na północny zachód, ku dzisiejszemu Autun. Utrudniało to aprowizację armii, dotąd bowiem korzystano ze zboża podwożonego okrętami. Wczesna pora roku - początek czerwca - uniemożliwiała zaopatrywanie się na miejscu. Brakowało nawet paszy. Mimo nalegań Cezara Eduowie zwlekali z dnia na dzień z dostarczeniem przyrzeczonego zboża.

Gdy wreszcie zbliżał się dzień przydzielania żołnierzom miesięcznych racji

żywności, wzburzony Cezar w ostry sposób wytoczył całą sprawę przed przywódców Eduów. Liskus dał najpierw ogólnie do zrozumienia, że są wśród Eduów ludzie możni i wpływowi, wrodzy Rzymianom i zabraniający ludności dostarczania zboża, przestrzegający, że zwycięstwo Cezara nad Helwetami będzie grobem wolności również i Eduów; dodał, że zdradzają oni Helwetom wszystko, co dzieje się w obozie. Bezpośrednio po naradzie ogólnej Liskus wyjawił Cezarowi w tajemnicy, że owym potężnym zdrajcą jest Dumnoryks, związany przecież z Helwetami przez swoją żonę, córkę Orgetoryksa, nienawidzący zaś Rzymian z obawy, że ich usadowienie się odbierze mu wszelkie znaczenie; był też niechętny swemu bratu, Dywiczakusowi; porażkę jazdy w starciu z Helwetami spowodował właśnie Dumnoryks, on bowiem pierwszy rzucił się do ucieczki.

Cezar wezwał Dywiczakusa. Rozmowę z nim przeprowadził tylko w obecności zaufanego tłumacza. Dywiczakus potwierdził oskarżenia wysuwane przeciw swemu młodszemu bratu, ale ze łzami błagał o pobłażliwość - choćby dlatego, że całej Galii znana jest niechęć obu braci do siebie, przypuszczano by więc powszechnie, że Rzymianie są wrodzy Dumnoryksowi właśnie z jego, Dywiczakusa, poduszczenia. Do tych próśb Cezar przychylił się tym łatwiej, że nie miał innego wyboru. Jakiegokolwiek represje wobec potężnego magnata w chwili, gdy dopiero ważyły się losy kampanii, były nie do pomyślenia. Ściskając więc dłoń druida zapewnił go, że uczyni dlań wszystko, puści w niepamięć krzywdę wyrządzoną Rzeczypospolitej i swój osobisty ból. W chwilę później to samo powtórzył Dumnoryksowi. Ale niezależnie od pięknej sceny pojednania kazał otoczyć go szpiegami, donoszącymi o każdym kroku i rozmowie.

W tymże dniu nadarzyła się nieoczekiwanie doskonała sposobność ataku na Helwetów. Usadowili się oni u stóp góry w odległości około dziesięciu kilometrów od obozu rzymskiego. Szczyt łatwej do obejścia góry nieprzezornie pozostawili zupełnie nie obsadzony. Gdy tylko donieśli o tym zwiadowcy, Labienus wyruszył zaraz po północy z dwoma legionami i dobrymi przewodnikami, by zająć górę. Cezar natomiast wyszedł z głównymi siłami z obozu nieco później, po czwartej zmianie straży nocnej, więc po godzinie trzeciej nad ranem. Maszerował wprost na Helwetów. Poprowadził go jazda pod wodzą Konsydyusza, doświadczonego oficera, który walczył jeszcze pod rozkazami Sulli, a później przeciw Spartakusowi. Plan był prosty: Labienus i Cezar mieli jednocześnie zaatakować z dwu stron niczego nie spodziewających się Helwetów. Atak miał się rozpocząć z chwilą, gdy tylko Labienus ujrzy legiony Cezara w bezpośredniej bliskości obozowiska nieprzyjaciela. Ale z pierwszym świtem, kiedy korpus Cezara był nie dalej niż 2 kilometry od Helwetów, zgłosił się u wodza sam Konsydyusz. Zameldował, że górę obsadzili Galowie, co osobiście rozpoznał po ich znakach i broni. Ten nieoczekiwany obrót sprawy przekreślił cały plan. Cezar natychmiast cofnął swoje oddziały i ustawił je w szyku bojowym na najbliższym wzgórzu. Czekał z niepokojem, co wydarzy się dalej i jaki jest los legionów Labienusa. Był już pełny dzień, kiedy zwiadowcy donieśli, że zaszła pomyłka: górę obsadzili nie Galowie, lecz właśnie Labienus... A

tymczasem Helweci, nie zdając sobie nawet sprawy, jakiemu niebezpieczeństwu uszli przez przypadek, spokojnie pociągnęli już dalej.

Minał jeszcze dzień i nieuchronnie zbliżał się termin wydzielenia żołnierzom prowiantu, zboże zaś nie nadchodziło. Jednakże w odległości około trzydziestu kilometrów na północ leżało główne miasto Eduów, Bibrakte, z pewnością dobrze zaopatrzone. Ponieważ Helweci zaczęli już zbaczać na zachód, Cezar postanowił na jakiś czas oderwać się od nich i podejść ku Bibrakte. Ten zamiar zdradzili Helwetom zbiegli niewolnicy jednego z oficerów jazdy, z pochodzenia Gala. Helweci zawrócili natychmiast - być może sądząc, że Rzymianie odchodzą czując się pokonanymi - i poczęli atakować tylną straż. W ten sposób, w odległości około pięciu kilometrów od dzisiejszej miejscowości Toulon sur Arroux, doszło do pierwszej bitwy Cezara w Galii.

Dla chwilowego powstrzymania Helwetów Cezar wysłał jazdę, legiony zaś uszykował do walki na pobliskim wzgórzu, ustawiając na zboczach, w trzech rzutach, cztery dawne legiony, złożone z żołnierzy zaprawionych do walki; oba ostatnio sformowane zajęły szczyt wzgórza. Tam również złożono stopy bagaży.

Tymczasem nadchodziły już główne siły Helwetów, prowadząc za sobą wszystkie wozy taboru. Ogromna masa wojowników bez trudu odparła jazdę rzymską. Teraz szli zwartym szykiem wprost na legiony. Pierwszy szereg trzymał tarczę przy tarczy, tworząc jakby mur bez najmniejszej przerwy, zmiatający wszystko przed sobą. Nawet najodważniejszych legionistów począł chwytać strach za gardło. W tym momencie Cezar zsiadł z konia i kazał go odprowadzić. Za jego przykładem poszli wszyscy oficerowie. Był to dla żołnierzy znak prosty, ale wiele mówiący i krzepiący: niebezpieczeństwo jest jednakowe dla wszystkich, w razie klęski nikt nie uratuje się ucieczką, wódz i oficerowie podzielą los swoich legionów.

Gdy tylko zwarta falanga Helwetów znalazła się w zasięgu rzutu rzymskiej broni, padł rozkaz: tysiące legionistów z przednich linii równocześnie, jak jeden mąż, całym rozmachem i ze wszystkich sił rzuciło wprost w tarcze wrogów swe „pila” - rodzaj oszczepu o stalowym grocie, nasadzonym na pręt z bardzo miękkiego żelaza. W jednolitym dotąd murze tarcz powstały od razu szczyrby i wyłomy, w szeregach wszczęło się zamieszanie: stalowy grot wbijał się w tarczę łatwo i głęboko, ale równocześnie zaginał się żelazny pręt nasady. Manewrowanie tarczą z wbitym w nią długim i ciężkim „pilum” było niemożliwe. Większość, po chwili daremnej szarpaniny z żelastwem, poczęła odrzucać bezużyteczną osłonę; ci szli na przeciwnika prawie nadzy, tylko z mieczem w ręku. Ale Rzymianie nie stracili swoich tarcz. Teraz oni parli naprzód w zwartych, karnych oddziałach - ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy, szereg za szeregiem. Było ich znacznie mniej, ale był to żołnierz dobrze uzbrojony, chroniony pancerzem, hełmem, nagolennikami, tarczą, doskonale też wyćwiczony. Walczono na miecze. Krok za krokiem cofali się Helweci ku przeciwległemu wzgórzu.

Tymczasem na pole bitwy nadciągnął ostatni, piętnastotysięczny zastęp

sprzymierzeńców helweckich, Bojów i Tulingów, idących w tylnej straży. Rzucili się od razu do ataku, a jednocześnie i Helweci natarli z nową siłą. Trzecia linia legionistów zwróciła się przeciw Bojom, głównej masie Helwetów sprostać musiała tylko pierwsza i druga.

Nieustępliwa, zażarta walka wręcz toczyła się od godziny pierwszej aż po późny wieczór. Odwadze przeciwnika dał wyraz uznania sam Cezar, pisząc później: „w ciągu całej tej bitwy nikt nie widział uciekającego nieprzyjaciela”. Część Helwetów wycofała się wreszcie ku wozom i broniła się tam niby zza muru. Nawet kobiety i dzieci wzięły udział w walce.

Tymczasem reszta Helwetów i ich sprzymierzeńców, ponad sto trzydzieści tysięcy ludzi, ruszyła nocą w kierunku północno-zachodnim, ku ziemiom ludu Lingonów, więc w okolice dzisiejszego Dijon. Rzymianie nie mogli od razu udać się w pościg, mieli bowiem wielu poległych, których trzeba było pogrzebać, i rannych. Wymaszerowali dopiero w trzy dni po bitwie. Ale już wcześniej Cezar wysłał do Lingonów stanowcze - choć bezprawne - żądanie, by nie udzielali Helwetom żadnej pomocy; zagroził, że w przeciwnym razie będzie ich traktował jak wrogów.

W drodze spotkano posłów helweckich. Z płaczem rzucili się do stóp Cezara, prosząc o pokój na każdych warunkach. Zwycięzca zażądał zakładników, wydania broni, przekazania zbiegłych niewolników. Przystali na wszystko. Ale nocą uciekło z ich obozowiska prawie sześć tysięcy wojowników. Zamierzali przedostać się za Ren, do Germanów. Jednakże strach przed Rzymianami był już tak wielki, że na rozkaz Cezara pojмали ich i przywiedli mieszkańcy ziem, przez które przechodzili. Wszystkich schwytanych uznał Cezar za wrogów i sprzedał w niewolę. Ich los podzielili pojmani w czasie bitwy i w zdobytym obozie. Reszcie natomiast nakazał wrócić do starych siedzib i odbudować spalone domostwa. Ponieważ zniszczyli wszystkie zapasy, zboża mieli im dostarczyć najbliżsi sąsiedzi, Allobrogowie, poddani rzymscy. Osadzając Helwetów w ich dawnej ojczyźnie powodował się Cezar przede wszystkim obawą, że opustoszałą krainę mogliby zająć Germanie i stać się w ten sposób bezpośrednimi sąsiadami rzymskiej prowincji.

Tak więc żaloszny pochód Helwetów ruszył w drogę powrotną. Wyruszyło ich przed kilku miesiącami prawie czterysta tysięcy. Szli wówczas z dumą i nadzieją, pewni swych sił, jeden z najmożniejszych ludów Galii. Wracało sto dziesięć tysięcy - pokonanych, pokrytych ranami, pozbawionych rodzin i godności.



## ARIOWIST

Tylko naczelnicy plemion wzięli udział w tajnej naradzie, która odbyła się w głównej kwaterze Cezara bezpośrednio po zakończeniu zjazdu przedstawicieli różnych ludów Galii, gratulujących zwycięstwa nad Helwetami. Jak się później okazało, zjazd był tylko pretekstem, który miał usprawiedliwić obecność

najznakomitszych osobistości w obozie rzymskim.

W imieniu przywódców zebranych na tajnej rozmowie Dywicjakus przedstawił Cezarowi grozę sytuacji w Galii.

Najazd Germanów zza Renu, zapoczątkowany przed kilkunastu laty wezwaniem przez Sekwanów Ariowista, przybrał rozmiary katastrofalne. Eduowie i Sekwanowie zostali pokonani i dali Ariowistowi zakładników. Sekwanowie, wyzuci przez Germanów już z trzeciej części swych ziem, teraz mają oddać znowu trzecią część, ostatnio bowiem przybyło dwadzieścia cztery tysiące wojowników germańskich z plemienia Harudów. Liczba Germanów Ariowista sięga już stu dwudziestu tysięcy. Ten śmiały, bezwzględny i butny wódz czuje się niemal panem Galii.

Rok temu Cezar witał w Rzymie posłów Ariowista i starał się o nadanie mu tytułu króla i przyjaciela ludu rzymskiego. Ale teraz rzeczy wyglądały inaczej. Po zwycięstwie nad Helwetami plany i ambicje Cezara sięgnęły dalej. Marzyło mu się opanowanie całej ogromnej i bogatej krainy między Pirenejami, Atlantykiem i Renem. Tą piękną ziemią nie zamierzał dzielić się z nikim, a już w żadnym wypadku z Ariowistem. W pamięci wszystkich Rzymian żywe były wydarzenia sprzed pół wieku, kiedy to hordy Cymbrów i Teutonów zadawały legionom krwawe klęski właśnie nad Rodanem i kiedy nawet nad Italią zawisła groza germańskiego najazdu, odpartego dopiero dzięki zwycięstwom Mariusza.

Ale wojna z Ariowistem, który miał już sto dwadzieścia tysięcy wojowników, a mógł każdej chwili wezwać dalsze zastępy zza Renu, była przedsięwzięciem zbyt ryzykownym dla wodza dysponującego tylko sześciu legionami. Z drugiej strony, jeśli Cezar nie chciał utracić autorytetu, jaki dało mu u Galów zwycięstwo nad Helwetami, musiał natychmiast podjąć jakieś kroki. Dla zyskania na czasie próbował drogi rokowań. Wysłał do Ariowista posłów z prośbą o stawienie się w neutralnym miejscu na rozmowy. Wódz Germanów udzielił butnej odpowiedzi: jeśli by to on pragnął czegoś od Cezara, przyjechałby do niego; jeśli Cezar prosi o rozmowę, winien sam się stawić.

Skoro osobiste spotkanie nie doszło do skutku, negocjacje prowadzono przez posłów. Cezar zażądał wstrzymania napływu dalszych sił zza Renu, oddania Eduom zakładników i niewyrządzania im żadnej krzywdy. Przypomniał również uchwałę senatu sprzed trzech lat, zalecającą każdorazowemu namiestnikowi Galii niesienie pomocy Eduom, jako sprzymierzeńcom Rzymu. Odpowiedź Ariowista była wręcz wyzywająca: jest prawem wojny, że zwycięzca rządzi według swej woli, niechże więc Rzymianie nie wtrącają się do jego spraw, jak on nie wtrąca się do cudzych; Cezar krzywdzi go, wpływając na zmniejszenie daniny należnej od Eduów; jeśli pragnie, może łatwo się przekonać, jak potrafią walczyć wojownicy, którzy od czternastu lat są pod bronią i nie znają stałych siedzib.

Było to otwarte wyzwanie do wojny. Jednocześnie Eduowie złożyli skargę, że ziemie ich już pustoszą Harudowie, ostatnio wezwani przez Ariowista. Co gorsze, Trewerowie, lud nad Mozela, donieśli, że po drugiej stronie Renu zgromadziło się

ponad sto szczepów Swebów, przygotowując się do przeprawy.

Należało za wszelką cenę przyspieszyć rozprawę z Ariowistem, nim połączą się z nim zastępy Swebów. Legiony wymaszerowały w kierunku na wschód. Po trzech dniach otrzymano meldunek, że Ariowist ma zamiar zająć Wesontio - dzisiejsze Besançon - największy ośrodek Sekwanów, miasto obronnie położone i świetnie zaopatrzone. Z trzech stron otaczała je rzeka, z lądem łączył tylko wąski przesmyk, na którym wznosiło się strome wzgórze umocnione murem.

Maszerując forsownie dzień i noc zdołano wyprzedzić Ariowistę i zająć ten ważny punkt. Zatrzymano się w Wesontio kilka dni dla uzupełnienia aprowizacji. Miasto pełne było kupców - Galów, Rzymian i Greków. Prowadzili oni handel zarówno z ludami Galii, jak też i z Germanami zza Renu. Mieli pośrednie kontakty nawet z krajami nad dalekim Bałtykiem. Legioniści z ciekawością wypytywali ich o owych Germanów, z którymi wkrótce mieli zetrzeć się w walce. Nie znali ich dotąd nawet z widzenia: ostatnią - i pierwszą zarazem w historii Rzymu - wojnę z nimi toczono przed pół wiekiem. Kupcy, znający wiele krain i lubiący opowiadać, nie szczędzili barwnych opisów. Rozwodzili się szeroko nad ogromnym wzrostem wojowników germańskich, opowiadali cuda o ich sprawności we władaniu bronią i o niepojętej wprost odwadze, o dzikim wyrazie oblicza i oczu. Podawano sobie te wieści z ust do ust, za każdym razem przydając jeszcze coś od siebie. Strach i lęk padły na cały obóz. Pierwsi poddali się panice formalnie najwyżsi rangą oficerowie - trybunowie wojskowi i nominalni dowódcy niektórych oddziałów. Byli to z reguły młodzi ludzie z najlepszych domów, wychowywani w dobrobycie i zbytku. Nie służyli nigdy w wojsku; wyruszyli ze stolicy w otoczeniu Cezara, pochodzili bowiem z rodzin z nim zaprzyjaźnionych i traktowali pobyt w armii jako pierwszy szczebel politycznej kariery. Ci niemal chłopcy, nie mający żadnego doświadczenia i ani krzty męskiego hartu, poczęli gromadnie zwracać się do dowództwa z prośbą o urlop okolicznościowy i zezwolenie na powrót do Rzymu. Byli i tacy, którym wstyd było opuszczać armię w sposób tak tchórzowski, pozostali więc - ale po to tylko, by zamknąć się w namiotach i z płaczem żalić nad nieszczęsnym losem. Wielu spisywało już testamenty. Przykład z góry począł działać i na niższych rangą oficerów, a wreszcie i na prostych żołnierzach - nawet tych, którzy od lat służyli w wojsku i wiele już przeżyli. Niektórzy dla pozoru wysuwali obiekcje co do drogi przez puszcze i co do kwestii aprowizacyjnych. Zaczęto wreszcie przebąkiwać, że cała wyprawa, prowadzona bez zgody senatu, jest bezprawna i ma służyć wyłącznie osobistej ambicji i celom Cezara. Pojawiły się nawet przypuszczenia, że armia odmówi posłuszeństwa.

Na wieść o szerzącej się panice Cezar zarządził odprawę oficerów wszystkich legionów i wszystkich stopni. Do zebranych przemówił w sposób ostry: nie do żołnierzy należy roztrząsanie, gdzie i po co się ich wiedzie; nie wiadomo jeszcze, czy w ogóle dojdzie do starcia z Ariowistem; wieści o sile i odwadze Germanów są mocno przesadzone; sprawa aprowizacji należy do kompetencji wodza i nie jest właściwe, by zajmowali się nią niepowołani; Galowie zobowiązali się już do

dostarczania zboża - zresztą nadchodzi pora zbiorów. Zakończył stwierdzeniem, że o ewentualnym nieposłuszeństwie żołnierzy nie może być nawet mowy. By to wykazać, przyspiesza wymarsz i wyznacza go na czwartą zmianę warty nocy nadchodzącej. Gdyby istotnie nikt nie chciał iść za swym wodzem, wyruszy tylko z legionem dziesiątym, którego wierności jest pewien; mianuje go oddziałem swojej straży przybocznej.

Efekt mowy i zręcznego podniecenia rywalizacji między poszczególnymi legionami był natychmiastowy. Legion dziesiąty jako pierwszy podziękował przez swych oficerów za uznanie i zameldował o zupełnej gotowości do akcji. Pospieszyły delegacje innych legionów z podobnymi meldunkami.

Wyruszone o oznaczonej porze. By uniknąć zasadzek w lasach i na bezdrożach, wybrano za radą Dywiczakusa drogę okrężną, ale bezpieczną. Maszerowano więc w kierunku północno-wschodnim, ku wyżynie u wschodnich podnóży Wogezów. Po siedmiu dniach zwiadowcy donieśli, że główne siły Ariowista znajdują się o około 24 mile (35 km). Rozbito obóz nad małym dopływem Renu, rzeką zwaną dziś Feelt.

Teraz Ariowist zwrócił się z propozycją osobistego spotkania. Ustalono, że odbędzie się ono za pięć dni. Na żądanie Ariowista straż przyboczna obu wodzów miała się składać wyłącznie z jeźdźców. Ponieważ Cezar nie mógł zbyt ufać jeździe przysłanej przez Galów, wsadził na koń cały legion dziesiąty. Stał on, tak samo jak jazda Ariowista, dwieście kroków od wzgórka, jedyne na rozległej równinie. Na sam wzgórek podjechali Ariowist i Cezar, każdy z dziesięciu ludźmi. Rozmowę toczyli nie zsiadając z koni.

Jak było do przewidzenia, spotkanie nie dało żadnych rezultatów. Cezar powtórzył żądania już uprzednio przekazane przez posłów, Ariowist zaś dowodził, że przyszedł wezwany przez samych Galów i obecnie włada prawem wojny; choć ceni przyjaźń Rzymian, zrzeknie się jej, gdyby miał za nią płacić uszczupleniem danin i swej władzy; wkroczenie wojsk rzymskich do tej części Galii jest takim samym aktem agresji, jakim byłoby wtargnięcie Germanów do prowincji. Wódz germański dodał ostrzeżenie skierowane wyłącznie i osobiście do Cezara: jeśli nie ustąpi, będzie zmuszony uważać go za wroga - a może wyjawić, że zabijając Cezara uradowałby wielu polityków w Rzymie i zaskarbiłby sobie ich łaski i wdzięczność; jeśli natomiast Cezar wycofa się dobrowolnie, nie będzie stawiał żadnych przeszkód jego zdobyczom w innych rejonach.

Cezar próbował odpowiedzieć na te wywody powołaniem się na dawne przykłady i precedensy. Ale w tym momencie zwrócono mu uwagę, że jazda Ariowista zbliża się do wzgórza i że niektórzy z tamtych już rzucają pociski i kamienie w stronę Rzymian. Ten incydent przerwał rozmowę. Kiedy w dwa dni później Ariowist proponował ponowne spotkanie, Cezar odmówił, wysłał natomiast dwu posłów. Tym Ariowist nie dał nawet dojść do słowa. Krzycząc, że przybyli tu na przespieszy, kazał ich natychmiast zakuć w kajdany.

Tego samego dnia Ariowist zbliżył swój obóz na odległość dziesięciu kilometrów

od Rzymian i rozłożył go u samych podnóży Wogezów. Nazajutrz przeszedł dalej na południe, omijając stanowiska rzymskie stokami gór, i zatrzymał się w odległości już tylko trzech kilometrów. Atak na flankę Germanów w czasie tego przemarszu nie był możliwy, idąc bowiem wzgórzami zajmowali dogodniejszą pozycję. Cały ten manewr Ariowista mógł mieć dla Rzymian katastrofalne następstwa, odcięty bowiem został wiodący na południe jedyny szlak aprowizacyjny. Wobec powagi sytuacji Cezar zdecydował się na natychmiastowe stoczenie bitwy.

W dniu następnym legiony wyszły z obozu i stanęły w szyku bojowym. Ale Ariowist był teraz panem położenia i zgoła nie myślał o walce. Trzymał swe wojska w obozie i wysyłał tylko po kilka tysięcy jeźdźców wraz z lekko zbrojną piechotą. Przez pięć dni pod rząd legiony stawały w gotowości bojowej po to tylko, by obserwować harce i potyczki oddziałów jazdy z obu stron. Ta przymusowa bezczynność działała - zwłaszcza wobec odcięcia od zaplecza - deprymująco. By zmusić Ariowista do zmiany taktyki, a zarazem by zabezpieczyć sobie możliwość odwrotu, szóstego dnia Cezar opuścił obóz z czterema legionami i on z kolei obszedł stanowiska Germanów od południa. W odległości około kilometra od głównych sił wroga przystąpiono do budowy mniejszego, zapasowego obozu. Trzecia część żołnierzy kopała rowy i sypała szańce, gdy reszta osłaniała pracujących i odpierała ataki tysięcy wojowników. W nowym obozie pozostały dwa legiony i część posiłków, reszta odmaszerowała na dawne miejsce.

Kiedy Rzymianie nazajutrz znowu stanęli do bitwy, Ariowist, jak i poprzednio, nie wyszedł w pole. Po południu jednak, gdy legiony zeszły ze stanowisk, przypuścił zaciekły szturm na mniejszy obóz. Walka, w której obie strony poniosły równe straty, trwała do wieczora. Pojmani tego dnia jeńcy wyjawili, dlaczego Germanie nie występują do rozprawy: wróżby kobiet zapowiadają zwycięstwo dopiero z nowym księżycem. Biorąc pod uwagę, że owe wróżby działają na przesądnych barbarzyńców raczej defetystycznie, Cezar zdecydował się na wymuszenie bitwy właśnie teraz.

Dnia następnego z obu obozów wyszło wszystkich sześć legionów. Ustawiły się w szyk potrójny. Z każdym legionem szedł jeden z legatów, tj. najwyższych oficerów, bezpośrednich zastępców Cezara. Na prawym skrzydle dowodził sam Cezar.

Maszerowano wprost na stanowiska Germanów. Ci ustawili swoje wozy w półksiężyc, by osłaniały ich z tyłu i z boków. Na wozach pozostały kobiety i dzieci, które krzykiem i płaczem wzywały wojowników do dzielnej walki.

Germanie uszykowali się w siedem ogromnych oddziałów, według przynależności szczepowej. Ponieważ ich lewe skrzydło było wyraźnie słabsze, Cezar wzmocnił swoje prawe, by tu wymusić przełamanie.

Tym razem „pila” legionistów nie spełniły zwykłego zadania, przeciwnik bowiem ruszył do walki biegiem, nim Rzymianie mogli jednocześnie wyrzucić swoją broń. Tak więc od razu doszło do walki na miecze. Jedyłą przewagę



żołnierzy Cezara nad zastępami silnych i odważnych wojowników stanowiła organizacja i dyscyplina, przede wszystkim zaś kierujące całością dowództwo. Prawe skrzydło rzymskie, zgodnie z planem Cezara, zaczęło spychać Germanów, a nawet zmuszać ich do ucieczki, na lewym jednak sprawa przedstawiała się gorzej. Tu zadecydowała dopiero interwencja młodego Publiusza Krassusa, syna triumwira, który pchnął do walki rezerwowe oddziały trzeciego rzutu.

Po wielogodzinnych zmaganiach tłumy Germanów rzuciły się do ucieczki w stronę Renu. Ale rzeka była oddalona o niemal 25 kilometrów. W pościg ruszyła jazda, na czele jednego z oddziałów sam Cezar. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności właśnie ten oddział dopadł grupę wojowników, wlokących skutego w kajdany posła; jednego z tych dwóch, których Cezar wysłał do Ariowista. Swoje ocalenie zawdzięczał on tylko zabobonnej wierze Germanów we wróżby. Kiedy bowiem wieszczono za pomocą losów, czy pojmanych posłów zabić od razu, otrzymano odpowiedź, że należy ich spalić żywcem, ale nieco później...

Tylko część uciekających dotarła do rzeki, a jedynie garstka zdołała się przeprawić. Brak było łodzi. Sam Ariowist przypadkiem znalazł jakieś czółno, ale obie jego żony i jedna z córek zginęły w czasie rzezi w obozie. Druga dostała się do niewoli.

Na wieść o klęsce Ariowista hordy Swebów gotujące się do przeprawy przez Ren powróciły do swych siedzib.

Tak zakończyła się bitwa u stóp Wogezów - jedna z najdonioślejszych w dziejach Europy, ona to bowiem na całe wieki powstrzymała widmo najazdu germańskiego na Galię.



## BELGOWIE

Zwycięskiej armii należał się wypoczynek. Dlatego już wczesną jesienią roku 58 Cezar rozlokował ją na leżach zimowych w kraju Sekwanów, powierzając dowództwo Labienusowi. Sam udał się na południe, za Alpy, do swej prowincji nad Padem. Przewodnicząc tu sesjom sądowym i rozstrzygając sprawy administracyjne, nie tracił jednocześnie kontaktu z główną kwaterą armii.

Obie kampanie roku 58 dały Cezarowi bezsporną supremację nad całą Galią środkową, ale poza zasięgiem wpływów rzymskich pozostały ludy nad Atlantykiem i - co najważniejsze - Belgowie. Była to grupa plemion między Sekwaną i Marną a dolnym Renem. Od reszty Galów odróżniali się pewną dzikością obyczajów i wojowniczością, co było spowodowane surowszymi warunkami życia i oddaleniem od cywilizacji śródziemnomorskiej, nade wszystko zaś nieustannymi wojnami z sąsiadami zza Renu - Germanami. Rozpoczynając kampanię przeciwko Helwetom, później zaś przeciwko Ariowistowi, Cezar mógł wskazać na pewne przyczyny, które częściowo usprawiedliwiały podjęcie działań wojennych bez zgody senatu. Inaczej miała się rzecz teraz. Operacji wojskowych na terenach tak odległych od

granic rzymskich nie można by tłumaczyć troską o bezpieczeństwo prowincji. Z drugiej jednak strony Cezar, skoro raz rozpoczął politykę agresji i mieszania się w sprawy niezależnych dotąd ludów, był zmuszony do coraz to dalszych podbojów, by do już opanowanych krain nie przenikały z zewnątrz wrogie Rzymowi nastroje i zachęty do oporu.

Jako powód zamierzonej kampanii przeciwko Belgom podał Cezar wieści o spisku tych plemion przeciwko usadowieniu się Rzymian w Galii środkowej. W spisku tym mieli brać udział i niektórzy możni Galowie z rzymskiej strefy wpływów. Oczywiście, wojna z Belgami wymagała szczególnych przygotowań. Dlatego już w zimie Cezar przeprowadził w Galii Przed-alpejskiej dodatkową rekrutację i utworzył - bez zezwolenia senatu - dwa dalsze legiony. Za Alpy odmaszerowały one dopiero z początkiem lata. Sam Cezar przybył do głównej kwatery już w pełni lata, kiedy można było zapewnić paszę dla koni taborów i jazdy.

Ponieważ ludy sąsiadujące z Belgami donosiły o ich wielkich przygotowaniach wojennych, natychmiast po zorganizowaniu dostaw aprowizacji legiony opuściły Wesontio i po piętnastu dniach forsownych marszów stanęły na północnym brzegu Marny. Była to ziemia Remów, zaliczanych już do ludów belgijskich. Pamięć o Remach żyje do dziś w nazwie miasta, będącego niegdyś ich stolicą - Reims.

Remowie, skłóceni z resztą Belgów, nie tylko nie uczestniczyli w ich przygotowaniach wojennych, lecz od razu zgłosili Cezarowi całkowitą gotowość poddania się i niesienia wszelkiej pomocy. Powiadomili też o siłach i zamiarach reszty Belgów - Swessionów nad dolną Marną, Bellowaków nad Izarą, Atuatuków nad środkową Mozą, Nerwiów i Atrebatów nad Skaldą, Menapiów, Morynów, Ambianów i Kaletów nad cieśniną, zwaną dziś kanałem La Manche, wreszcie kilkunastu mniejszych plemion nad Renem. Łącznie, według relacji Remów, wszystkie te ludy wystawiły około 300.000 wojowników. Wodzem wybrano Galbę, króla Bellowaków.

Jeśli nawet te dane były przesadzone, to i tak Belgowie z całą pewnością ilościowo górowali nad wojskami Cezara. Jego armia, łącznie z oddziałami posiłkowymi, nie miała więcej niż 50.000 ludzi. Było więc rzeczą wielkiej wagi odciągnąć w jakiś sposób pewną liczbę Belgów od głównych ich sił. Tę misję powierzył Cezar Dywicjakusowi, towarzyszącemu mu i w tej wyprawie. Miał on wkroczyć na czele oddziału Eduów jak najszybciej na ziemię Bellowaków i pustoszyć ich pola.

Ponieważ nadchodziły już wieści o zbliżaniu się Belgów, Cezar przesunął armię na północ i rozbił obóz na północnym brzegu rzeki Aisne, zwanej wówczas Aksoną. Z jednej strony broniła obozu rzeka, z innych zaś jak zwykle otoczono go fosą i wałem. Dla połączenia z lewym brzegiem zbudowano most, strzeżony przez sześć kohort.

Tymczasem Belgowie zaatakowali miasto Remów Bibraks, dziś Vieux-Laon, oddalone od obozu o około 10 km. W nocy przybyli z miasta wysłańcy z prośbą o

szybką pomoc. Była północ, kiedy wyszli z obozu lekkozbrojni Numidzi, łucznicy i procarze. Te siły, choć niewielkie, dodały jednak obleganym otuchy, Belgowie zaś widząc, że nie zdobędą miasta pierwszym szturmem, odeszli paląc okoliczne zabudowania.

Następnego dnia stanęli już w pobliżu obozu. Dopiero nocą można się było zorientować, jak ogromna to masa ludzi. Łuna ich ognisk ciągnęła się na przestrzeni ponad dwunastu kilometrów.

Przez pierwsze dni zdarzały się tylko utarczki jazdy, albowiem ze względu na liczebną przewagę wroga Cezar zamierzał wyjść w pole dopiero po oswojeniu legionów z widokiem ogromnych mas belgijskich wojowników. Przeprowadzono też prace uniemożliwiające okrążenie w czasie bitwy. Wzgórek, na którym znajdował się obóz, miał od strony nieprzyjaciela stok łagodny, po obu zaś bokach opadał stromo. Te właśnie zbocza dodatkowo zabezpieczono dwiema fosami długości ponad pół kilometra; biegingy one prostopadle od obozu i kończyły się małymi umocnieniami, gdzie umieszczono katapulty. Przestrzeń między fosami wystarczała dla rozwinięcia szyku bojowego.

Po ostatecznym ukończeniu tych prac sześć legionów wyszło z obozu i stanęło w gotowości do walki. Również i Belgowie ustawili się przed swym obozem. Ale do bitwy nie doszło, żadna bowiem ze stron nie odważyła się pierwsza na zejście w trzęsawisko, rozciągające się pośrodku obu szyków. Tak więc, jak i dni poprzednich, tylko jeźdźcy walczyli ze sobą.

Legiony wracały już do obozu, kiedy Belgowie skierowali się ku rzece, by przejść ją w bród i zaatakować kohorty strzegące przyczółka mostowego po drugiej stronie. Natychmiast przerzucono przez most lekkozbrojnych, procarzy, łuczników i jeźdźców. Zasyпали oni przechodzących rzekę Belgów gradem pocisków, tych zaś, którym udało się stanąć na brzegu, otoczyli i wysiekli.

Późnym wieczorem w obozowisku Belgów rozległy się wrzaski, wycia, huk i rumor. Zwiadowcy zameldowali, że barbarzyńcy opuszczają stanowiska i rozchodzą się na wszystkie strony; całość czyni wrażenie nie zorganizowanej ucieczki. Ale Cezar nie zaryzykował wysłania w pościg jazdy, obawiając się, że Belgowie przygotowują zasadzkę.

Dopiero o świcie patrole stwierdziły, że obóz jest zupełnie pusty. Belgowie znikli. Jazda rzymska rychło dopadła tylną straż wroga, napotkała jednak dzielny opór. Ale odgłosy tej walki podziałały na stłoczone masy cofających się niby bicz na spłoszonego konia. Rzucili się do ucieczki na oślep.

Cały dzień, aż do samego zachodu słońca, Rzymianie dokonywali rzezi wśród nie stawiających żadnego oporu. Pojmani jeńcy wyjaśnili wreszcie, co zadecydowało o opuszczeniu obozu: głód, niezadowolenie z bezczynności, przede wszystkim zaś fakt, że Bellowakowie postanowili odejść do swej krainy, by bronić jej przed nadciągającymi Eduami. Uchwalono wówczas, że wszyscy rozejdą się do swych siedzib, pospieszą jednak z natychmiastową pomocą temu ludowi, któremu zagrozi Cezar.

Następnego dnia legiony przemaszerowały dolinę rzeki Aisne i wkroczyły na ziemię Swessionów. W ciągu jednego dnia posunięto się o ponad 40 kilometrów i zatrzymano się pod murami potężnej twierdzy Nowiodunum, nieco na zachód od Soissons. Natychmiast, mimo znużenia drogą, przypuszczono szturm. Rychło okazało się, że choć miasto ma niewielu obrońców, nie sposób je zdobyć bez machin oblężniczych. Rozbito więc obóz na noc i jednocześnie przystąpiono do budowy machin. W nocy przybyły wprawdzie do twierdzy liczne zastępy Swessionów, ale widok potężnych wież oblężniczych, które Rzymianie poczęli podtaczać ku murom, przejął wszystkich takim lękiem, że rankiem poddali się bez walki. Wydali broń i zakładników, wśród których znaleźli się dwaj synowie króla Galby.

Posuwając się dalej na zachód Rzymianie przekroczyli rzekę Izarę, zwaną dziś Oise. Tu zastąpili im drogę starcy z głównego miasta Bellowaków, Bratuspantium, wyciągając ręce i błagając o litość. Za Bellowakami, jako dawnymi sprzymierzeńcami Eduów, gorąco wstawił się Dywicjakus, który tymczasem przybył już do obozu Rzymian. Zdaniem jego najbardziej winni naczelnicy plemienia uciekli już do Brytanii. Czyniąc zadość prośbom Dywicjakusa Cezar zażądał od Bellowaków tylko wydania broni i sześciuset zakładników. Poddali się również sąsiedzi Bellowaków Ambianowie, zamieszkujący okolice dzisiejszego Amiens.

Ale sytuacja uległa zmianie, kiedy skierowano się na północny wschód i wkroczo na ziemię Nerwiów. To wojownicze plemię było zdecydowane walczyć do ostatka i nie poddać się na żadnych warunkach. Otrzymało pomoc ludów sąsiednich. Wojownicy usadowili się nad rzeką zwaną dziś Sabre, kobiety zaś i dzieci ukryto wśród niedostępnych moczarów. O tym wszystkim donieśli jeńcy schwytani już po trzech dniach marszu przez kraj Nerwiów.

Ale i Nerwiowie mieli dobre informacje o armii rzymskiej. Co dzień przybywali do nich zbiegowie spośród Galów towarzyszących Cezarowi. Powiadomili oni, że legiony idą w dość znacznej odległości jeden od drugiego, za każdym bowiem ciągną osobno przynależne doń tabory. Radzili zaatakować pierwszy legion, gdy będzie wkraczał na teren przygotowywanego obozu i złupić jego tabory, co spowoduje zamieszanie w całej armii.

Plan wydał się Nerwiom obiecujący. Ukryli się w gęstym lesie porastającym wzgórze przeciwległe do tego, na którym rzymskie patrole wyznaczały już przyszłe obozowisko. Oba wzgórza dzieliła rzeka Sabre, nie głębsza w tym miejscu nad trzy stopy. Po swej stronie rzeki wystawili Nerwiowie tylko małe oddziały jazdy. Zostały one rychło zaatakowane przez jazdę rzymską, poprzedzającą pochód całej armii. Ale walki toczyły się tylko na otwartej przestrzeni między rzeką a lasem, do którego jeźdźcy nie mieli odwagi się zapuszczać. Nikt więc nie przypuszczał, jak wielkie siły kryje on w swym mrocznym wnętrzu.

Tego dnia armia rzymska postępowała w innym porządku i szyku niż dotychczas. Ze względu na bliskość wroga sześć legionów szło razem, bezpośrednio jeden za drugim. Tabory posuwały się za nimi we wspólnej kolumnie, osłanianej przez dwa

świeżo sformowane legiony. Gdy główne siły dotarły do miejsca wyznaczonego na obóz, żołnierze sześciu legionów zabrali się natychmiast do prac nad wymierzaniem stanowisk, kopaniem fos, wznoszeniem wałów i palisad. Nie zwracali żadnej uwagi na drobne utarczki jazdy na drugim brzegu, bo był to widok niemal codzienny. Prace nad umacnianiem obozu były w pełnym toku, gdy w oddali ukazała się długa kolumna taborów. Na ten właśnie moment czekali Nerwiowie.

Zupełnie niespodziewanie z lasu wynurzyły się ogromne masy wojowników i biegiem ruszyły w dół, zmiatając przed sobą rzymską jazdę i lekkobrojnnych. Z nieprawdopodobną szybkością przekroczyły płytką rzekę i szybko, ciągle biegiem, poczęły zbliżać się do rzymskich stanowisk. Wszystko to działo się tak błyskawicznie, że nie mogło być mowy o planowym przygotowaniu obrony. Ledwie starczyło czasu na wyciągnięcie na namiot wodza czerwonej chorągwi - oznaki toczącej się bitwy - i na skrzyknięcie żołnierzy szukających budulca. Każdy stawał przy tym oddziale, gdzie zaskoczyło go niebezpieczeństwo. Nie było czasu na szukanie swoich. Wielu nie zdążyło nawet założyć hełmów i zdjąć pokrowców z tarcz. Ale byli to żołnierze wyćwiczeni i doświadczeni. Przy każdym też legionie znajdował się zawsze, na wyraźny rozkaz Cezara, któryś z legatów. Sam Cezar, ponieważ nie sposób było dowodzić całością, pośpieszył od razu do poszczególnych oddziałów. Zaczął od stojącego na lewym skrzydle legionu dziesiątego, gdzie wróg był już o kilkadziesiąt kroków. W kilku słowach dodał żołnierzom otuchy i dał znak rozpoczęcia walki.

Wobec całkowitego zaskoczenia, braku planu bitwy i łączności, na każdym odcinku walczone tylko dla siebie, nie orientując się nawet, w jaki sposób posuwanie się naprzód lub cofanie wpływa na sytuację innych. Dwa legiony stojące na lewym skrzydle radziły sobie dobrze. Zepchnęły przeciwnika za rzekę, przeszły ją i powtórnie rozbiły oddziały usiłujące stawić tam czoła. Również i w centrum odparto wrogów i walczone już nad rzeką. Ale właśnie dalekie wysunięcie się centrum i lewego skrzydła odsłoniło skrzydło prawe i naraziło je na wielkie niebezpieczeństwo. Na walczące tam legiony siódmy i dwunasty natarł całym impetem główny trzon Nerwiów. Część nieprzyjaciół poczęła obchodzić legiony od flanki, część zaś wdarła się do obozu pozbawionego wszelkiej obrony. Tu zapanował popłoch i przerażenie. Zamieszanie stało się tym groźniejsze, że Nerwiowie natknęli się tu na uprzednio rozbite oddziały jazdy i lekkobrojnnych, właśnie wracające do obozu inną bramą. Wpadli również na ciurów i pachotków, którzy wychodzili gromadnie z obozu, by iść za pracymi naprzód legionami skrzydła lewego i wziąć się do łupienia trupów i obozu wrogów. Cała ta zbieranina rzuciła się od razu do panicznej ucieczki, nie wiedząc nawet, dokąd i w którą stronę. Jednocześnie w kolumnie taborów podniósł się krzyk i hałas, wzmagany rzeniem koni. Wydawało się, że już wszystko stracone. Nic więc dziwnego, że oddział jazdy przysłany Cezarowi przez Trewerów opuścił spieszenie obóz i powrócił do ojczyzny, niosąc wszędzie wieść o klęsce Rzymian.

Tymczasem Cezar idąc poprzez szeregi walczących dotarł do prawego skrzydła, gdzie sytuacja była istotnie groźna. Żołnierze legionu dwunastego stłoczyli się tak ciasno, że nie mogli już nawet swobodnie władać bronią. Prawie wszyscy oficerowie zginęli lub byli ranni. Jedna z kohort straciła chorążego i znak bojowy. Nieprzyjaciel otaczał walczących już z trzech stron.

Wówczas sam Cezar porwał za tarczę i stanął w pierwszym szeregu. Wzywając po imieniu pozostałych przy życiu oficerów rozkazał rozluźnić szeregi i zwrócić znaki ku wrogowi, jednocześnie zaś zbliżyć się do walczącego obok legionu siódmego. W ten sposób dodał żołnierzom odwagi i skrzepił obronę.

Zresztą nadchodziła już pomoc. Na szczycie wzgórza zjawili się żołnierze obu legionów eskortujących tabory; legiony skrzydła lewego zdobyły obozowisko wrogów na przeciwległym wzgórzu i dowodzący nimi Labienus, widząc stamtąd sytuację, pchnął na pomoc legion dziesiąty.

Wszystko to zmieniło obraz bitwy. Zawrócili nawet uciekający dotąd pachołkowie i ciury; choć prawie bezbronni, dzielnie rzucili się na wroga. Również i jazda ruszyła do walki. Ale Nerwiowie, choć nie mieli już żadnej nadziei, walczyli z determinacją i odwagą, przed którą i Cezar chylił czoła.

Prawie wszyscy mężczyźni Nerwiów legli tego dnia na wzgórzach nad Sabre. Resztki ludu, starcy, kobiety i dzieci, ukryci dotąd w zdradliwych bagniskach i moczarach, wysłali do zwycięskiego wodza Rzymian posłów, ofiarowując całkowite poddanie. Pozwolono im zostać na dawnych ziemiach i surowo zabroniono sąsiadom napaści na bezbronnych.

Należało jeszcze ukarać Atuatuków znad Mozy, wiadomo bowiem było, że szli już z pomocą Nerwiom i zawrócili dopiero na wieść o ich klęsce. Atuatukowie postanowili bronić się w mieście, które wydawało się nie do zdobycia. Leżało na górze, opadającej stromo wprost ku Mozie. Dogodniejsze podejście było tylko od strony północno-wschodniej, miało jednak ledwie 200 kroków szerokości. Bronił grodu podwójny mur, znacznej wysokości.

Trzeba było rozpocząć regularne oblężenie. obrońcy miasta próbowali początkowo wypadów. Później jednak, pewni swej fortecy, przyglądali się spokojnie, jak Rzymianie odcinają przejście fosą i wałami oraz podprowadzają rampę aż pod same mury. Rampa ta miała służyć do przysunięcia potężnej wieży oblężniczej, którą jednocześnie wznoszono po drugiej stronie. Wojownicy śmiali się pogardliwie, nie mogąc pojąć, jakim sposobem ta olbrzymia machina podejdzie ku murom; drobna budowa i niski wzrost Rzymian były stałym przedmiotem drwin ze strony potężnie zbudowanych Galów. A jednak któregoś dnia kolos począł się z wolna przybliżać. Widok wielopiętrowej wieży, sunącej ku murom powoli, lecz stale i nieuchronnie, jakby pchała ją jakaś nadnaturalna siła, był dla barbarzyńców czymś przerażającym. Niemal natychmiast stawilo się poselstwo, zdając na łaskę Cezara całe miasto i prosząc tylko o pozostawienie broni niezbędnej do obrony przed sąsiadami. Tej prośby Cezar nie przyjął, wobec czego poczęto wyrzucać broń z murów do fosy; jej stosy miejscami równały się z murem. Otwarto bramę i

Rzymianie mogli swobodnie poruszać się po ulicach grodu, który zdobyli nie uroniwszy ani kropli krwi. Ale pod wieczór na rozkaz Cezara wszyscy powrócili do obozu.

Nieufność okazała się w pełni usprawiedliwiona. Rychło po północy masy wojowników, uzbrojonych w broń ukrytą lub naprędce skleconą, uderzyły z całą gwałtownością na jeden z odcinków rzymskich szańców. Krzyki i sygnały ogniowe zaalarmowały załogi wszystkich umocnień, od razu więc pospieszono z pomocą. Wszystkie próby przedarcia się zostały krwawo odparte. 4000 Galów legło przed rzymskimi liniami.

Następnego dnia wkroczo do miasta, którego już nikt nie bronił. Wszyscy mieszkańcy zostali sprzedani jako niewolnicy. Było ich - według spisów i rachunków kupców - pięćdziesiąt trzy tysiące.



## WENEKI

Wczesną jesienią roku 57 Publiusz Krassus wyruszył na czele siódmego legionu do Galii północno-zachodniej, zwanej wówczas Aremoryką, czyli do dzisiejszej Normandii i Bretanii. Samo pojawienie się Rzymian wystarczyło, by tamtejsze ludy nadmorskie zgłosiły uległość i dały zakładników. Cezar nawet nie starał się usprawiedliwić tego samowolnego posunięcia. Było ono prostym następstwem decyzji podboju całej Galii, od Atlantyku po Ren i Alpy.

Niezupełnie natomiast powiodła się próba opanowania alpejskiego szlaku, wiodącego z Genawy do Italii doliną Rodanu i przez masyw górski nazywany dziś Wielkim św. Bernardem. Ten ważny szlak był kontrolowany przez drobne plemiona Galów, ściągające od kupców wysokie cła i daniny. Wysłany tam pod dowództwem Serwiusza Sulpicjusza Galby legion dwunasty odniósł początkowo pewne sukcesy i posunął się w głąb gór. Ale oddział, liczebnie słaby, nie posiadał zapasów żywności i broni, dlatego też tylko z trudem odparł nagły atak Galów i ostatecznie musiał wycofać się na kwatery zimowe do Galii Narbońskiej.

Pewien, że ma już u swych stóp całą Galie, Cezar wyjechał na zimę najpierw do Galii Przedalpejskiej, później zaś na wschodnie wybrzeża Adriatyku, do Ilirii. Nigdy dotąd nie był na tych ziemiach, podlegających przecież tak samo jego zwierzchnictwu, chciał więc zorientować się osobiście w sytuacji, poznać kraj i ludzi. Być może, upojony szybkimi sukcesami w Galii, zamyślał znaleźć tu okazję nowych kampanii i jak tam dotarł do Renu, tak w Ilirii chciał oprzeć granice rzymskie na Dunaju.

Jednakże w marcu, kiedy po inspekcji Ilirii wracał do północnej Italii, zameldowali się wysłańcy z kwatery głównej Publiusza Krassusa, znajdującej się w zachodniej Galii, w dzisiejszym Angers. Wieści były alarmujące. Krassus, by zapewnić sobie dostawy zboża, rozesłał swych oficerów do ludów nadmorskich, przede wszystkim do Wenetów, zamieszkujących południowe wybrzeża Bretanii.

Słynęli oni jako świetni żeglarze, ich zaś bogactwa płynęły głównie z ożywionego handlu z ludami Brytanii, do którego nie dopuszczali nikogo. Rozeszły się jednak pogłoski, że Cezar planuje w najbliższej przyszłości inwazję na Brytanię, co by oznaczało podcięcie świetności Wenetów. Zmieniło to natychmiast ich nastawienie do Rzymian. Zatrzymali dwu oficerów Krassusa i skłonili sąsiadów, by postąpili podobnie z oficerami do nich wysłanymi. W istocie oznaczało to wypowiedzenie wojny.

Ale Cezar nie mógł od razu wyjechać do Galii. Byłoby to zresztą bezcelowe, albowiem wczesna pora roku uniemożliwiała rozpoczęcie kampanii. Wojna z ludem morskim wymagała również specjalnych przygotowań - budowy i odpowiedniego wyposażenia floty. Ściągnięcie okrętów z Morza Śródziemnego było zbyt trudne, Cezar wydał więc rozkaz ich budowy w portach u ujścia Loary. Wioślarzy, żeglarzy i sterników miano werbować w nadmorskich miastach południowej Galii.

Był jeszcze inny powód zwlekania z wyruszeniem za Alpy. Sytuacja polityczna w Rzymie kształtowała się obecnie niekorzystnie dla Cezara. W ciągu dwu lat jego nieobecności w stolicy odżyła dawna wrogość między Pompejuszem a Krassusem. Groziło to rozpadem triumwiratu i zbliżeniem się Pompejusza do senatu i optymatów. Wichrzyciel Klodiusz, gdy tylko osiągnął swój pierwszy cel - wygnanie Cynceron - zwrócił się przeciw Pompejuszowi. Mówiono, że to Krassus opłaca zbrojne bandy Klodiusza, które terroryzowały życie polityczne Rzymu do tego stopnia, że przez całe miesiące Pompejusz nie miał odwagi opuszczać domu. Aby przeciwdziałać Klodiuszowi, Pompejusz udzielił swej pomocy wygnanemu Cynceronowi. Na podstawie specjalnej uchwały ludu wielki mówca mógł wrócić do Rzymu w sierpniu roku 57 i od razu wszczął ostrą kampanię polityczną przeciw sprawcy swego nieszczęścia. Wynalazł też Pompejusz pokrewnego Klodiuszowi wichrzyciela, Milona, i pomógł mu finansowo w zorganizowaniu zbrojnych band. Tak więc Rzym stał się terenem niemal codziennych bójek ulicznych między dwu rywalizującymi bandami kondotierów politycznych. Senat był zupełnie bezsilny.

Napięcie między Pompejuszem a Krassusem wzrastało. Z początkiem stycznia roku 56 Pompejusz na posiedzeniu senatu dał wyraźnie do zrozumienia, że wiadomo mu o istnieniu spisku na jego życie i że spiskiem tym kieruje Krassus. Ten rozłam wśród triumwirów ośmielił optymatów do wystąpień skierowanych wprost przeciw Cezarowi, najbardziej z nich znienawidzonemu. Już w marcu Cynceron zapowiedział poddanie pod dyskusję legalności ustaw Cezara o parcelacji ziemi państwowej w Kampanii, kandydat zaś na konsula na rok 55 z ramienia optymatów, Lucjusz Domicjusz Ahenobarbus, głosił otwarcie, że jednym z pierwszych jego posunięć po wyborze będzie ustawa odbierająca Cezarowi namiestnictwo Galii.

Dla przedyskutowania sytuacji Cezar spotkał się w Rawennie z Krassusem. Jedynym wyjściem było porozumienie się z Pompejuszem i odnowienie triumwiratu. Razem z Krassusem wyjechał Cezar do miasteczka Luka, położonego po zachodniej stronie Apeninów, nad samą granicą Etrurii, ale należącego jeszcze



do jego prowincji. Po pewnych wahaniach Pompejusz skorzystał z zaproszenia i stanął się na konferencję z początkiem kwietnia.

Wiść o zjeździe trzech niby grom raziała wszystkich polityków w Rzymie. Stało się pewne, że triumwirat będzie istniał nadal, należało więc zabiegać o łaski władców. Wkrótce do miejsciny zjechało ponad dwustu senatorów. Wabiło ich zresztą i złoto Cezara. Splamione jeszcze krwią Galów, płynęło teraz całymi strumieniami do kies i szkatuł każdego, kto tylko zadeklarował swoją lojalność i ciche poparcie.

Rozmowy triumwirów przebiegały w zupełnej tajemnicy. Ale ich przedmiot i konkluzje stały się widoczne wkrótce w konkretnych posunięciach politycznych. Porozumienie trzech zostało przywrócone. Pompejusz i Krassus mieli zostać konsulami na rok przyszły, 55, następnie zaś objąć jako namiestnicy na lat pięć ważne prowincje: Pompejusz obie Hiszpanie, Krassus zaś Syrię. W zamian obaj zobowiązywali się przeprowadzić przedłużenie namiestnictwa Cezara na dalszych lat pięć, jak również sprawić, by skarb państwa pokrył koszty rekrutacji i utrzymania czterech legionów, które Cezar sformował na własną rękę.

Tak więc dopiero z końcem kwietnia Cezar zjawiał się znowu w Galii Zaalpejskiej, zamierzając wydać rozkazy co do nowej kampanii. Tu jednak zorientował się od razu, że postawa Wenetów spotkała się z sympatią, a nawet i poparciem wielu ludów Galii, nawet odległych. Otwarcie opowiedzieli się za nimi Morynowie i Menapiowie, siedzący o 600 km na wschód od Wenetów, nad cieśniną zwaną przez Rzymian Fretum Gallicum, obecnie zaś kanałem La Manche. Niepewni byli dopiero co ujarzmieni Belgowie; mówiono nawet, że wezwali oni Germanów zza Renu. Miała też nadejść pomoc z Brytanii. O silnych nastrojach antyrzymskich donoszono z południowo-zachodnich krańców Galii, z Akwitanii. W tej krainie między rzeką Garonną a Pirenejami przed kilkunastu laty jeden z wodzów rzymskich poniósł dotkliwą klęskę.

By już w zarodku zdusić groźbę powszechnej rebelii, Cezar zmuszony był wysłać specjalne korpusy w różnych kierunkach. Nad Ren, do ziemi Trewerów, poszedł z częścią jazdy Labienus. Resztę jazdy i 12 kohort legionowych dano Publiuszowi Krassusowi, mającemu trzymać w ryzach Akwitanię. Sabinus pociągnął z trzema legionami przeciwko Wenellom, Koriosolitom i Leksowiom w dzisiejszej północnej Normandii, by nie dopuścić do połączenia się tych małych plemion z Wenetami.

Cesarowi pozostały tylko oddziały piesze. Na ich czele ruszył na kraj Wenetów. Marsz przez bezdrożną i wyludnioną krainę był uciążliwy, miano też kłopoty z aprowizacją. Ale prawdziwe trudności zaczęły się, gdy przystąpiono do oblegania miast Wenetów. Wszystkie one wznosiły się na cyplach i półwyspach wybiegających daleko w morze, a odcinanych od lądu przez każdy przypływ. Nie sposób było atakować od morza, okręty bowiem mogły rozbić się o skały lub osiąść na mieliznach. Zresztą flota rzymska dopiero sposobila się u ujścia Loary do wypłynięcia na morze; przez wiele dni zatrzymywała ją przeciwne wichry.

Dowództwo nad nią sprawował Decymus Brutus.

Trzeba więc było mozolnie budować groble i wały, by nimi podejść do murów miasta. Kiedy jednak po dokonaniu olbrzymich prac inżynieryjnych myślano już o przygotowaniach do szturm, Weneci spokojnie ładowali się z całym dobytkiem na okręty i odpływali do najbliższego miasta, pozostawiając Rzymianom satysfakcję zdobywania murów, których nikt nie bronił. Przy obleganiu następnego miasta powtarzała się ta sama historia.

Owego lata wielokrotnie spotykał legiony gorzki zawód daremnego trudu. Wróg uchodził morzem całkiem jawnie, na oczach zmęczonych i zawiedzionych żołnierzy. Stało się wreszcie jasne, że rozstrzygnięcie może zapaść tylko na morzu. Trzeba było uzbroić się w cierpliwość, co impulsywnemu Cezarowi nie przychodziło łatwo, i wyglądać nastania pogodniejszych dni.

Było to nad zatoką zwaną dziś Quiberon, u ujścia rzeki Audray. Wreszcie, po długich dniach i tygodniach oczekiwania, na horyzoncie pojawiły się okręty Brutusa. Cała armia wyległa na przybrzeżne wzgórza, by zgotować swej flocie entuzjastyczne przyjęcie. Ale żołnierzy czekały jeszcze godziny napięcia i trwogi.

Jednocześnie z Rzymianami dostrzegli flotę i Weneci. Natychmiast poczęły wypływać z portu ich wielkie i potężne okręty. Naliczono ich 220. Czyniły wrażenie imponujące i groźne. Budowane były z ogromnych, grubych bel dębowych, miały wzniesione ku górze przody i rufy oraz wysokie maszty o skórzanych żaglach. Przewyższały okręty rzymskie wielkością i siłą, dzięki zaś nieco spłaszczonym dnom mogły swobodniej operować w pobliżu wybrzeży pełnych zdradzieckich skał i płycizn. Jedyńą - i to względną - przewagą okrętów rzymskich stanowiło to, że prócz żagli miały i wiosła, na krótki więc dystans mogły rozwijać większą szybkość i mniej były zależne od kaprysów wiatru.

Żaden ze sposobów stosowanych dotąd przez Rzymian w bitwach morskich nie wydawał się przydatny wobec tych kolosów. Okute spiżem dzioby rzymskich okrętów nie mogły się wbić w potężne bele dębowe, a wysokość okrętów weneckich utrudniała abordaż. Ostatecznie Brutus zdecydował się na użycie długich, ostrych kos: przymocowywano je do mocnych żerdzi i zarzucano na olinowanie okrętów wroga, płynąc jednocześnie z możliwie dużą szybkością. Powodowało to przecięcie i zerwanie lin, często też i złamanie masztu. Pozbawiony żagli okręt stawał się zupełnie nieruchomy. Do bezwładnego olbrzyma zbliżały się wówczas dwa lub trzy okręty rzymskie i dokonywano abordażu. W bitwie wręcz zawsze górą byli legionieści, których oddział znajdował się na pokładzie każdego okrętu. Kiedy w ten sposób uporano się z częścią floty Wenetów, reszta poczęła się powoli wycofywać. Ale w tymże momencie wiatr ustał zupełnie, nastąpiła kompletna cisza. Okręty jakby utknęły w miejscu. Stawały się teraz po kolei łatwą zdobyczą ścigających je Rzymian.

Przez cały dzień, aż po zachód słońca, toczyła się ta pierwsza znana w historii wielka bitwa na wodach Atlantyku. Przyniosła pełne zwycięstwo Rzymianom. Zginęli prawie wszyscy zdolni do walki mężczyźni Wenetów, okręty stały się

łupem nieprzyjaciela. Nie było już żadnego sposobu obrony.

Wobec ludu zdanego na jego łaskę i niełaskę postąpił Cezar z całą bezwzględnością, by ostrzec innych przed łamaniem prawa narodów i więzieniem posłów rzymskich. Starszyznę skazano na śmierć, resztę zaś ludności sprzedano w niewolę.

Jednocześnie nadeszły pomyślne meldunki od korpusów Sabinusa i Krassusa. Pierwszy z nich pokonał sprzymierzeńców Wenetów na półwyspie Cotentin, Krassus zaś zdobył na południe od Garonny główne miasto ludu Sotiatów - dzisiejsze Sos - i w dolinie rzeki Adour rozbił koalicję prawie wszystkich plemion Akwitanii i niektórych plemion sąsiedniej Hiszpanii. Szczupłe siły rzymskie pokonały tam dzięki lepszej taktyce niemal 50.000 wojowników.

Pod koniec lata Cezar poprowadził armię na północno-zachodnie krańce Galii, do kraju Morynów i Menapiów. Nie próbowali oni stawić czoła legionom i od razu schronili się w głębokie lasy, nękając stamtąd najeźdźców wypadami. Cezar rozkazał ciąć lasy, by pozbawić wroga kryjówek. Ale nadeszła jesień, deszcze i chłody. Trzeba było wycofać się do kwater zimowych.



## REN I BRYTANIA

**W** ciągu trzech lat walk w Galii Cezar poznał dobrze charakter jej mieszkańców. Byli łatwo zapalni i niestali. Lada pogłoska mogła ich skłonić do powzięcia bez zastanowienia najdonioślejszych decyzji. Ale równie bez powodu i nagle odstępowali od wprowadzonych już w czyn postanowień, z całym spokojem i beztrąską pozostawiając dalszy bieg spraw własnemu losowi. Polityczna nieodpowiedzialność czyniła ich niebezpiecznymi sprzymierzeńcami i łatwymi do pokonania przeciwnikami, w każdym zaś wypadku kazała mieć się na baczności.

Dlatego też na pierwszą wiadomość o przekroczeniu dolnego Renu przez dwa ludy germańskie Cezar wcześniej niż zwykle wrócił z Italii północnej, gdzie miesiące zimowe poświęcił cywilnym obowiązkom namiestnika. W okolicach dzisiejszego Amiens zebrał legiony, rozłożone uprzednio na kwaterach zimowych na zachód od dolnej Sekwany, i zwołał do swej kwatery zjazd naczelników ludów Galii. W sposób spokojny, lecz zdecydowany zażądał od zebranych nadesłania kontyngentów jazdy, nie dając ani słowem poznać, że wielu spośród obecnych uważa za zdrajców. A miał w ręku dużo danych o tajnych rokowaniach przywódców niektórych ludów z Uzypetami i Tenkterami, więc właśnie tymi plemionami germańskimi, które stały już na zachodnim brzegu Renu.

Potężne ich hordy - mówiono o ponad czterystu tysiącach - zdołały w ciągu zimy przejść rzekę w okolicach dzisiejszego Emmerich, łamiąc słaby opór zamieszkujących te ziemie Menapiów. Gdy tylko Germanowie pojawili się po tej stronie Renu, wielu Galów poczęło snuć plany, by przy ich pomocy zrzucić rzymskie jarzmo. Nie tylko więc nie stawiano im oporu, ale potajemnie wręcz zachęcano

do posuwania się w głąb i przyrzekano pomoc. Korzystając z tego Germanowie poczęli coraz śmielej zapuszczać się ku południowi.

Wiedząc o tym wszystkim Cezar nie mógł stosować żadnych represji, to bowiem równałoby się prowokowaniu Galów do otwartego wszczęcia działań wojennych w chwili, gdy główne niebezpieczeństwo stanowili Germanie. Zakończono więc zjazd w pozornej zgodzie.

Gdy tylko nadeszły oddziały jazdy Galów i zorganizowano linie aprowizacyjne, legiony ruszyły na wschód, za Mozę. O dzień marszu od obozu Germanów stawili się przed Cezarem ich posłowie. Przedstawili swoją sytuację: przybyli do Galii w poszukiwaniu ziemi i nowych siedzib, z dawnych bowiem wyrzucili ich Swebowie, nie pragną walki, ofiarowują pokój, ale zaczepieni będą bronić się dzielnie; gotowi są osiedlić się tam, gdzie wskaże im Cezar. Tę prośbę Cezar odrzucił i ze swej strony zażądał, by wrócili za Ren i osiedlili się na ziemi, którą ewentualnie odstąpiliby im Ubiowie. Było to plemię germańskie między dzisiejszą Koblencją a Bonn; już przed rokiem przyjęli oni dobrowolnie zwierzchnictwo Cezara.

Posłowie poprosili, by Rzymianie zatrzymali się na trzy dni; w tym czasie starszyzna rozważy propozycję Cezara. I tę prośbę wódz odrzucił, obawiał się bowiem, że Germanom chodzi tylko o zyskanie na czasie, by mogli ściągnąć jazdę wysłaną uprzednio za Mozę. Legiony maszerowały więc bez przerwy.

Już tylko 18 kilometrów dzieliło je od Germanów, kiedy znów przybyli posłowie. Prosimi o trzy dni dla porozumienia się z Ubiami i dla zbadania możliwości osiedlenia się tam oraz o niewszczynanie bitwy przez idącą w przedniej straży jazdę. Na to Cezar przystał i zażądał, by następnego dnia stawiała się przed nim cała starszyzna obu ludów celem wspólnego omówienia wszystkich spraw. Z tym posłowie odjechali, legiony zaś posunęły się jeszcze o kilka kilometrów, by rozbić obóz w miejscu o łatwym dostępie do wody.

Ale w tym samym czasie pięcioletni oddział jazdy Galów, stanowiący przednią straż armii rzymskiej, zetknął się z grupą ośmiuset jeźdźców germańskich. W relacji o tych wypadkach Cezar utrzymuje, że jego jazdę zdradziecko i wbrew dopiero co zawartemu układowi zaatakowali Germanie. Ale prawdopodobnie rzecz miała się odwrotnie: ufni w swą przewagę Galowie wdali się w walkę z pozornie słabszym przeciwnikiem i zostali zmuszeni do ucieczki przez świetnych jeźdźców germańskich, pozostawiając na placu kilkudziesięciu zabitych.

Mimo tego incydentu następnego dnia rankiem do obozu rzymskiego przybyła cała starszyzna obu ludów. W istocie bowiem pragnęli oni szczerze porozumienia z Cezarem: chodziło im przecież tylko o ziemię i pokój. Ich stawienie się było zresztą najlepszym dowodem, że to nie Germanie spowodowali utarczkę jazdy w dniu poprzednim.

Cezar - jak sam przyznaje - obserwował wjazd dostojnego orszaku do swego obozu z najwyższą radością. Łatwowierni Germanie czynili wszystko, by ułatwić mu realizację zdradzieckiego planu, który ułożył nocą.

Gdy tylko starszyzna przekroczyła bramę obozu, została otoczona i wzięta pod

straż. Jednocześnie prawie cała armia wymaszerowała i spiesznie podążyła wprost ku obozowisku Germanów, spokojnie oczekujących powrotu swych przywódców z narady. Atak rzymski spadł na zupełnie nie przygotowanych prawdziwie jak grom z jasnego nieba. Mimo całkowitego zaskoczenia wojownicy próbowali bronić się i poczęli dzielnie stawiać czoła nawet w samym obozie, wśród wozów i taborów. Ale do ucieczki rzuciły się masy kobiet i dzieci. Na te bezbronne tłumy Cezar rzucił całą jazdę. Straszliwe krzyki masakrowanych wywołały panikę. Wojownicy poczęli się wycofywać, legionisci zaś nacierali tym ostrzej. Kogo z uciekających nie dosięgnął miecz rzymski, ten ginął stratowany lub - po dobiegnięciu do rzeki - spychany w wodę. Z Rzymian nie zginął nikt.

Po powrocie do obozu Cezar wspaniałomyślnie zwrócił starszyźnie wolność. Ale ci nieszczęśliwi nie mieli już gdzie wracać. Prosili, by wolno im było pozostać w obozie, na co im łaskawie zezwolono.

Ta zbrodnia ludobójstwa była szczególnie odrażająca, bo połączona ze zdradą i złamaniem praw poselskich, za których nieprzestrzeganie właśnie Cezar w poprzednim roku wyrznął i sprzedał w niewolę cały lud Wenetów.

Opowiadania o rzezi Uzypetów i Tenkterów dotarły aż do Rzymu. Kiedy jednak w senacie odczytano oficjalną relację Cezara, wpłynął od razu wniosek jego stronników, by wielkie zwycięstwo uczcić, jak to już czyniono poprzednio, wielodniowymi nabożeństwami dziękczynnymi. Jeden Katon miał odwagę sprzeciwić się i zażądać, by ludobójcę wydać jego ofiarom, w samym zaś Rzymie przeprowadzić ofiary oczyszczalne i modły błagalne dla odwrócenia gniewu bóstw za pogwałcenie przez wodza wojsk republiki najświętszych praw ludzkich.

Lecz zarówno służalczy senat w Rzymie, jak i zwycięski Cezar nad Renem z uśmiechem politowania przyjęli biadania i groźby obrońcy sprawiedliwości. Jakby chcąc w pełni okazać swoją wzgardę dla głoszonych przez Katona zasad, Cezar sposobił się właśnie do dalszych kroków zaczepnych wobec niepodległych ludów germańskich. Orły legionów miały iść za Ren i rzucić postrach na wszystkich, którzy mieliby zamiar naruszyć granicę rzymskiej strefy wpływów.

Za pretekst wyprawy posłużyła sprawa jazdy pokonanych Uzypetów i Tenkterów. Wysłana przed bitwą za Mozę, uniknęła klęski i rzezi. Wróciła za Ren i została przyjęta przez lud Sugambrów, w dzisiejszym Zagłębiu Ruhry. Cezar zażądał, by wydano jeźdźców. Odpowiedziano mu całkiem słusznie, że nie ma prawa rozkazywania za Renem, który sam uznał za granicę Galii i Germanii.

Drugim pretekstem była prośba Ubiów, zwracających się o pomoc przeciw swym sąsiadom Swebom. Ubiowie obiecali nawet dostarczyć łodzi dla przetransportowania legionów. Ale tę myśl Cezar odrzucił, ze względów bowiem bezpieczeństwa należało koniecznie mieć stałe połączenie z lewym brzegiem Renu.

Jednakże budowa mostu nie była rzeczą prostą. Ren był największą rzeką europejską, nad jaką kiedykolwiek dotąd stanął wódz rzymski. Między dzisiejszą Koblencją a Andernach, na którym to odcinku postanowiono się przeprawić, jego szerokość sięga prawie pół kilometra, głębokość jest znaczna, prąd zaś bystry. A

jednak, mimo wszystkich trudności, w ciągu dziesięciu dni od chwili dostarczenia pierwszych bel drzewa stanął na Renie pierwszy w dziejach tej rzeki most - potężny i dobrze zabezpieczony przed niebezpieczeństwem zniesienia go lub uszkodzenia przez pnie i drzewa wyrwane w górach lub umyślnie spuszczone z prądem. Ze słuszną dumą Cezar opisał dokładnie to wielkie osiągnięcie rzymskiej techniki i organizacji pracy.

Dla obrony mostu postawiono po obu stronach silne straże, legiony zaś pomaszerowały do kraju Sugambrów. Ci jednak uciekli z całym dobytkiem w lasy, Rzymianie więc spustoszyli tylko pola, spalili domostwa i odeszli do ziemi Ubiów, by dać im pomoc przeciwko Swebom. Ale potężny lud Swebów nie stanął do walki. Jak Sugambrowie, dobytek ukryli w dalekich lasach, zbrojne zaś oddziały zgromadzili w samym sercu swego kraju, gdzieś nad Wezerą. Wdzieranie się w głąb nieznanej, pokrytej lasami krainy, gdzie na każdym kroku czyhać mogła zdrada i zasadzka, od czoła zaś zagrażał jeden z największych ludów germańskich, przekraczało możliwości i siły armii Cezara. Uznał on więc, że cel wyprawy został osiągnięty, Sugambrowie ukarani, wykazana gotowość Rzymian ścigania wrogów nawet w ich własnych siedzibach, nawet za naturalną granicą, jaką jest potężna rzeka. Po osiemnastu dniach pobytu za Renem legiony powróciły na lewy brzeg i most zniszczono.

Tak zakończyła się pierwsza w historii wyprawa rzymskiego wodza do Germanii.

Należało więc przyjąć, że rzymskie panowanie w Galii jest teraz zabezpieczone od strony Renu i że żadne plemię germańskie nie ośmieli się przekroczyć rzeki. Ale był inny jeszcze kraj sąsiedni, który mógł pobudzać Galów do antyrzymskich wystąpień - tym łatwiej, że jego ludność czuła się związana z podbitymi plemionami wspólnotą języka i kultury oraz żywymi kontaktami handlowymi. Tym krajem była Brytania.

Kredowe wybrzeża wyspy, oddzielone od kontynentu tylko wąską cieśniną, rysowały się wyraźnie w dni pogodne i wydawały się bliskie, łatwo osiągalne. A jednak krainę okrywała prawie zupełna tajemnica. Ani w Italii, ani w Galii nikt nie potrafił udzielić Cezarowi dokładnych informacji o wielkości wyspy, o jej ludach, o możliwościach lądowania. Nawet kupcy znali tylko niektóre wybrzeża. Tym bardziej nęciła Cezara owa nie zbadana kraina, gdzie mógł zyskać sławę odkrywcy i zwycięzcy, niosącego rzymskie orły na same krańce świata.

Był już lipiec, więc pora roku nieco spóźniona. Nie starczyłoby czasu na zorganizowanie wielkiej wyprawy przed nastaniem jesiennych deszczów i sztormów, należało jednak dokonać próbnego wypadu rozpoznawczego, co ułatwiłoby podbój w przyszłości. Bezpośrednio więc po powrocie z za Renu przystąpiono do przygotowywania ekspedycji.

Główną kwaterę obrał Cezar w miejscowości zwanej wówczas Gesoriakum, dziś zaś Boulogne. Stąd było najbliżej na przeciwległe wybrzeża, naturalny zaś port u ujścia rzeki zapewniał bezpieczne schronienie dla ściąganych zewsząd i nowo budowanych okrętów. Jednego z oficerów wysłano na okręcie wojennym dla zba-

dania wybrzeży wyspy i wyszukania najlepszego miejsca do lądowania.

Wszystkie te przygotowania nie były tajemnicą, rychło więc wieść o nich doszła do ludów Brytanii. Przed Cezarem stawili się nawet rzekomi posłowie z wyspy, przyrzekając pomoc niektórych plemion. Cezar przyjął ich łaskawie i odesłał do Brytanii wraz z zaufanym człowiekiem, Kommiuszem. Był to Gal, którego niedawno mianował królem ludu Atrebatów. Teraz miał on przekonywać plemiona brytyjskie, że nikt nie sprosta Rzymowi.

Flota wypłynęła z portu krótko po północy 26 sierpnia. Osiemdziesiąt okrętów transportowych mieściło dwa legiony: siódmy i dziesiąty. Okręty wojenne, zwane „długimi”, miały na swych pokładach procarzy, łuczników, katapulty. Do przewiezienia jazdy przeznaczono 18 okrętów transportowych, jednakże przeciwny wiatr zatrzymał je w małym porcie nieco na północ od Gesoriakum. By zyskać na czasie, polecono jeździe tam się zaokrętować.

Dopiero około godziny dziewiątej rano pierwsze okręty zbliżyły się do wybrzeży wyspy w okolicach dzisiejszego Dover. Ale nie było nawet mowy o lądowaniu pod przepaścistymi, stromymi skałami, których szczyty obsadziły zbrojne oddziały wyspiarzy. Zresztą trzeba było czekać jeszcze 5 godzin, nim zebrały się wszystkie okręty. Wówczas dopiero, po krótkiej naradzie z oficerami, Cezar dał rozkaz podniesienia kotwic. Z wiatrem i prądem popłynięto około dziesięciu kilometrów na północ, ku otwartemu i łagodnemu wybrzeżu między dzisiejszymi miejscowościami Walmer i Deal. Ale równocześnie z flotą inwazyjną stanęli na wybrzeżu jeźdźcy brytyjscy i ich wozy bojowe. Wydawało się początkowo, że i tu lądowanie będzie niemożliwe. Ze względu na swoje głębokie zanurzenie okręty transportowe nie mogły podpłynąć zbyt blisko brzegu, żołnierze więc musieliby w pełnym uzbrojeniu skakać wprost w wodę, brnąć do brzegu i jednocześnie osłaniać się przed strzałami i pociskami. Nietrudno było spostrzec, że legioniści lękają się i ociągają. By ułatwić im zadanie, Cezar podprowadził lżejsze okręty wojenne blisko brzegu i kazał prażyć wroga z katapult, proc i łuków. Mieszkańcy wyspy cofnęli się wówczas na niektórych odcinkach, ale legioniści wciąż jeszcze nie mogli się zdobyć na odwagę i skoczyć w morze. Pierwszy uczynił to chorąży dziesiątego legionu, rzucając się śmiało w fale wraz z orłem legionowym. Za nim poszli wszyscy na tym okręcie, następnie zaś legioniści z innych statków. Nim jednak żołnierze stanęli na suchym brzegu, zginęło wielu, każdy bowiem musiał walczyć tylko dla siebie, nie można było zewrzeć szyków i bronić się oddziałami. By nieść pomoc najbardziej zagrożonym odcinkom, Cezar kazał przewozić posiłki na czółnach i łodziach.

Z chwilą gdy większość legionistów znalazła się na lądzie, sytuacja od razu uległa zmianie. Atakowi doświadczonych żołnierzy nie mogli sprostać brytańscy wojownicy i rychło poszli w rozsypkę. Choć z braku jazdy nawet nie usiłowano ich ścigać, zwycięstwo nie było więc pełne, w obozie rzymskim wkrótce stawili się posłowie okolicznych plemion prosząc o pokój. Przeprowadzili ze sobą także uprzednio wysłanego Kommiusza, który został uwięziony zaraz po wylądowaniu w

Brytanii. Przywiedli też część zakładników, przyrzekając dać ich więcej za kilka dni.

Rankiem dnia 30 sierpnia ujrzano z obozu 18 dawno wyczekiwanych okrętów transportowych z jazdą. Nim jednak zbliżyły się do brzegu, odpędziła je nagła burza. Część dotarła do portu wyjściowego tego jeszcze dnia, część zaś, po wielu perypetiach, dopiero następnej nocy.

Owa noc, z 30 na 31 sierpnia, okazała się katastrofalna także dla samego obozu rzymskiego. Była właśnie pełnia księżyca, powodująca - o czym Rzymianie nie wiedzieli - szczególnie silne przyływy morza. Wezbrane fale wyrządziły straszliwe zniszczenia wśród nie zabezpieczonych należycie okrętów. Część została zgruchotana, część zaś straciła oporządzenie. Nie liczono się z dłuższym pobytem w Brytanii, nie było więc prawie żadnych zapasów. Nie było też okrętów zastępczych, którymi można by armię przetransportować na kontynent.

Co gorsze, należało się obawiać, że Brytańczycy wznowią działania. W ciągu kilku dni pokoju przybywało ich sporo do obozu. Zorientowali się łatwo, że siły rzymskie są szczupłe, odcięte od swoich, nie dysponują prowiantem. Choć pozornie Brytańczycy nadal zachowywali się spokojnie, domyślano się, że w tajemnicy coś knują. Stopniowo coraz mniej ich zaglądało do obozu i pracowało na okolicznych polach.

Trzeba było przygotować się na każdą ewentualność. Część żołnierzy co dzień zbierała zboża z pól w okolicy, część zaś naprawiała okręty, przenosząc oporządzenie zupełnie zniszczonych na te, które jeszcze nadawały się do użytku. Okazało się ostatecznie, że całkowicie rozebrać trzeba tylko 12 okrętów. Te zajęcia odciągnęły żołnierzy od bezowocnych wyrzekań, przywróciły ład, natchnęły ich nową nadzieją.

Napad Brytańczyków nastąpił, jak należało się spodziewać, nieoczekiwanie i zdradziecko. Pewnego dnia zaatakowany został legion siódmy, zbierający zboże w pobliżu lasu. Na szczęście oddziały wart obozowych w porę dostrzegły tumany kurzu wznoszące się w miejscu bitwy. Pomoc przysłała na czas.

Po tym pierwszym starciu burze i ulewy na kilka dni przerwały działania z obu stron. Tymczasem Brytańczycy ściągnęli posiłki z odleglejszych stron i sposobili się do wydania bitwy. Odpowiadało to i Cezarowi, dlatego też pierwszego pogodnego dnia - była już połowa września - wyprowadził legiony z obozu. Jak było do przewidzenia, wojownicy nie wytrzymali starcia ze zdyscyplinowanymi oddziałami Rzymian. I znowu - jak po pierwszej bitwie - nie można było w pełni wyzyskać sukcesu, skoro brakowało jazdy. Zorganizowany naprędce mały oddziałek czterdziestu jeźdźców pod wodzą Kommiusza puścił się wprawdzie w pogoń za uciekającymi, nie mógł jednak zdziałać zbyt wiele.

Jeszcze tego samego dnia przybyli posłowie Brytańczyków, prosząc o pokój i przyrzekając przysłanie zakładników. Na tych Cezar nie chciał już czekać, zbliżała się bowiem pora jesiennych wichrów i deszczów, co by uniemożliwiło powrót. Choć więc było do przewidzenia, że skoro tylko Rzymianie opuszczą wyspę,



wszystkie przyrzeczenia pójdą w zapomnienie, zarządził, by zakładników dostarczyć na kontynent.

W kilka godzin później, nieco po północy, okręty odbijały już od brzegów Brytanii. Za nimi, na cichych, łagodnych wzgórzach pozostały zgliszcza i trupy.



## KASSYWELAUNUS

Całą zimę roku 55 na 54 wrzała gorączkowa praca w wielu portach Galii. Naprawiano stare okręty i budowano nowe - niższe i szersze od zwykłych, co miało ułatwić ich załadowywanie i wciąganie na ląd, zwiększyć pojemność i usprawnić wiosłowanie. Tak wyzyskiwał Cezar doświadczenia pierwszej inwazji na Brytanię. Kiedy pod koniec maja powrócił do Galii zza Alp i przeprowadził inspekcję portów, mógł stwierdzić z zadowoleniem, że czasu nie zmarnowano: było gotowych prawie 600 okrętów transportowych i 28 wojennych.

Zamiar wielkiej wyprawy na Brytanię żywo zainteresował cały Rzym. Spodziewano się ogromnych łupów i wielu wybitnych polityków zwróciło się do Cezara z prośbą o przyjęcie ich protegowanych do jego sztabu.

Ale nie brakło też i zawistnych. Jeden z najświetniejszych poetów rzymskich, Waleriusz Katullus, właśnie tej zimy napisał wiersz pełen wyzwisk pod adresem Mamurrusa, jednego z wyższych oficerów Cezara; nie mógł ścierpieć jego zdobytych na wojnie bogactw i płynącego stąd powodzenia u kobiet. Dostało się w tym wierszu i samemu Cezarowi.

Wśród zabiegających o względy namiestnika Galii znalazł się także Cynceron. Polecał on gorąco swego tonącego w długach brata Kwintusa. Cezar przyjął go z całą gotowością, zależało mu bowiem na dobrych stosunkach z wielkim mówcą. Co więcej, by dać dowód, jak życzliwy jest Cynceronowi, jemu właśnie dedykował pracę gramatyczno-stylistyczną, którą ułożył w drodze przez Alpy, skracając sobie dni uciążliwej podróży rozmyślaniami nad zasadami jasnego a poprawnego wyrażania się. Rezultat swych rozważań zamknął w zdaniu: „Miej to zawsze w pamięci i w sercu, byś jak rafa unikał słowa nie słyszanego dotąd i niezwykłego”.

Udział brata w wyprawie stał się rychło źródłem niepokoju Cyncerona. Bardzo go martwiły opowiadania o potężnych skałach, które uniemożliwiają dostęp do wyspy, zbijały z tropu wieści, że łupy będą marne, w całej bowiem Brytanii nie ma ni łuta srebra, niewolnicy zaś są mało warci.

Ale z początkiem lipca, kiedy Cynceron dzielił się tymi zmartwieniami ze swym przyjacielem Attykiem, Cezar i Kwintus Cynceron przebywali już, po inspekcji portów Galii, w okolicy dzisiejszej Boulogne, w miejscowości zwanej Portus Itius, gdzie zbierała się flota i czyniono ostatnie przygotowania do wyruszenia.

Przedtem jednak Cezar musiał znowu ingerować w sprawy jednego z ludów, aby skłonić go do uznania rzymskiej zwierzchności. Trewerowie, zamieszkujący Ardeny i dolinę Mozeli, rozdarci byli, jak i większość innych ludów, walką dwu

stronnictw, z których jedno szukało oparcia w Rzymianach, drugie zaś pragnęło zachować dawną niezawisłość. Samo zjawienie się Cezara na czele czterech legionów wystarczyło, by już sposobiący się do wojny wódz Trewerów Indutiomarus ukorzył się i wydał dwustu zakładników, wśród nich własnego syna. Ale było widoczne, że poddaje się z konieczności i że nie daruje Cezarowi poparcia, jakiego udzielił jego śmiertelnym wrogom. Choć świadom, że zostawia tu zarzewie waśni i niepokoju, Cezar zadowolił się pozorną zgodą. Pora roku nagliła. Był już czerwiec, należało zdążyć do Portus Itius.

Okazało się jednak, że pośpiech był zbyteczny. Co prawda flota stawiała się cała, ale wiatr północno-zachodni uniemożliwiał wypłynięcie przez 25 dni. Przybyła również jazda różnych ludów Galii, łącznie 4000 jeźdźców, oraz wszyscy wybitniejsi przywódcy. Cezar obwieścił zebrany, że mają się z nim udać do Brytanii. Ta decyzja wynikała z obawy, by w czasie walk na wyspie w Galii nie wybuchło powstanie. Książęta Galów mieli być faktycznymi zakładnikami.

Wśród przybyłych znajdował się Dumnoryks - ten sam, który w czasie wojny z Helwetami zdradził sprawę Cezara. Dumny magnat przyjął polecenie uczestnictwa w wyprawie z jawną niechęcią. Wypraszał się wszelkimi sposobami. Kiedy prośby nie poskutkowały, wszedł w zмовę z innymi przywódcami Galów. Dowodził, że wszystkim grozi wielkie niebezpieczeństwo: Cezar uprowadza ich po to, by zgładzić w Brytanii. Ale Dumnoryks otoczony był szpiegami, o każdym jego słowie natychmiast donoszono Cezarowi.

Tymczasem przeciwny wiatr ustał. Nie było czasu do stracenia, oddziały poczęły wchodzić na okręty. Dumnoryks, korzystając z ogólnego zamieszania, porwał za sobą jeźdźców Eduów i pocwałował w głąb kraju. Miał nadzieję, że ujdzie niepostrzeżenie.

Ale szpiegzy czuwali. Cezar natychmiast wstrzymał załadunek i rzucił całą jazdę w pościg. Rozkazał, by dostarczyć Dumnoryksa żywym lub umarłym. Kiedy dopadnięto uciekających, książę począł się bronić. Wzywał pomocy swoich, wołał, że jest człowiekiem wolnym i obywatelem wolnego ludu. Wówczas otoczono go i po krótkiej utarczce zabito. Nikt z Eduów nie podniósł ręki w jego obronie. Posłusznie zawrócili do obozu.

Skutkiem tej zwłoki flota wypłynęła z portu dopiero pod zachód słońca. Na ośmiuset okrętach załadowanych było 5 legionów, 2000 jeźdźców, tabory, prywatny bagaż i obsługa dostojników. W Galii pozostały pod dowództwem Labienusa tylko 3 legiony i 2000 jazdy. Przeprowa nie była łatwa. Zmienny wiatr i prąd zniosły armadę nieco dalej na północ niż poprzednio, lądowano u wybrzeży Kentu koło dzisiejszej miejscowości Sandown Castle. Na szczęście tym razem nikt nie bronił dostępu do lądu. Dowiedziano się później od jeńców, że wojowników przeraził sam widok ogromnej floty i od razu się wycofali.

By zaskoczyć przeciwnika, Cezar zdecydował się ruszyć w głąb lądu jeszcze tejże nocy, natychmiast po wyładowaniu okrętów i obwarowaniu obozu. Na miejscu pozostało tylko 10 kohort i nieco jazdy. Ujrzano wojowników brytańskich

po przebyciu około dwunastu kilometrów, w okolicy dzisiejszego Canterbury. Łamiąc opór jazdy i wozów bojowych Rzymianie sforsowali przejście przez rzekę, legion zaś siódmy oczyścił las broniony zasiekami. Ze względu na spóźnioną porę w pościg ruszono dopiero następnego dnia. Lecz właśnie w chwili, gdy dostrzeżono już tylne straże wroga, przybyli na spienionych koniach jeźdźcy z głównego obozu. Zameldowali o straszliwej katastrofie: ponieważ okrętów z pośpiechu nie wyciągnięto na ląd, lecz pozostawiono na kotwicach, burza, która rozszalała się w nocy, wyrzuciła je na brzeg prawie wszystkie; część z nich uległa zdruzgotaniu.

Natychmiast przerwano pościg i zawrócono nad morze. Straty były istotnie dotkliwe, ale po bliższych oględzinach okazało się, że zupełnie zniszczonych jest tylko 40 okrętów, reszta nadaje się do naprawy. Było jednak oczywiste, że nie można ryzykować pozostawienia okrętów na kotwicy, lecz trzeba je wyciągnąć na ląd i dla bezpieczeństwa połączyć obwarowaniem z obozem.

Wymagało to pracy ogromnej. Dziesięć dni i nocy bez przerwy legionieści mozolili się nad ustawieniem na wybrzeżu ośmiuset okrętów, nad kopaniem fos i wznoszeniem wałów takiej długości, by objęły całą przestrzeń zajętą przez flotę i właściwy obóz.

Tymczasem przeciwnik dobrze wykorzystał czas, zyskany dzięki lekkomyślności, z jaką Cezar pozostawił swe okręty na łasce morza. Kiedy po wykonaniu wszystkich prac Rzymianie znowu stanęli w okolicach dzisiejszego Canterbury, natknęli się na większe niż poprzednio siły obrońców. Wystąpiły do walki prawie wszystkie ludy południowo-wschodniej Brytanii, obierając wodzem króla Kassywelaunusa, władającego krainą między rzekami Tamizą i Leą, więc i terenem dzisiejszego Londynu; w starożytności była to mała osada, zwana Londinium.

Znowu, jak poprzednio, utarczkę wszczęła brytańska jazda i wozy bojowe. Ustępując przed kontratakami jeźdźców Cezara cofnęły się one ku lasom, ale gdy ścigający Rzymianie zapuścili się tam nieopatrznie, ponieśli duże straty. Później niespodziewanie oddziały brytańskie zaatakowały legionistów zajętych budową obozu, rozbijając straże i dwie kohorty; z trudem wyparto nieprzyjaciela. Po stronie rzymskiej było wielu zabitych.

Lepiej powiodło się dnia następnego, kiedy trzy legiony i jazda, wysłane pod wodzą Treboniusza dla zebrania paszy, nie tylko odparły nagły napad wozów bojowych wroga, lecz nawet zadały cofającym się znaczne straty.

Ludy Brytanii zniechęcały się równie łatwo, jak ich bracia z kontynentu. Po pierwszej porażce większość wojowników po prostu rozeszła się do swych krain i domów. Kassywelaunus pozostał sam z garstką ludzi, nie ośmielał się więc wydawać bitwy i usiłował tylko opóźnić marsz Cezara, zmierzającego prosto na jego ziemie.

Kiedy Rzymianom udało się sforsować umocniony i broniony bród na Tamizie, król zastosował nową taktykę. Pozostawił przy sobie tylko wozy bojowe i jazdę, trzymał się lasów i bezdroży, unikał większych potyczek. Usuwał wszystkich ludzi

i bydło z przewidywanej drogi Rzymian, ale kiedy ich jazda odłączała się od głównych sił dla rabunku i niszczenia osad, rozpraszał ją niespodziewanymi wypadami z lasów. Taka taktyka mogła istotnie okazać się zgubna dla armii Cezara, choćby tylko ze względu na trudności aprowizacyjne.

Jednakże z pomocą najeźdźcy przyszły właśnie i zatargi między ludami Brytanii. Sąsiedzi Kassywelaunusa od wschodu, Trynowanci, wiedli z nim walki od dawna. Kassywelaunus zabił ich króla, którego syn uratował się ucieczką i przebywał obecnie w obozie Cezara. Teraz Trynowanci uznali, że dzięki Rzymianom będą mogli odzyskać dawne znaczenie. Zgłosili więc gotowość udzielenia pomocy; na żądanie Cezara przysłali zakładników i zboże. Za ich przykładem poszło kilka sąsiednich ludów, których zdradzieckie wskazówki umożliwiły Cesarowi odnalezienie i zdobycie ukrytego wśród lasów i bagien grodu, gdzie schroniło się wielu ludzi Kassywelaunusa ze swym największym dobytkiem - bydłem. W tym samym czasie nadeszła wiadomość, że nadmorski obóz zaatakowały sprzymierzone z Kassywelaunusem ludy wschodniego Kentu, ale napastnicy zostali odparci ponosząc wielkie straty.

Te klęski i rosnące osamotnienie kazały królowi szukać porozumienia z Cezarem, który również pragnął jak najszybciej zawrzeć jakiś układ, przynajmniej formalnie przyznający mu zwycięstwo. Przedłużające się działania w Brytanii były mu tym bardziej nie na rękę, że z kontynentu donoszono o niepokojach i spiskach wśród Galów. Należało wracać, by nie dopuścić do wybuchu wielkiego powstania. Dlatego z radością przyjął Cezar ofertę Kassywelaunusa, przekazaną przez usłużnego Kommiusza. Jak zwykle zażądał zakładników, dla zaznaczenia zaś, że jest zwycięzcą, wyznaczył poszczególnym ludom coroczną daninę. Kassywelaunus mógł na to przystać tym łatwiej, że po odejściu Rzymian nie było przecież nikogo, kto mógłby egzekwować nałożony haracz.

Cezar nie zrealizował swego zasadniczego planu.

Brytania pozostała wolna. Jednakże olbrzymie koszty wyprawy, trud, rany i śmierć wielu żołnierzy nie poszły całkowicie na marne. Co prawda masy niewolników spędzanych na okręty nie równoważyły nawet poniesionych strat materialnych. Odniesiono natomiast pewien sukces polityczny: zmanifestowano mieszkańcom tej trudno dostępnej wyspy moc i ostrość oręża rzymskiego, co wystarczyło, by poniechali oni jakiegokolwiek myśli niesienia pomocy swym braciom z kontynentu w ich walce o wolność. I kiedy później cała Galia powstała przeciw Rzymianom, z Brytanii nie przybył ani jeden wojownik.

Główną winę niespełnienia podstawowego celu wyprawy ponosił sam Cezar. Jego nerwowy pośpiech i chęć dokonania wszystkiego za jednym zamachem, zupełne lekceważenie groźnych sił morza - choć już dwukrotnie poprzednio, raz w Hiszpanii i raz w Brytanii, zebrał pod tym względem gorzkie doświadczenia - mogły narazić całą armię na zupełną klęskę i zagładę. Tylko zawsze mu wiernej fortune zawdzięczał, że wyszedł z opresji z honorem.

Okręty rzymskie odpłynęły. Miały wrócić dopiero po stu latach.



## AMBIORYKS

Zaraz po wylądowaniu w Galii otrzymał Cezar wiadomość o śmierci swej jedynej córki - Julii, żony Pompejusza. Zmarła wkrótce po porodzie, w kilka zaś dni po niej dziecko. Ten ciężki cios zniósł Cezar z godnością i hartem ducha, choć zdawał sobie sprawę, że śmierć Julii jest dlań nie tylko stratą osobistą. Bo przecież z jej zgonem pękła ostatnia nić wiążąca go z Pompejuszem, który, na skutek zmiany układu sił wewnętrznych w państwie, od lat już odsuwał się odeń coraz wyraźniej.

Na żądanie ludu zmarłą pochowano w grobowcu na Polu Marsowym. Za lat dziesięć w tymże grobowcu miały spocząć prochy jej ojca.

Choć na jesień i zimę Cezar zawsze wyjeżdżał na południe, do swej prowincji nad Padem, w tym roku postanowił zatrzymać się dłużej w Galii, wyczuwało się bowiem wzbieranie fali nienawiści do Rzymian wśród wszystkich ludów kraju. Mnożyły się oznaki tajnych knowań i spisków. Sytuację pogarszał fakt, że w tym roku zbiory wypadły źle, co wpływało zarówno na nastroje ludności, jak też utrudniało aprowizację wojsk. By mieć na oku ludy najbardziej wojownicze, a nie obciążać zbytnio jednego okręgu, Cezar zdecydował się rozlokować legiony pojedynczo na ziemiach różnych plemion belgijskich. Z każdym legionem odeszli też legaci.

Był już październik. Legion, który miał wyznaczone kwatery na ziemiach Eburonów nad środkową Mozą, znajdował się tam od kilkunastu dni. Obóz zbudowano w miejscowości Atuatuka, koło dzisiejszego Tongres. Legion, złożony z młodych żołnierzy z ostatniej rekrutacji, wzmocniono pięciu kohortami doświadczonych weteranów. Dowódcami byli legaci Kwintus Tyturiusz Sabinus i Lucjusz Aurunkulejus Kotta. Pobyt zapowiadał się spokojnie. Obaj przywódcy Eburonów, Ambioryks i Katuwołkus, powitali oddziały rzymskie już u granic kraju i z całą gotowością dostarczyli kontyngenty zboża. Ambioryks uchodził za jednego z najbardziej godnych zaufania książąt Galii.

W poczuciu pełnego bezpieczeństwa wysłano część żołnierzy do sąsiedniego lasu dla zebrania drzewa na opał. Zupełnie niespodziewanie uderzyła na nich jazda Eburonów, nieco zaś później tłumy wojowników ruszyły do ataku na sam obóz. Kiedy mimo zaskoczenia szturm został odparty, napastnicy poczęli wołać, by Rzymianie wysłali posłów. Gdy ci stawili się przed Ambioryksem, książę zapewnił ich, że był i jest nadal wiernym przyjacielem Rzymian i Cezara, zmusiła go jednak do wzięcia udziału w powstaniu wola ludu; zresztą nie tylko Eburonowie chwycili za broń; w tym samym dniu na mocy porozumienia wszystkich plemion zaatakowane zostały również inne obozy; na pomoc Galom nadchodzą Germanowie zza Renu. Wobec tego radzi Rzymianom jako ich przyjaciel, by póki czas opuścili obóz i połączyli się z którymś z najbliższych legionów - Kwintusa

Cycerona w kraju Nerwiów lub Labienusa u granic Trewerów; zapewnia pod przysięgą bezpieczną drogę przez swój kraj.

Mowa Ambioryksa stała się przedmiotem dramatycznej narady w obozie rzymskim. Wzięli w niej udział wszyscy wyżsi oficerowie. Od razu doszło do ostrego sporu między obu legatami. Kotta był zdania, że nie wolno ufać barbarzyńcom; należy pozostać w obozie, gdzie, jak uczy doświadczenie, legionieści mogą odeprzeć każdy szturm przeważających sił. Sabinus natomiast uważał, że Ambioryks, wypróbowany sojusznik Rzymian, mówił prawdę; już przecież od dawna domyślano się istnienia tajnego porozumienia plemion Galii, trudno zaś przypuścić, by lud tak mały jak Eburonowie wszczynał wojnę przeciw Rzymowi na własną rękę; dlatego należy dążyć do połączenia wszystkich legionów i jak najszybciej opuścić obóz.

Wymiana zdań stawała się coraz gwałtowniejsza, każda bowiem ze stron mogła się powołać na ważne argumenty. Ostatecznie, choć wbrew przekonaniu i z największym oporem, Kotta ustąpił.

Była już północ, wymarsz wyznaczono na wczesny ranek. Przez całą noc w obozie nikt nie zmrużył oka, panował gwar i zamieszanie. Czyniono niezbędne przygotowania, każdy przebierał swe rzeczy, aby wziąć co najpotrzebniejsze.

Wyruszone o pierwszym świcie. Kolumna marszowa była długa i rozciągnięta, obciążona taborami, posuwała się bez ubezpieczeń, jak gdyby znajdowano się w przyjacielskim kraju. Wkrótce legion znalazł się w dolinie krętej i głębokiej, o zboczach porośniętych gęstym lasem. Nagle na maszerujących posypały się ze wszystkich stron pociski i strzały. Z lasów wystąpili do walki wojownicy Eburonów.

Przerażony Sabinus wydawał rozkazy bez sensu i ładu. Kotta podjął natychmiast jedynie słuszną decyzję: pozostawić tabory na łup wroga, kohorty zaś ustawić kołem, by mogły stawić czoła atakującym zewsząd Galom. Rozkaz był słuszny, osłabił jednak ducha żołnierzy i wprowadził dużo zamieszania, każdy bowiem starał się ratować to, co miał w swych bagażach najcenniejszego.

A tymczasem Ambioryks postępował energicznie i przemyślanie. Zabronił swym ludziom łupić tabory, by nie odciągać ich od walki. Kiedy stwierdził, że wypady kohort, wybiegających na zmianę z koła, powodują duże straty wśród jego wojowników, polecił cofać się szybko przed atakującymi, ścigać zaś i szarpać powracających do koła. Skutkiem tej taktyki wróg stawał się dla Rzymian niedosiężny, oni zaś sami wykrwawiali się przy każdej próbie wypadu.

Bitwa trwała już kilka godzin, z każdą chwilą w szeregach rzymskich było więcej zabitych i rannych. W pewnym momencie Sabinus dojrzał Ambioryksa, kierującego swych ludzi do ataku. Zapytał go przez tłumacza, czy zgodzi się na rozmowę. Ambioryks przyjął propozycję. Ponieważ Kotta, zresztą ranny, z dumą odmówił pertraktowania z uzbrojonym wrogiem, Sabinus podszedł do wodza Eburonów tylko z kilku oficerami. Rozkazano im odrzucić broń. Rozmowa przedłużała się. W pewnym momencie legionieści obserwujący jej przebieg

zauważyli, że grupę Rzymian otaczają od tyłu wojownicy. W chwilę później Sabinus padł martwy.

Na widok padającego wodza Rzymian Eburonowie podnieśli triumfalny okrzyk i z nowym impetem rzucili się na kohorty. W starciu zginął Kotta i większość żołnierzy. Tylko części udało się przedrzeć z powrotem do obozu. Aż do późnej nocy odpierali atak za atakiem, nad ranem jednak, nie widząc żadnej możliwości ratunku, wszyscy popełnili samobójstwo. Z piętnastu kohort - ponad 6000 ludzi - stacjonujących dzień temu w Atuatuka, przy życiu pozostało tylko kilku żołnierzy. Podczas bitwy w dolinie zdołali oni niepostrzeżenie ująć w las i po długim błądzeniu dotarli do obozu Labienusa.

Było to pierwsze zwycięstwo Galów nad legionami Cezara. Opromieniony sławą Ambioryks z łatwością porwał za sobą ludy sąsiednie - Atuatuków i Nerwiów. Teraz wszystko zależało od szybkości działania. Należało zaskoczyć inne obozy rzymskie, nim dotrze do nich wieść o zagładzie kohort Sabinusa i Kotty.

Masy wojowników ruszyły na obóz Kwintusa Cycerona, położony około 70 km na zachód od Atuatuka. I znowu, jak za pierwszym razem, udało się zaskoczyć żołnierzy zbierających w lesie drzewo na opał i na obwarowania, nie powiódł się jednak szturm na sam obóz, gdzie dostrzeżono niebezpieczeństwo w porę i odparto wszystkie kolejne ataki, choć z wielkim trudem i dużymi stratami.

Sytuacja w obozie Cycerona była pod wielu względami gorsza niż w Atuatuka. Stacjonował tu tylko jeden legion, czyli nie więcej niż 4000 ludzi, atakowało natomiast około 40.000 wojowników. Prace fortyfikacyjne nie były jeszcze w pełni ukończone i całą pierwszą noc oblężenia Rzymianie strawili na umacnianiu wałów i wznoszeniu dziesiątków drewnianych wież dla dodatkowego ubezpieczenia. Odtąd bez przerwy w dzień odpierano ataki, noce zaś obracano na przygotowanie broni na dzień następny oraz na usuwanie szkód i wyrw w umocnieniach.

Stale topniejąca garstka obrońców musiała się dwoić i troić. Nawet chorzy i ranni brali udział w walce i pracy. Wzorem wytrzymałości, poświęcenia i niezłomnej energii był sam legat, Kwintus Cyceron. Ten wątły, słabowity człowiek, który nigdy dotąd nie dowodził, zawsze zaś lubił wykwić, komfort i układanie - marnych zresztą - tragedii, a nawet całkiem jeszcze niedawno publicznie głosił, że jest wyznawcą Epikura, teraz nie pozwalał sobie ani na chwilę wypoczynku, był zdecydowany, odważny, twardy. Nerwiowie chcieli go wciągnąć w zasadzkę, tak samo jak poprzednio kohorty Sabinusa i Kotty. Radzili mu wyjść z obozu i połączyć się z innymi legionami. Dopiero przy tej sposobności Cyceron dowiedział się o klęsce i śmierci obu legatów. Na owe propozycje Cyceron odpowiedział krótko i po męsku: nie jest zwyczajem Rzymian przyjmować rady od uzbrojonego przeciwnika; jeśli jednak złożą broń, gotów jest wstawić się za nimi u Cezara.

Skoro ani szturm na obóz, ani układy nic nie dały, Nerwiowie zmienili taktykę. Wzorując się na rzymskich sposobach oblegania otoczyli cały obóz fosą i wałami. Choć wojownikom brak było wprawy i narzędzi, było ich tak wielu, że w ciągu trzech godzin wzniesli na przestrzeni około pięciu kilometrów wał wysokości pra-

wie trzech metrów. Próbowali również budować wieże oblężnicze i rampy dla ich podtoczenia ku rzymskim umocnieniom. Wreszcie siódmego dnia oblężenia przypuścili wielki szturm - tym groźniejszy, że udało się im wzniecić w obozie ogromny pożar, rzucając palące się pociski na pokryte słomą domy, namioty, szałas. Gwałtowny wiatr momentalnie rozniósł płomień po całym obozie. Choć wszędzie szalał ogień, pochłaniając cały dobytek żołnierzy i wszystkie zapasy, nikt z obrońców nie opuścił stanowisk na wałach. Walczyli wśród dymu i żaru ognia, zasypywani gradem strzał i pocisków, garstka przeciw dziesiątkom tysięcy. Tego właśnie dnia zadali Galom najcięższe straty.

Obóz się trzymał, ale było oczywiste, że nadejdzie wreszcie kres wytrzymałości legionistów. Cynceron już od pierwszego dnia walk wysyłał ochotników, którzy by przedarli się przez stanowiska wrogów i powiadomili główną kwaterę o powstaniu Nerwiów i o sytuacji w obozie. Ale czujne straże Galów wyłapywały wszystkich. Tracono ich później na oczach Rzymian po straszliwych torturach. Wysłał wreszcie niewolnika, Gala z pochodzenia, pozostającego na służbie pewnego dostojnika Nerwiów, który przeszedł na stronę Rzymian. Niewolnik ukrył list Cyncerona w drzewcu oszczepu i nie poznany spokojnie przeszedł przez wszystkie linie i stanowiska Galów.

Meldunek o sytuacji w obozie Cyncerona otrzymano w głównej kwaterze o godzinie czwartej po południu. Jeszcze tejże nocy zostały zaalarmowane i ruszyły w drogę dwa najbliższe stojące legiony.

Na wieść o zbliżaniu się odsieczy Nerwiowie odstąpili od oblężenia i pospieszyli przeciw obu legionom, prowadzonym osobiście przez Cezara. Dufni w swoją przewagę, gardząc garstką Rzymian - było ich tylko 7000 - po pewnej zwłoce dali się wciągnąć w bitwę w miejscu dla nich niedogodnym. Zastali częściowo rozbici i Cezar miał wreszcie wolną drogę do obozu Cyncerona. Kiedy oblegany legion stanął do apelu przed wodzem naczelnym, okazało się, że nawet co dziesiąty żołnierz nie był bez rany.

W kilkanaście dni później Labienus zdołał odeprzeć oblegających jego obóz Trewerów. Ich przywódcę Indutiomarsa zabito w czasie ucieczki.

Dzięki tym dwu sukcesom niebezpieczeństwo powszechnego powstania całej Galii na jakiś czas odsunięto, ale sytuacja pozostała nadal naprężona. Cezar zdawał sobie sprawę, że oprócz Eduów i Remów nie było wówczas państewka i ludu nie podejrzanego o wrogość i spiskowanie. Klęska pod Atuatuka przekonała Galów, że i legiony można zwyciężać, przywróciła im wiarę we własne siły. Trewerowie, Nerwiowie, Karnutowie, Eburonowie, Atuatukowie albo jawnie chwycili za broń, albo się do tego gotowali. Ambioryks i Trewerowie zawarli przymierze i wezwali na pomoc Germanów.

Tej zimy Cezar nawet nie myślał o wyjeździe do Italii. Rekrutację dwu nowych legionów przeprowadził w Galii Przedalpejskiej przez swoich legatów. Wobec groźby wielkiej wojny postanowił nawet zwrócić się do Pompejusza z prośbą o wypożyczenie mu jednego legionu z armii, którą dysponował jako formalny na-



miestnik Hiszpanii - formalny, bo do tej prowincji w ogóle nie wyjechał.

Jeszcze zimą udało się Cezarowi spustoszyć kraj Nerwiów i zmusić ten potężny lud do ukorzenia się. Kiedy Senonowie, siedzący nad rzeką zwaną dziś Yonne, nie przysłali swych delegatów na zjazd zwołany przez Cezara wczesną wiosną do Samarobriwa (dzisiejsze Amiens), obrady natychmiast przeniesiono do małej miejsciny, zwanej Lutecja, a leżącej na ziemiach małego plemienia Paryzjów; ta miejscowość, wówczas po raz pierwszy w historii wzmiankowana, miała w przyszłości stać się Paryżem. Po zamknięciu zjazdu legiony od razu ruszyły z Lutecji na południe, do kraju Senonów. Przerażeni tym nagłym zjawieniem się Rzymian poddali się zarówno oni, jak też ich sąsiedzi od zachodu, Karnutowie.

Ale głównym wrogiem pozostawał wciąż Ambioryks. Cezar nie zaatakował go wprost, lecz uderzył najpierw na jego sojuszników Menapiów, dotąd w ogóle nie ujarzmionych. Tym razem nie osłoniły ich ani lasy, ani bagna. Po spustoszeniu przez legiony wielkich połaci kraju musieli się poddać. W tymże czasie Labienus pokonał głównych sprzymierzeńców Ambioryksa, Trewerów. Na czele obu zwycięskich korpusów Cezar powtórnie przekroczył Ren. Most zbudowano nieco powyżej miejsca, gdzie stał pierwszy. Ubiowie i tym razem zgłosili swoją pomoc, Swebowie natomiast znowu wycofali się w odległe lasy. Nie można było nawet myśleć o wyprawie w głąb nieznannej krainy i Cezar powrócił na lewy brzeg Renu. W każdym razie udowodnił Germanom, że armia rzymska jest zdolna do działań zaczepnych tak samo, jak i przed klęską pod Atuatuka.

Teraz dopiero ruszono wprost na kraj Eburonów. Przodem, przez niedostępne Ardeny, poszła jazda. Zaskoczyła Eburonów zupełnie nie przygotowanych; omal nie udało się dopaść samego Ambioryksa. Tymczasem Cezar osiągnął dawny obóz Sabinusa i Kotty w Atuatuka. Na straży taborów pozostawił tu jeden ze świeżo zaciągniętych legionów pod wodzą Cycerona, reszta zaś armii, podzielona na trzy korpusy po trzy legiony, ruszyła w różne rejony kraju Eburonów. Nie było tu żadnych zorganizowanych sił, żadnych oddziałów nieprzyjaciela. Cała ludność rozpiezchła się i schroniła w trudno dostępne miejsca. Było niemożliwe i bezcelowe przetrząsanie każdego lasu i każdego bagniska zwartymi kohortami, wysyłanie zaś małych grup narazić je mogło na osaczenie i zniesienie. By oszczędzić swoich ludzi, Cezar ogłosił, że cały kraj Eburonów stoi otworem; może tu łupić i grabić każdy, kto tylko zechce. Niby sępy na padlinę zleciały się od razu zbójce watahy spośród wszystkich ludów Galii, by rabować i mordować swoich braci. Nawet zza Renu przybyli nieproszeni goście - horda jeźdźców Sugambrow.

Pojawienie się Germanów omal nie przyniosło Rzymianom nowej klęski - i to znowu w Atuatuka. Sugambrom nie wystarczył nędzny dobytek Eburonów. Dowiedzieli się, że główny obóz rzymski w Atuatuka jest słabo obsadzony, uderzyli więc nań niespodziewanie, właśnie w dniu, kiedy prawie cała załoga wyruszyła w pole dla zbierania zboża. Atak udało się odeprzeć z największym trudem; natomiast kohorty znajdujące się poza obozem, złożone przeważnie z młodych, nie-doświadczonych żołnierzy, zostały prawie w pień wycięte.

Późną jesienią odbył się ponury epilog owego roku pacyfikacji. Na zjeździe dostojników wszystkich ludów Galii w Durokortorum, dzisiejszym Reims, został skazany na śmierć Akko. Uznano go za prowodyra antyrzymskich wystąpień w kraju Senonów. Egzekucja odbyła się starorzymским sposobem. Skazany został przywiązany do słupa. Najpierw sieczono go różgami, następnie zaś odcięto mu głowę toporem.

Teraz dopiero Cezar mógł wyjechać do Italii. W Galii panował pokój.



## WERCYNGETORYKS - GERGOWIA

**W** czerwcu roku 53, a więc właśnie wówczas, kiedy Cezar pacyfikował ludy belgijskie wśród lasów i bagien nad dolnym Renem, u wschodnich granic państwa rzymskiego, na spalonych słońcem piaskach pustyni syryjskiej, rozegrała się straszliwa tragedia.

Triumwir Marek Krassus, od dawna pragnący dorównać sławie Pompejusza i zwycięstwom Cezara w Galii, wyruszył w roku 54 na czele siedmiu legionów do Syrii, by stamtąd zaatakować państwo Partów; zamierzał zagarnąć jedną z najbogatszych krain ówczesnego świata, Mezopotamię. Realizował w ten sposób postanowienia zjazdu triumwirów w 56 roku w Luce. Towarzyszył mu syn, Publiusz Krassus, który w Galii odznaczył się jako jeden z najzdolniejszych oficerów Cezara. W roku 54 Krassus odniósł pewne sukcesy. Ale wyprawa zakończyła się wiosną roku 53 zupełną klęską. Rzymianie, nie mogąc sprostać świetnej jeździe i łucznikom Partów, zostali zmuszeni do odwrotu i ostatecznie rozbici na pustkowiach północnej Mezopotamii pod miejscowością Karrhe. Z dwudziestu pięciu tysięcy żołnierzy przedarła się do Syrii tylko garstka. Reszta zginęła lub dostała się do niewoli. W bitwie padł Publiusz Krassus, jego zaś ojciec został nieco później zdradziecko zamordowany w czasie rozmowy z dowódcami partyjskimi. Odciętą głowę najbogatszego w Rzymie człowieka przywieziono na dwór króla Partów właśnie w chwili, gdy przedstawiano tam tragedię Eurypidesa *Bakchantki*; posłużyła jako rekwizyt teatralny.

Ze śmiercią Krassusa triumwirat faktycznie przestał istnieć. Odkąd nie stało Julii, żywej więzi między Cezarem a Pompejuszem, stosunki między nimi uległy pogorszeniu. Przyczyniał się do tego i lęk Pompejusza przed rosnącą potęgą Cezara. Co prawda po klęsce pod Atuataka oddał Cezarowi jeden ze swych legionów; odrzucił natomiast propozycję odnowienia związków rodzinnych przez poślubienie Oktawii, która była wnuczką siostry Cezara, i ożenił się z wdową po Krassusie, Kornelią. Oddalając się od Cezara zbliżał się do senatu, który był zawsze niechętny zdobywcy Galii. Zmuszała Pompejusza do tego i sytuacja w Rzymie, gdzie walki uliczne zbrojnych band doprowadziły do zupełnej anarchii. Najgroźniejsze były bandy Klodiusza i Milona. Bezsilność władz doszła do tego stopnia, że w roku 53 nie mogły się odbyć normalne wybory na konsulów i

republika rozpoczęła nowy rok pozbawiona swych najwyższych urzędników. Ale właśnie z początkiem roku 52 Klodiusza zabili ludzie Milona w czasie przypadkowego mijania się orszaku obu prowodyrów na Via Appia. Stronnicy Klodiusza - a miał ich wielu wśród niższych warstw - wywołali w mieście groźne zamieszki. Ciało zamordowanego spalono w gmachu posiedzeń senatu na Forum, na improwizowanym stosie z ław, stołów i książek; spłonął zarówno ten budynek, jak i sąsiednia hala, Basilica Porcia.

By nie dopuścić do zupełnego załamania się porządku i bezpieczeństwa, senat dał Pompejuszowi specjalne pełnomocnictwa i upoważnił go do przeprowadzenia poboru w Italii. Wkrótce na wniosek Bibulusa, poparty przez Katona, Pompejusza mianowano konsulem „bez kolegi”, tj. miał on piastować sam władzę, którą normalnie dzieliło się dwu.

Cezar, który przybył do Italii północnej jeszcze przed zamordowaniem Klodiusza, obserwował rozwój wypadków w stolicy z Rawenny. Stąd kontaktował się ze swymi agentami politycznymi w Rzymie i prowadził rokowania z Pompejuszem. W pewnym momencie pośredniczył w nich Marek Cynceron, specjalnie w tym celu wyjeżdżając do Rawenny. Cezar, godząc się, by Pompejusz został konsulem „bez kolegi”, żądał w zamian, by jemu samemu przyznano prawo ubiegania się o konsulat na rok 48 zaocznie. Pompejusz przystał na to i odpowiednia ustawa została wniesiona przez dziesięciu trybunów ludowych. Uchwalono ją mimo sprzeciwu Katona.

Cezar czekał z najwyższą niecierpliwością na załatwienie tej zasadniczej dla siebie sprawy i na uspokojenie się stosunków w Rzymie. Przez całą zimę nadchodziły do Rawenny coraz to bardziej alarmujące wieści z za Alp. Przywódcy ludów Galii orientowali się dobrze, że Rzym pogrąża się w politycznej anarchii. Z przejęciem i radością słuchano o klęsce w Syrii, o zamieszkach w stolicy, o zamordowaniu Klodiusza i o spodziewanej wojnie domowej - tak bowiem tłumaczono tu sobie zarządzenie nadzwyczajnej rekrutacji w Italii. Wyczuwano też, że polityczna pozycja Cezara uległa osłabieniu. Wydawało się więc Galom, że teraz właśnie, kiedy Rzym zajęty jest własnymi sprawami, Cezar zaś osamotniony, nadchodzi stosowna pora wyparcia najeźdźcy, zniechęconego przez wszystkich. Prosty wieśniak burzył się na myśl o przymusie oddawania armii rzymskiej corocznie dużej części plonów; dostojnicy mieli przed oczyma skrwawione, bezgłowe ciało Akkona; nie było w całej Galii żadnej krainy i żadnej rodziny, której w jakiś sposób nie dotknęła wojna. Dziesiątki tysięcy mężczyzn legło na polach bitew, jeszcze więcej pognano w niewolę wraz z kobietami i dziećmi. Miasta i osady wielu plemion poszły z dymem, a stratowanych pól nie miał kto uprawiać.

Na tajnych zjazdach i naradach postanowiono rozpocząć działania wojenne możliwie wcześniej, jeszcze zimą, by odciąć Cezara od legionów. Naczelnicy zaprzysięgli sobie wzajemną wierność i pomoc w najuroczystszy sposób - na sztandary i oznaki bojowe.

Powstanie rozpoczęło się w kraju Karnutów, nad środkową Loarą. Rankiem pewnego dnia lutowego w ich mieście Cenabum, dzisiejszym Orleanie, wymordowano rzymskich kupców i zdobyto magazyny zbożowe armii. Wieść o tym, podawana wołaniem z osady do osady, już wieczorem tegoż dnia dotarła do kraju Arwernów, dzisiejszej Auvergne, odległego o 250 kilometrów na południe.

Stolicą Arwernów była Gergowia, położona na wysokim wzgórzu między dzisiejszymi miejscowościami Puy de Dôme i Clermont Ferrand. Tu jednak naczelnicy i dostojnicy nie byli chętni wojnie z Rzymem. Od początku pojawienia się Cezara w Galii szukali ugody z nim, w słusznym - ze swego punktu widzenia - przeświadczeniu, że tylko w oparciu o potęgę Rzymu będą mogli utrzymać swe uprzywilejowane stanowisko i ogromne majątki, zagrożone przez coraz to częstsze ataki warstw upośledzonych.

Na wieść o czynie Karnutów młody magnat Wercyngetoryks - syn jednego z najpotężniejszych książąt, przed laty skazanego na śmierć za dążenie do władzy królewskiej; odtąd ród jego stał się wrogiem rządzących ugrupowań - wezwał swoich ludzi, by poszli w ślady mieszkańców Cenabum i chwycili za broń przeciw Rzymianom; został jednak wypędzony z miasta.

Wówczas Wercyngetoryks, energiczny, odważny i bezwzględny, począł gromadzić wokół siebie wszystkich, którzy z jakichkolwiek względów byli w niezgodzie z panującym porządkiem rzeczy. Na ich czele objeżdżał wsie i osady, pociągając swoją wymową i zapalem coraz to większe masy. Rychło stał się potężniejszy od przeciwników, opanował Gergowię i wygnał ich z miasta. Do Arwernów jęły się teraz przyłączać ludy zachodniej Galii. Wercyngetoryks, wybrany najwyższym wodzem, zażądał wydania zakładników oraz wystawienia odpowiednich kontyngentów wojsk, szczególnie jazdy. Nieposłuszeństwo łamał bezwzględnie: kazał obcinać uszy i nosy, wyłupywać oczy, torturować, palić na ogniu. Zmusił do przyłączenia się do powstania Biturygów znad Loary, gdzie dzisiejsze Bourges. Eduowie, którym ten lud podlegał, nie odważyli się udzielić mu pomocy.

Wódz Wercyngetoryksa, Kadurkus, skłonił do opowiedzenia się za powstaniem Rutenów w dzisiejszym Aveyron. To posunięcie było dla Rzymian bardzo niebezpieczne, Rutenowie bowiem sąsiedowali z Galią Narbońską i mogli zagrozić jej głównym miastom - Tuluzie i Narbo.

Cezar stał już w Galii, nie mógł jednak przedrzeć się do swych legionów na północy. Z Italii przybył z małym tylko oddziałem; w tej zaś sytuacji nie sposób było ufać niby to wiernym jeszcze ludom. Na razie zorganizował z jednostek, jakie miał pod ręką, obronę granic koło Narbo, by w ten sposób zamknąć drogę Kadurkusowi. Wreszcie powziął śmiałą myśl przejścia zimą przez góry Sewenny, oddzielające Eduów od Arwernów. Zima była tego roku szczególnie ciężka, w górach zaspy śniegu sięgały sześciu stóp. Posuwano się z najwyższym trudem, przekopując drogę krok za krokiem. Za to zaskoczenie powiodło się w pełni, Arwernowie bowiem byli całkowicie pewni, że strome Sewenny stanowią

zwłaszcza zimą zaporę nie do przebycia. Nie było w okolicy żadnych zastępów, które by mogły się przeciwstawić jeździe Cezara, grasującej zupełnie bezkarnie. Wercyngetoryks, przebywający z głównymi siłami w kraju Biturygów, musiał zawrócić na południe dla obrony własnych ziem.

Tymczasem Cezar postawił na czele oddziałów Decymusa Brutusa, sam zaś podążył do Wienny, gdzie stacjonowała część jazdy. Stąd dniem i nocą pędził doliną Saony na północ, do dwu legionów, które zimowały w kraju Lingonów, w okolicach dzisiejszego Langres, a więc w odległości około trzystu kilometrów od Wienny. Powodem pośpiechu było i to, że nie ufał już nawet Eduom; pragnął uprzedzić ich ewentualny zamach na swoją osobę. Po przybyciu do Lingonów zarządził natychmiast koncentrację wszystkich legionów w pobliżu Agendikum, dzisiejszego Sens.

Tymczasem Wercyngetoryks, któremu Cezar tak przemyślnie wymknął się z rąk, dokonał posunięcia dotkliwie godzącego w rzymski prestiż. Obiegł mianowicie małe miasto Gorgobina, leżące u ujścia rzeki Allier do Loary. Cezar osiedlił tam Bojów, którzy przed kilku laty towarzyszyli Helwetom w ich wędrówce. Gorgobina podlegała Eduom. Nie udzielając pomocy poddanym swych sprzymierzeńców, Cezar okazałby własną słabość i musiałby się liczyć z odpadnięciem wszystkich sojuszników. Ale była jeszcze zima i aprowizacja kilku legionów w polu nasuwała ogromne trudności. Mimo to Cezar podjął wezwanie i ruszył z prawie wszystkimi siłami w kierunku na Gorgobinę. Szedł jednak wielkim łukiem ku zachodowi, dzięki czemu mógł zdobyć jedno z miast Senonów, następnie zaś samo Cenabum Karnutów - to właśnie, które dało początek powstaniu. Zostało ukarane z całą bezwzględnością - złupione i spalone.

Legiony przekroczyły teraz Loarę i wtargnęły do kraju Biturygów. Ich pierwsze miasto graniczne, Nowiodunum, zgłosiło od razu gotowość poddania się, wydania zakładników i broni. W toku przejmowania ujrzano w oddali jazdę Wercyngetoryksa. Była to przednia straż jego armii. Na wieść o marszu Cezara wódz powstania przerwał oblężenie Gorgobiny i spieszył, by zająć drogę legionom. Znajdując się między dwiema armiami i nie wiedząc, na którą stronę przechyli się zwycięstwo, mieszkańcy Nowiodunum zaczęli zamykać bramy. Z trudem tylko udało się wydostać z miasta grupie oficerów i żołnierzy, którzy doglądali tam wydawania broni. Tymczasem utarczka między jazdą Wercyngetoryksa a Cezara zakończyła się zwycięstwem Rzymian i Nowiodunum znowu gościnnie otworzyło swe bramy legionom.

Cezar zmierzał teraz wprost na główne miasto Biturygów, Awarikum, dzisiejsze Bourges. Dotknięty ostatnimi porażkami Wercyngetoryks postanowił zmienić taktykę walki. Swój plan przedstawił naczelnikom sprzymierzonych ludów. Należało za wszelką cenę uniemożliwić Rzymianom aprowizację; muszą ulec zniszczeniu wszystkie zapasy żywności, budynki, nawet miasta, które by mogły się znaleźć w zasięgu armii wroga; rozproszone i oddalone od głównego korpusu oddziały jazdy rzymskiej nietrudno będzie osaczać i znosić.

Rada wojenna Galów aprobowała plan. W jednym tylko dniu poszło z dymem dwadzieścia okolicznych miasteczek Biturygów. Na usilne prośby ludności, mimo zastrzeżeń Wercyngetoryksa, oszczędzono tylko Awarikum, jedno z najbogatszych miast Galii. Uznano, że ten gród będzie mógł wytrzymać oblężenie, otacza go bowiem rzeka i bagna trudne do przebycia nawet o tej porze roku.

Zgodnie ze swym planem Wercyngetoryks rozbił obóz około 20 km od Awarikum, by stamtąd jednocześnie czuwać nad obroną miasta i utrudniać aprowicację oblężonej armii rzymskiej. Ta wkrótce znalazła się w ciężkiej sytuacji. Małe oddziały wysyłane po zboże i paszę stawały się łatwym łupem patrolującej wszędzie jazdy Galów. Eduowie obiecali dostarczyć zboża, ale zwlekali z tym nieustannie. Najbliżsi sojusznicy Rzymian, Bojowie, sami niewiele posiadali. Nie udała się też Cezarowi próba zajęcia obozu Galów pod nieobecność Wercyngetoryksa.

Oblężenie Awarikum przebiegało opornie, dostęp bowiem do otoczonego bagnami miasta otwierał się tylko od strony południowo-wschodniej, i to bardzo wąski, obrońcy zaś dorównywali Rzymianom w przemyślnym stosowaniu różnych pomysłów technicznych. Podkopywali się pod drewniany pomost, po którym Rzymianie zamierzali podtoczyć wieże oblężnicze ku murom; co pewien czas niszczyli go ogniem; pętlami wychwytywali haki zarzucane na mury; wzniesli wysokie wieże drewniane, dorównujące przygotowywanym przez Rzymian; nękali strażę wypadami w dzień i w nocy. Gdy mimo tych wszystkich przeszkód, mimo chłódów, deszczów i głodowania legionieści zbudowali po dwudziestu pięciu dniach prawie nadludzkich wysiłków ogromny pomost drewniany, już podchodzący pod mury, Galowie omal nie zniszczyli całego ich dzieła. Krótco przed północą podpalili pomost od dołu, za pomocą specjalnego wykopu; jednocześnie z dwu bram dokonano wielkiego wypadu na rzymskie wieże oblężnicze, z murów zaś zrzucano na pomost susz i żywicę, by podsycić ogień. Walki trwały całą noc. Rzymianie starali się ugasić pożar i odeprzeć atakujących, Galowie zaś z bohaterstwem, które znalazło uznanie nawet u Cezara, czynili wszystko, by ogień objął cały pomost i maszyny. Ostatecznie nad ranem zostali odparci.

Po naradzie dnia następnego Galowie postanowili wyjść z miasta i połączyć się z Wercyngetoryksem; ten uznał myśl za słuszną. Bagna, utrudniając pościg rzymski, dawały dobrą szansę ucieczki. Ale od tego planu musieli odstąpić, kobiety bowiem podniosły straszliwy krzyk, błagając, by nie zostawiać ich na łup Rzymian; przerażeni się więc, że te wołania ostrzegły już wroga i że jazda rzymska przetnie drogi ucieczki.

Dwudziestego siódmego dnia oblężenia rozpętała się potworna ulewa. Wyzyskując ten moment Cezar dał rozkaz szturmowi. Dzięki pełnemu zaskoczeniu opanowano mury nadspodziewanie łatwo. Galowie próbowali bronić się oddziałami na ulicach i placach, ale Rzymianie przezornie nie schodzili w dół, obsadzając przede wszystkim obwód murów. Wówczas cała masa wojowników rzuciła się ku przeciwległej bramie, by wydostać się z miasta i podążyć do obozu

Wercyngetoryksa. Wśród stłoczonych, trających się tłumów legionieści dokonali straszliwej masakry. Z prawie czterdziestu tysięcy obrońców Awarikum do Wercyngetoryksa dotarło ledwie ośmiuset.

Rzecz godna uwagi: ta klęska nie poderwała autorytetu przywódcy Galów, raczej go nawet wzmocniła. Wercyngetoryks niejednokrotnie bowiem stwierdzał publicznie, że obrona Awarikum jest błędem, że miasto należy opuścić i spalić jak wszystkie inne. Ustał tylko na usilne błagania. Galowie, oczekując teraz ataku ze strony Cezara, obwarowali obóz, ściągali też posiłki z różnych okolic, nad czym pracowali wszędzie energiczni emisariusze Wercyngetoryksa.

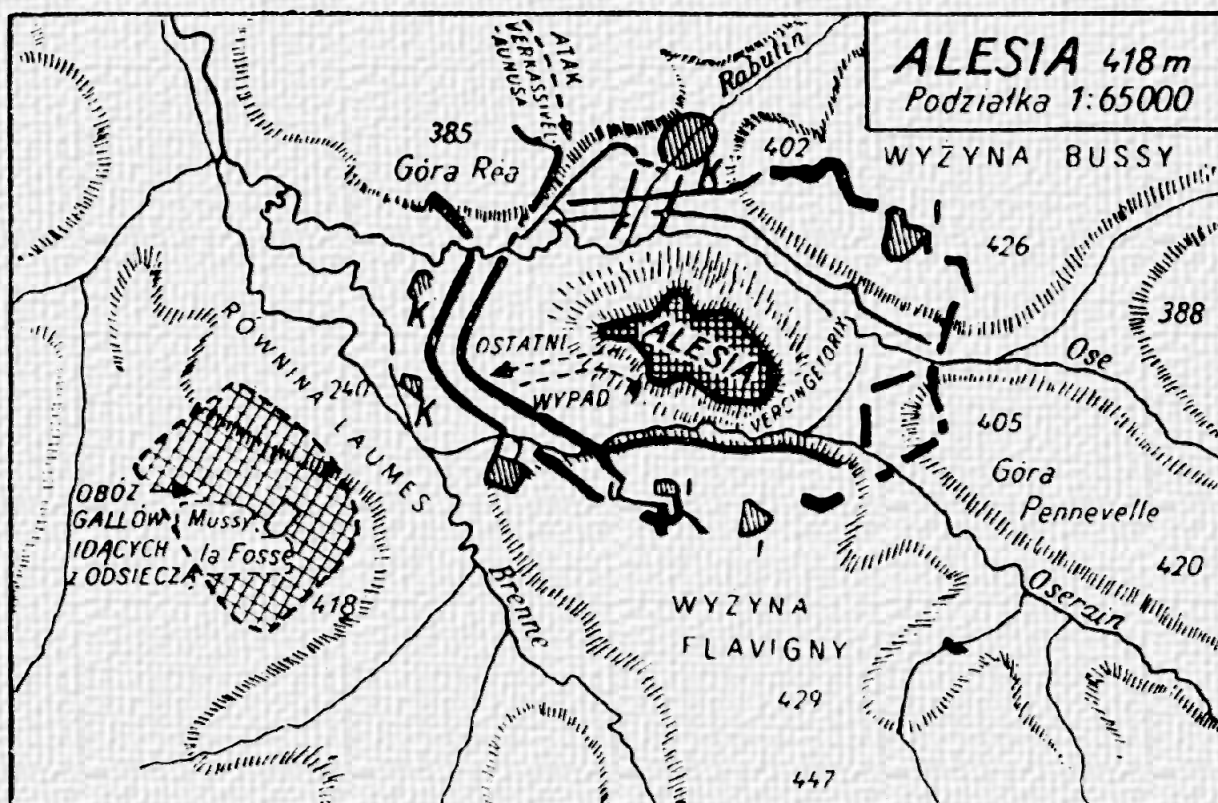
Zapasy żywności, jakie znaleziono w Awarikum, pozwoliły legionom na kilkudniowy wypoczynek. Zima miała się już ku końcowi. Cezar przemyślał, w jaki sposób można by zmusić wodza Galów do stoczenia bitwy, kiedy nagłące wezwanie Eduów sprawiło, że zmienił plany. Groził tam wybuch wojny domowej, najwyższy bowiem urząd w państwie, wergobreta, uzurpowało sobie jednocześnie dwu magnatów. W obawie, by któraś ze stron nie wezwała na pomoc Wercyngetoryksa, udał się sam do Eduów, zwołał zjazd naczelników i jako rozjemca tytuł wergobreta przyznał Konwiktolitawisowi. Przy sposobności zażądał od Eduów wystawienia dziesięciu tysięcy pieszych dla ochrony linii zaopatrzenia; domagał się też wystawienia całej jazdy. Główne magazyny żywności umieszczono w obronnie położonym mieście Eduów Nowiodunum (dziś Nievre) nad Loarą.

Armia rzymska podzielona została na dwa korpusy. Sześć legionów wyruszyło pod wodzą Labienusa na północ, nad Sekwanę, do kraju Senonów i Paryżjów. Na czele pozostałych sześciu Cezar pociągnął wprost do kraju Arwernów, w samo serce powstania. Szedł wschodnim brzegiem rzeki Elaver, zwanej dziś Allier, w górę jej biegu. By uniemożliwić legionom przejście na brzeg zachodni, gdzie leżała stolica kraju Gergowia, Wercyngetoryks zniszczył wszystkie mosty. Towarzyszył marszowi armii rzymskiej idąc równo z nią drugą stroną rzeki. Cezar musiał użyć podstępny - upozorował marsz wszystkich sił na południe, gdy w rzeczywistości dwa legiony pozostały na starym miejscu - by zbudować most i wreszcie stanąć na brzegu zachodnim. Unikając bitwy Wercyngetoryks pospieszył przodem. Dopiero piątego dnia marszu Cezar stanął pod Gergowią.

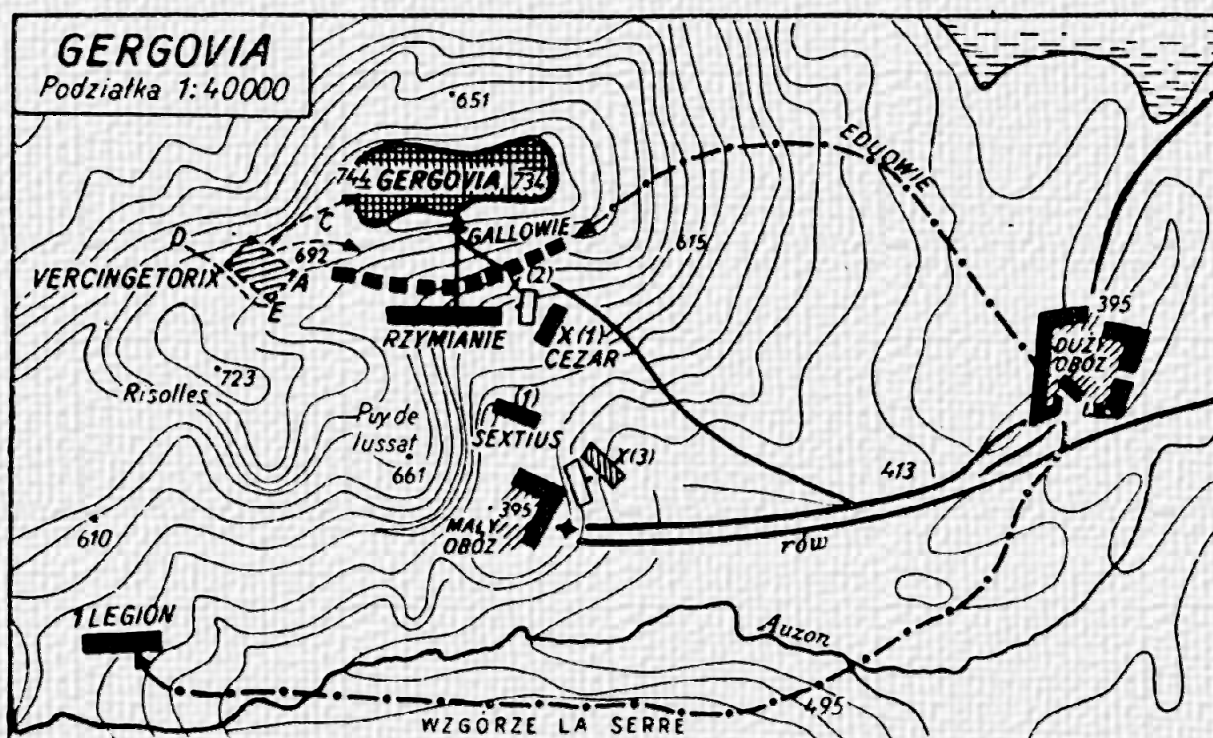
Miasto leżało na wzgórzu o bardzo stromych zboczach, szczególnie od północy i wschodu. Ale i od południa podejście nie było łatwe. Właśnie od tej strony, na szerokiej, pagórkowatej terasie obozowały dziesiątki tysięcy wojowników, według podziału na plemiona i szczepy. Widok tych nieprzejrzanych zastępów budził grozę nawet u doświadczonych żołnierzy. Położenie miasta wykluczało możliwość zdobycia go szturmem. Można było myśleć jedynie o długotrwałym oblężeniu. Ale i to nie było łatwe, cały bowiem korpus Cezara liczył ledwie 25.000 ludzi.

Przez kilka pierwszych dni zdarzały się tylko drobne utarczki jazdy. Pierwszym sukcesem rzymskim było obsadzenie pewnej nocy małego wzgórza u południowych stoków góry, zwanego dziś Roche Blanche. Po zajęciu wzgórza zbudowano tam rodzaj małego fortu i połączono go podwójnymi rowami z

głównym obozem. Dzięki temu posunięciu można było nie dopuszczać Galów do pobierania wody z pobliskiego strumienia i przeszkadzać im w wypasaniu koni na okolicznych łąkach.



Szkic oblężenia. Alezja



Szkic oblężenia. Gergovia



Ale bezpośrednio po tym sukcesie przybył o północy jeździec z groźną wiadomością. Dziesięcioletni oddział piechoty Eduów, maszerujący już do obozu Cezara, zbuntował się. Stało się to za sprawą samego dowódcy oddziału, młodego arystokraty Litawikkusa. Rozpuścił on fałszywe wieści o wymordowaniu przez Rzymian jazdy Eduów, wysłanej do Cezara już wcześniej. Zrabowano zboże, które miano dostarczyć do obozu, Rzymian zaś, spieszących do Cezara pod osłoną oddziału, uśmiercono po straszliwych torturach.

Jeszcze tej samej nocy Cezar wyruszył z obozu z czterema legionami i całą jazdą. Po forsownym marszu dopadł cofającą się piechotę Eduów w odległości około 35 km od obozu. Zaatakowana przez jazdę, poddała się od razu, Litawikkus jednak zdołał uciec. Cezar nie ukarał nikogo, obawiając się, że surowe represje spowodują zupełne odpadnięcie Eduów od sojuszu z Rzymem. Udał, że wierzy ich zapewnieniom o tragicznej pomyłce i winie tylko Litawikkusa; ale było jasne, że współdziałało z nim wielu wybitnych przywódców całego ludu.

Po trzech godzinach odpoczynku ruszono w drogę powrotną, zabierając całą piechotę Eduów; żołnierze ci mieli być po części sprzymierzeńcami w walce, po części zakładnikami. W połowie już drogi do obozu zabiegli Cezarowi drogę jeźdźcy wysłani przez Fabiusza, który pozostał w obozie z dwoma legionami; donieśli o wielkim szturmie, jaki Wercyngetoryks przypuścił na obóz; zdołano go odeprzeć z ogromnym wysiłkiem i z dużymi stratami własnymi tylko dzięki użyciu katapult.

Wymęczeni daleką drogą żołnierze przyspieszyli kroku i stanęli w obozie jeszcze przed świtem. Wobec powrotu legionów Galowie nie wznowili już szturmów. Wkrótce przybyli też posłowie Eduów, próbując oczyścić się zarówno ze zdrady Litawikkusa, jak i z innych wrogich wobec Rzymian poczynań, których dopuścili się pod przywództwem samego Konwiktolitawisa. Cezar przyjął posłów nader łaskawie, zapewniając, że ślepotę i pobudliwość motłochu, który popełnił te wykroczenia, w niczym nie zmieniają jego przyjaznego nastawienia do całego ludu Eduów. Ale mówiąc to wiedział, że ci już przygotowują się do wojny i nawiązują kontakty z innymi ludami. Należało myśleć o wycofaniu się spod Gergowii i połączeniu wszystkich sił rzymskich - tak jednak, by odwrót nie wyglądał na ucieczkę.

Tymczasem w czasie inspekcji małego obozu na zdobytym wzgórzu Cezar zwrócił uwagę, że sąsiednie pagórki, dotąd zawsze pokryte mrowiem wojowników, teraz są prawie puste. Zbiegowie wyjaśnili zagadkę: Wercyngetoryks obawiał się, że Rzymianie mogliby opanować zachodnie, najłagodniejsze podejście do miasta, gdzie jakby siodłem łączyło się ono z pasmami okolicznych wzniesień; dlatego też skierował prawie wszystkich ludzi do wznoszenia obwarowań z tamtej strony. Cezar postanowił wyzyskać obawy wodza Galów i użyć podstępów.

Jeszcze nocą odeszły w kierunku zachodnim szwadrony jazdy, o świcie zaś konie juczne, na których jechali pachołcy i ciury obozowe, przybrani w hełmy. Patrzący z miasta musieli odnieść wrażenie, że Rzymianie przygotowują się do ataku właśnie

na podejście zachodnie. Nabrali co do tego zupełnej pewności, gdy zauważyli maskowany marsz jednego legionu w tymże kierunku. Wercyngetoryks natychmiast ściągnął większość sił dla obrony rozpoczętych umocnień. Tymczasem Cezar podprowadził skrycie legiony do małego obozu na wzgórzu, piechocie zaś Eduów rozkazał maszerować wprost z głównego obozu na mur, który Galowie wzniesli w połowie południowego stoku góry dla powstrzymania ewentualnego ataku Rzymian; za tym to właśnie murem ciągnęły się namioty wojsk Wercyngetoryksa aż do umocnień samego miasta.

Na dany sygnał legiony szybko ruszyły do szturmowania z małego obozu i jednym impetem zdobyły mur, prawie nie napotykając oporu. Zaskoczenie było zupełne. Zdobyto stanowiska trzech plemion. Jednakże kontynuowanie ataku wydawało się niebezpieczne, siły bowiem wroga górowały liczebnie. Dlatego Cezar rozkazał trąbić na odwrót. Ale ten sygnał usłyszały tylko kohorty legionu dziesiątego. Inne legiony, do których on nie dotarł, uniesione nadzieją większego sukcesu, może nawet zdobycia miasta, parły bez przerwy naprzód i podeszły już pod same mury Gergowii. W mieście wszczął się popłoch. Kobiety podniosły krzyk; stojąc na murach z płaczem i zawrotem błagały Rzymian o litość, niektóre zaczęły już zrzucić kosztowności. Kilku żołnierzy legionu czwartego zdołało nawet, jeden podsadzając drugiego, wspiąć się na mur.

Lecz już nadchodziła odsiecz. Biegiem spieszyły oddziały Galów, ściągnięte uprzednio dla odparcia spodziewanego ataku na podejście zachodnie. W miarę ich przybywania położenie legionów stawało się coraz trudniejsze, przeciwnik bowiem przeważał liczebnie i walczył z dogodniejszych, wyżej położonych miejsc. Powodem pewnego zamieszania w szeregach rzymskich stało się też nadejście piechoty Eduów, która wyszła z obozu zgodnie z rozkazem Cezara, mając jednak dalszą drogę, przybyła dopiero teraz. Ze względu na podobieństwo uzbrojenia legionistów wzięli swych sprzymierzeńców za wojowników Wercyngetoryksa.

Mimo twardego oporu Rzymianie zostali zepchnięci w dół. Prących naprzód Galów powstrzymał najpierw legion dziesiąty, który zatrzymał się wcześniej na rozkaz Cezara i nie brał udziału w bitwie u murów miasta, później zaś kohorty legionu trzynastego, przysłane z mniejszego obozu.

Zginęło w tym dniu prawie siedmiuset żołnierzy i czterdziestu sześciu oficerów. Porażka była dotkliwa.

Przez dwa dni następne Cezar wyprowadzał legiony z obozu i ustawiał je w szyku bojowym. Ale Wercyngetoryks był zbyt przewidującym wodzem, by dać się wciągnąć w walkę. Wiedział, że w otwartym polu rzymskie kohorty mogą wziąć górę nawet nad liczniejszymi zastępami jego wojowników. Ostatecznie trzeciego dnia Cezar musiał zwinąć obóz i odejść ku ziemiom Eduów tą samą drogą, którą przybył. Gergowia pozostała nie zdobyta.



## WERCYNGETORYKS - ALEZJA

Niemal bezpośrednio po przekroczeniu rzeki Allier doszła Cezara wiadomość katastrofalna: Eduowie odpadli. W Bibrakte, ich głównym mieście, najwyżsi dostojnicy ludu uroczyście przyjmowali Litawikkusa. Wysłano też wielkie poselstwo do Wercyngetoryksa. Co najgorsze i co groziło wręcz zagładą armii rzymskiej, Eduowie opanowali Nowiodunum nad Loarą, gdzie znajdowały się główne magazyny rzymskie, gdzie osadzono zakładników wszystkich ludów Galii i złożono cały skarbiec. Mały garnizon został wysieczony w pień, wymordowano też rzymskich kupców i przedsiębiorców; zboże wywieziono statkami lub zatopiono w rzece, zakładników odprowadzono do Bibrakte.

Tak więc legiony znalazły się w samym sercu wrogiego kraju, pozbawione wszelkich zapasów, mając za sobą rozentuzjasmowaną niedawnym sukcesem armię Wercyngetoryksa, przed sobą wezbraną wiosennymi roztopami Loarę, wokół zaś żądnych walki Biturygów, Eduów, Arwernów. Wielu oficerów było zdania, że w tej sytuacji należy zawrócić na południe, ku prowincji. Tę myśl Cezar odrzucił. Odwrót równałby się ucieczce i rezygnacji ze wszystkiego, co osiągnięto w ciągu siedmiu lat krwawych walk i wielkich wysiłków. Wycofanie się byłoby zresztą trudne, trzeba by bowiem znowu przedzierać się przez Sewenny. Co najważniejsze, Labienus i jego legiony nad Sekwaną pozostawieni byłiby własnemu losowi. Ruszono więc na północ.

Znaleziono bród na Loarze, przez który żołnierze przeprawili się idąc w wodzie prawie po szyję i trzymając broń wysoko nad głowami. Na prawym brzegu rzeki znaleziono zboża i bydło na polach. Natychmiast po zaprowiantowaniu ruszono ku krajowi Senonów. Tu połączono się z Labienusem w jego głównej kwaterze Agendikum (dzisiejsze Sens).

W czasie gdy Cezar walczył pod Gergowią, Labienus wyprawił się na Lutecję, stolicę ludu Paryzjów. Dzisiejszy Paryż był wówczas małym miasteczkiem, zajmującym jedynie samą wyspę na Sekwanie - tę właśnie, na której obecnie wznosi się katedra Nôtre Dame. Miasto zostało całkowicie spalone przez mieszkańców, mosty zerwane. Opanować go Labienus nie zdołał, po pierwszych bowiem potyczkach nadeszły wieści - i to przesadzone - o niepowodzeniu Cezara pod Gergowią. Donoszono też o powstaniu sąsiedniego ludu Bellowaków. Ostatecznie Labienusowi udało się rozbić część sił nieprzyjacielskich i wycofać do Agendikum.

Tymczasem w Bibrakte zebrali się wysłannicy prawie wszystkich ludów Galii, z wyjątkiem Remów i Lingonów, którzy pozostali wierni Cezarowi, oraz Trewerów, obawiających się najazdu Germanów. Radzono, komu powierzyć naczelne dowództwo. Ubiegali się o nie Eduowie, ale większość opowiedziała się za Wercyngetoryksem. Wyznaczył on wszystkim ludom odpowiednie kontyngenty jazdy; łącznie miało jej być 15.000. Wierny swej zasadniczej koncepcji prowadze-

nia wojny, Wercyngetoryks i teraz nie myślał ryzykować stoczenia bitwy; wystarczyło, jego zdaniem, uniemożliwić Rzymianom aprowizację. W tym celu rozkazał niszczyć, jak poprzednio u Biturygów, zapasy żywności i wszystkie budynki na szlaku marszu legionów. Jednocześnie polecił ludom graniczącym z prowincją nękać najazdami pobliskie tereny i przeciągać na stronę powstania tamtejsze plemiona. Siły rzymskie w prowincji, stojące pod rozkazami legata i kuzyna Cezara, Lucjusza Cezara, wynosiły tylko dwadzieścia dwie kohorty. Dlatego też Cezar po połączeniu się z legionistami Labienusa postanowił iść na pomoc Galii Narbońskiej. Wobec ogarnięcia pożarem powstania całego kraju i unikania przez Galów walnej rozprawy dalszy pobyt na północy był bezcelowy. Należało ratować przynajmniej dawne posiadłości, by następnie wzmocnić legiony nowym zaciągiem i wtedy dopiero próbować zdławić wielki ruch wolnościowy.

Ale wódz Galów zdawał sobie sprawę z planów Cezara i postanowił tak nadszarpnąć jego siły w czasie drogi, by armia rzymska nieprędko odważyła się powrócić. Szedł więc w ślad za Rzymianami, maszerującymi na południe przez kraj Lingonów ku ziemiom Sekwanów. Ufny w przewagę swej jazdy, rozkazał jej zaatakować obciążone taborami legiony w marszu, z obu flank; piechota miała tymczasem związać w walce część legionów od czoła. Jednakże bitwa potoczyła się inaczej, niż przewidywał. Cezar podzielił swoją jazdę na trzy części i rzucił ją przeciw Galom. Jeszcze przed wyruszeniem z Agendikum udało mu się zwerbować za Renem spory zastęp świetnych jeźdźców germańskich. Ponieważ ich małe, źle odżywione konie nie mogłyby dorównać wspaniałym rumakom Galów, którzy się lubowali w koniach, dał Germanom wierzchowce rzymskich oficerów. Dzięki temu rozporządzał jazdą wprawdzie nie tak liczną jak Wercyngetoryks, bardzo jednak sprawną i bitną. Powstrzymała ona pierwszy impet jazdy Galów, co umożliwiło legionom ustawienie taborów i otoczenie ich murem kohort ze wszystkich stron. Teraz z kolei legionieści mogli przyjść z pomocą jeździe, wypadając oddziałami tam, gdzie Galowie zdawali się być górą. Wreszcie Germanom udało się opanować wzgórze z prawej strony; stąd puścili się w pogoń za uciekającymi ku głównym siłom Wercyngetoryksa nad rzeką. Wówczas reszta jazdy Galów, bojąc się odcięcia, rzuciła się również do ucieczki. Padło w niej wielu zabitych, pojmano też sporo jeńców, wśród nich kilku przywódców Eduów.

Wercyngetoryks, widząc porażkę jazdy, ściągnął swoje oddziały i zawrócił do Alezji, blisko położonego miasta ludu Mandubiów. Aż do wieczora szły za cofającymi się legiony, napierając silnie na tylne straże; miało tam zginąć prawie 4000 Galów.

Następnego dnia Cezar stanął pod Alezją.

Miasto leżało na wzgórzu, znacznie niższym co prawda od tego, na którym wznosiła się Gergowia, na tyle jednak wysokim - ponad 160 metrów - że nie można było myśleć o wzięciu go szturmem. Od południa i północy wzgórze opływały dwie rzeczki, od zachodu rozciągała się płaska równina długości około 4,5 km. Natomiast od wschodu wzgórze łączyło się z okolicznymi wzniesieniami, tej samej

prawie wysokości. Podobnie jak pod Gergowią zastępy Wercyngetoryksa nie weszły do miasta, lecz usadowiły się na zewnątrz jego murów od strony wschodniej.

Rzymianie przystąpili natychmiast do prac oblężniczych. Wzgórze opasano wałami i fosą długości ponad 15 km; w pewnych odstępach zbudowano 8 obozów i 24 małe forty, w których dzień i noc czuwały straże. W jednym z pierwszych dni oblężenia doszło do bitwy jazdy na równinie zachodniej. Znowu zakończyła się ona zwycięstwem Rzymian. Przekonało to Wercyngetoryksa, że jazda będzie teraz bezużyteczna. Na jego rozkaz nieco przed północą wszyscy jeźdźcy Galów opuścili Alezję i przedarli się przez nie ukończone jeszcze umocnienia rzymskie. Nieśli rozkazy i błagalne prośby Wercyngetoryksa do wszystkich ludów Galii: w mieście zamkniętych jest 80.000 wojowników, żywności starczy tylko na 30 dni; niech rusza na odsiecz oblężonym, kto tylko zdolny jest do walki.

Po odejściu jazdy Galowie cofnęli się do miasta, opuszczając obozowisko na zewnątrz murów. Skonfiskowano wszelkie prywatne zapasy zboża i wydzielano je na dzień skromnymi racjami. Oddano również wojownikom bydło; gospodarze miasta posiadali go sporo.

Cezar, powiadomiony o sytuacji w Alezji i o planach wodza Galów przez zbiegów i jeńców, wydał rozkaz rozbudowy umocnień, by zamknąć miasto jak najściślej, uniemożliwić wypadki i próby przedarcia się, jednocześnie zaś zabezpieczyć się przed atakiem z zewnątrz. U zachodnich stoków wzgórza wykopano głęboką fosę, szerokości około siedmiu metrów, o prostopadłych prawie ścianach. Nie należała ona do właściwego systemu fortyfikacji, miała tylko dodatkowo ubezpieczać łatwy do sforsowania, bo równinny odcinek, by żołnierze mogli spokojnie pracować nad dalszymi umocnieniami. Stanowiły je dwie fosy, obie prawie po 5 metrów szerokie i 2,5 metra głębokie, obiegające wokół całe wzgórze. Niższe odcinki fosy wewnętrznej były miejscami wypełnione wodą. Za fosami wznosił się wał z palisadą o łącznej wysokości czterech metrów, wzmocniony co prawie 100 metrów drewnianymi wieżami. Takie same umocnienia przeprowadzono od strony zewnętrznej dla przeciwstawienia się spodziewanej odsieczy.

Wzniesienie tego podwójnego pierścienia fortyfikacji o obwodzie dwudziestu kilometrów było pracą olbrzymią, tym cięższą, że każdorazowo mogła ją wykonywać tylko część legionów; przynajmniej tyle samo żołnierzy musiało strażować i odpierać ataki Galów, reszta zaś wyprawiała się w okolice, by zbierać budulec i żywność. W celu utrudnienia dotarcia do głównej linii umocnień wymyślano i urządzano coraz to nowe przeszkody i pułapki na przedpolach: fosę najeżoną pięcioma rzędami zaostrzonych i rozgałęzionych pni; osiem rzędów zamaskowanych dołków, w których tkwiły ostre paliki; gęsto rozrzucone i również zamaskowane kłody z wystającymi hakami żelaznymi.

W czasie gdy pod Alezją Rzymianie pracownicy rozbudowywali system umocnień, w Bibrakte odbywał się zjazd przywódców Galii. Postanowiono ruszyć z

odsieczą jak najprędzej, odrzucono jednak żądanie Wercyngetoryksa powołania pod broń wszystkich mężczyzn, trudno bowiem byłoby dowodzić tak olbrzymią masą, a jeszcze trudniej zapewnić jej wyżywienie. Wyznaczono kontyngenty wojowników każdemu z czterdziestu trzech reprezentowanych na zjeździe ludów. Od Pirenejów, od wybrzeży Atlantyku, z nizin Loary i lasów nadreńskich ruszały do boju zbrojne zastępy. Mówiono, że łącznie zebrało się prawie 250.000 pieszych i 8000 jazdy - liczba może nieco przesadzona, w każdym jednak razie siły Galów były wielokrotnie większe od rzymskich. Wybrano czterech wodzów: dwóch Eduów, jednego Arwerna i wreszcie Kommiusza, który jeszcze dwa lata temu uchodził za najwierniejszego Cezarowi człowieka w Galii.

Ale wszystkie te przygotowania trwały około półtora miesiąca i w Alezji panował już głód. Wercyngetoryks zwołał naradę. Nie było na niej mowy o poddaniu się, postanowiono walczyć do ostatniego momentu. Jeden z wodzów przypomniał nie tak odległe czasy: gdy Cymbrowie i Teutonowie najechali Galie, oblegani utrzymywali się przy życiu zjadając niezdatnych do walki. Tę myśl na razie odrzucono, usunięto jednak z miasta wszystkich, którym choroba lub wiek nie pozwalały uczestniczyć w obronie. Wygnano najpierw gospodarzy miasta, Mandubiów, wraz z ich kobietami i dziećmi. Ci zrozpaczeni podeszli pod linie rzymskie, błagając z płaczem o strawę i przyjęcie w niewolę. Ale straż nie pozwoliła im nawet się zbliżyć. Próbowali wrócić do miasta, ale i stąd ich odegnano. W ciągu kilku dni wyginęli w męczarniach głodowych wszyscy, tułając się na oczach obu wojsk po pustych polach między murami miasta a rzymskimi fosami.

Wreszcie nadeszła odsiecz. Nieprzejrzone masy wojowników nadciągały powoli i rozbijały swe obozy na zachód od równiny, na wzgórzu zwanym dziś Mussy-le-Fosse, nieco ponad kilometr od linii umocnień rzymskich. Wystąpili do walki od razu następnego dnia. Jazda wyległa na równinę, piechota zaś zajęła stoki wzgórz. Z murów Alezji widać było świetnie każdy szczegół tego, co działo się w dole. Witano odsiecz z najwyższą radością, jak zbawienie; sposobiono się i ze swej strony do ataku na pierścień obwarowań. Zastępy wojowników Wercyngetoryksa, niosąc faszynę i pomosty, zasypały pierwszą, najszerszą fosę, i niecierpliwie czekały na moment szturm. Tymczasem na równinie rozgorzała zaciepła bitwa jazdy. Walczono tym nieustępliwiej, że wszystko działo się jak w teatrze, na oczach armii i wodzów obu stron. Początkowo górowali Galowie. Było ich więcej, skutecznie też razili Rzymian współdziałający z jeźdźcami łuczniczy. Wyciem i krzykiem witali Galowie każdy sukces swoich. Ale ostatnie słowo należało do Cezara. Już pod sam zachód słońca rzucił na Galów zwarte szwadrony jazdy germańskiej, co zmusiło przeciwnika do cofnięcia się. Pozbawieni osłony łucznicy zostali okrążeni i wybici. W ślad za cofającymi się ruszyły kohorty i ścigały Galów pod sam prawie ich obóz.

Po całonocnej przerwie dopiero następnej nocy przypuszczono szturm na rzymskie fortyfikacje od strony równiny. Rozpoczynając atak Galowie podnieśli ogromny krzyk. Było to sygnałem dla obleżonych, by uderzyli na umocnienia

wewnętrzne. W ciemnościach nocy walczono z dużymi stratami po obu stronach. Marek Antoniusz i Gajusz Treboniusz ściągnęli posiłki na zagrożony odcinek z dalszych fortów. Pociski katapult siały zniszczenie wśród szturmujących, pola ukrytych kołów i haków utrudniały dostęp, gdy zaś dotarli do wałów i wież, spychano ich w dół drągami i rażono oszczepami. Tymczasem ludzie Wercyngetoryksa strawili całą noc na zasypywaniu fos i nie zdążyli nawet nawiązać właściwej walki.

Skoro dwukrotny atak od strony równiny okazał się bezskuteczny, Galowie postanowili przełamać fortyfikacje od północy, gdzie fosy i wały biegły pochyłościami wzniesień, w niektórych więc miejscach można je było szturmować z góry. W południe dnia następnego uderzyło tam 60.000 Galów, jednocześnie zaś jazda i reszta piechoty poczęły szturmować odcinek zachodni, równinny. Tutaj też skierowali swój atak oblegani. Stanowisko dowodzenia Cezara pozwalało na objęcie wzrokiem wszystkich miejsc walki. Najcięższa była sytuacja dwóch legionów broniących umocnień północnych. Galowie zasypali tam wszystkie przeszkody i wdzierali się już na wały. Pospieszyło im z pomocą sześć kohort pod dowództwem Labienusa. Ale w tymże czasie oddziały Wercyngetoryksa, nie mogąc sforsować odcinka równinnego, zwróciły się z całym impetem ku umocnieniom na wzgórzach południowych. Rzymianie, zasypani gradem pocisków, opuścili posterunki na wieżach. Wówczas Galowie zasypali fosy i zaczęli hakami kruszyć wały. Cezar wysłał tam kohorty Decymusa Brutusa, później Gajusza Fabiusza, wreszcie pospieszył sam z dalszymi posiłkami. Stamtąd podążył na odcinek północny, gdzie walczył Labienus; skierował tam również cztery kohorty z najbliższego fortu oraz część jazdy. Reszcie jazdy rozkazał okrążyć zewnętrzne linie umocnień i zaatakować Galów od tyłu. Jako wódz naczelny, „imperator”, nosił Cezar w czasie bitwy purpurowy, szeroki płaszcz. Dlatego też zarówno legionieści, jak i wojownicy Galów spostrzegli już z daleka jego przybycie i walczący natarli na siebie ze zdwojoną energią. Była to bitwa wręcz, walczono na miecze. Rozstrzygnęło pojawienie się od tyłu jazdy rzymskiej i nadejście dalszych kohort. Galowie poczęli się cofać i wnet całymi masami rzucili się do ucieczki. Za nimi szła jazda rzymska, siekąc bezbronych i biorąc do niewoli co znaczniejszych.

Ta klęska była decydująca. Wercyngetoryks natychmiast wycofał swoich ludzi do miasta, Galowie zaś opuścili swój główny obóz. Ale zmęczeni wielogodziną bitwą legionieści nie mogli iść w pościg. Dopiero o północy wysłano jazdę, która dopadła tylną straż Galów i poczyniła tam duże spustoszenia.

Następnego dnia stawili się przed Cezarem posłowie Wercyngetoryksa. Zgłosili bezwarunkową kapitulację.

Cezar zasiadł na wysokim szańcu przed głównym obozem. Tu, u jego stóp, rzucano zdobytą broń i tu stawiali się pokonani wodzowie. Sam Wercyngetoryks wyjechał z Alezji przybrany w kosztowną zbroję, siedząc na wspaniale przyodzianym koniu. Trzykrotnie objechał wokół podium Cezara, następnie zeskoczył z konia, zrzucił swoje odznaki, zbroję i broń i usiadł u stóp zwycięzcy.

Sześć lat później szedł ulicami Rzymu za rydwanem Cezara, jako ozdoba jego triumfu, po czym został uduszony w więzieniu.



## UKSELLODUNUM

**B**epośrednio po upadku Alezji poddali się Eduowie i Arwernowie. By nie zaognić sprawy, Cezar nakazał im tylko wydanie zakładników, zwrócił natomiast prawie 20.000 wojowników, pojmanych w bitwach tego roku. Mimo tych sukcesów sytuacja nie była jeszcze wyjaśniona i należało się liczyć z dalszymi próbami powstań. Dlatego Cezar postanowił nie wyjeżdżać z Galii, legiony zaś tak rozmieścić na zimę, by mogły tłumić w zarodku wszelkie przejawy oporu.

Przewidywania okazały się słuszne. Jeszcze późną jesienią roku 52 trzeba było interweniować zbrojnie w kraju Biturygów i Karnutów nad Loarą. Ale do nowego, wielkiego powstania doszło dopiero z wiosną roku 51. Bellowakowie, siedzący na północ od rzeki Aksony (Aisne), sprzymierzyli się ze swymi sąsiadami: Atrebatami, Kaletami, Eburonami. Powstanie ogarnęło więc okolice dzisiejszych miast Rouen, Amiens, Arras, Evreux. Przewodzili mu Korreus i Kommiusz, któremu udało się ująć spod Alezji.

Główny obóz rozbili Galowie w lasach koło Compiegne, na górze zwanej dziś Monte St. Marc; na przeciwległym wzgórzu, noszącym obecnie nazwę Monte St. Pierre, stanął Cezar z czterema legionami. Przezorni wodzowie Galów unikali stoczenia bitwy, ich zaś obóz był nie do zdobycia. Co więcej, udało im się znieść niektóre oddziały jazdy rzymskiej, wysłane po paszę i prowiant. Wieści o tych wypadkach szybko dotarły do Italii; w Rzymie mówiono już o zupełnej klęsce jazdy, o porażce siódmego legionu, o odcięciu Cezara od reszty jego armii.

Widząc, że siły, jakimi dysponuje, nie wystarczają, Cezar ściągnął trzy dalsze legiony. Na wiadomość o ich zbliżaniu się Galowie, obawiając się oblężenia i losu Alezji, postanowili odesłać z obozu tabory i wszystkich niezdatnych do walki. By temu przeszkodzić, Cezar natychmiast wyprowadził legiony i uszykował je do bitwy. Ale Galowie i teraz nie wdali się w walkę. Obie armie stały cały dzień naprzeciw siebie, jedna strzegąc pilnie ruchów drugiej. Wreszcie już w nocy Galowie podpalili naniesiony uprzednio chrust i drzewa; bezpiecznie odeszli pod osłoną ściany ognia, której nie odważyła się przejść rzymska jazda.

Zatrzymali się na wzgórzu zwanym dziś Monte Ganelon, na północnym brzegu rzeki Izary (Oise), w pobliżu miejsca, gdzie wpada do niej Aisne. W trójkącie między obu rzekami znajdowały się bujne łąki. Przewidując, że znęcą one rzymską konnicę, Galowie ukryli w sąsiednich lasach oddziały swojej jazdy i wielu pieszych. Ale jeńcy wyjawili Cezarowi przygotowaną zasadzkę, można więc było tak pokierować marszem, by Galowie wpadli we własne sidła. Wysłana przodem prawie cała jazda nie tylko odparła atak Bellowaków, lecz właściwie wywalczyła już zwycięstwo - jeszcze przed nadejściem legionów. Trupy Galów zaległy masami



lasy i łąki nad obu rzekami. Korreus poległ walcząc dzielnie do końca. Kommiusz uciekł i próbował jeszcze prowadzić walkę podjazdową, później jednak doszedł do porozumienia z Cezarem; wyjechał do Brytanii, gdzie zdołał sobie stworzyć małe, oddzielne królestwo. Ci Bellowakowie, którzy pozostali w obozie, poddali się i prosili o litość, zrzucając całą winę za powstanie na Korreusa. Cezar darował im wprawdzie życie i wolność, przypomniał jednak, że łatwo jest winić zmarłych.

Wtargnięto teraz do kraju Eburonów, by ogniem i mieczem wytepić resztki hardego ludu, który pod wodzą Ambioryksa zadał Rzymianom przed kilku laty tak straszną klęskę. Labienus przeprowadził następnie pacyfikację Trewerów, Fabiusz zaś pokonał na zachodzie, nad Loarą, Dumnakusa. Inny legat Cezara, Kaniniusz, działał na południu. Zamknął on w Uksellodunum, górskiej twierdzy nad jednym z dopływów rzeki Dordogne, duży oddział Galów pod wodzą Drappesa i Lukteriusa. Ten ostatni należał poprzednio do najenergiczniejszych oficerów Wercyngetoryksa. Ze względu na położenie trudno było otoczyć miasto ciągłą linią umocnień. Dzięki temu obaj wodzowie oblężonych mogli czynić wypadki i zbierać zboże w okolicy, a nawet atakować rzymskie oddziały. Wreszcie Rzymianom udało się uderzyć wprost na kolumny transportujące żywność do miasta. Lukterius, eskortujący jedną z nich, uszedł, ale w kilka miesięcy później został pojmany w kraju Arwernów i wydany Cezarowi; stojący na czele drugiego oddziału Drappes dostał się od razu do niewoli, w której popełnił samobójstwo. Ale miasto, mimo osłabienia załogi, nie poddawało się.

Cezar przebywał tymczasem w Cenabum, dzisiejszym Orleanie, stolicy Karnutów. Fabiusz, po rozgromieniu Dumnakusa, złamał ostatecznie opór i tego ludu. By z jednej strony okazać swoją łaskawość, z drugiej zaś rzucić postrach na wszystkich wrogich rzymskiemu panowaniu, Cezar ogłosił uroczyście, że wybacza całemu ludowi, żąda jednak wydania Kotuatusa, który w poprzednim roku dał hasło rzezi Rzymian w Cenabum. Zabiegając o względy zwycięzcy Karnutowie wyciągnęli go rychło z jakiejś kryjówki i wydali Rzymianom. Cekał go los, jaki przed kilku laty spotkał Akkona: przywiązano go do słupa i biczowano, a potem odcięto mu głowę toporem.

Tak więc w całej Galii panował już spokój i porządek...

Broniła się jeszcze garstka straceńców w Uksellodunum, ale ci liczyli nie tyle na własne siły, ile na czas. Było wiadome, że namiestnictwo Cezara upływa w roku przyszłym; jeśli oblężenie przeciągnęłoby się jeszcze rok, istniała nadzieja, że przy zmianie rządów uda się albo ujść z miasta, albo nawet wraz z całą Galią odzyskać niezależność. Cezar jednak był zdecydowany doprowadzić rzecz do końca, zdławić każdą iskierkę oporu. Pospieszył z dwoma legionami do Uksellodunum i zorientował się od razu, że jedyny sposób, by wymusić szybkie poddanie się, to odcięcie miasta od wody. Zaczęto natychmiast przeprowadzać olbrzymie prace fortyfikacyjne, mające na celu niedopuszczenie oblężonych do czerpania wody ze strumieni. Ci czynili bohaterskie wysiłki zniszczenia lub podpalenia rzymskich umocnień, zadając legionistom duże straty. Poddali się wreszcie, kiedy na rozkaz

Cezara odwrócono bieg jednego z potoków.

Ale Cezar miał już dość owych wciąż wybuchających powstań. Postanowił dać całej Galii przykład, co czeka każdego, kto ośmieli się jeszcze podnieść rękę przeciw Rzymowi. Wszystkim pojmanym w Uxellodunum obcięto prawe ręce - i puszczono ich wolno. Niech wędrując o żebraczym chlebie po całej Galii ostrzegają wszystkich, że łagodności Cezara nie wolno nadużywać.

Senatowi, później zaś i ludowi w czasie swego wielkiego triumfu w roku 46 przedstawił Cezar dumny rejestr i plon dziewięcioletniej wojny z Galami. Zdobył ponad 800 miast i miasteczek; poddał rzymskiemu panowaniu trzysta ludów i plemion; we wszystkich bitwach łącznie jego legiony starły się z trzema milionami wojowników - Galów, Germanów, mieszkańców Brytanii; spośród nich milion padł w walce, drugi zaś milion dostał się do niewoli.



## RUBIKON

Zimą roku 51 na 50, kiedy pacyfikacja Galii dobiegała końca, zwycięzca z dumą spojrział wstecz, na lata krwawych walk i ryzykownych wypraw w nieznane krainy. Postanowił przekazać potomności własną relację swych wielkich czynów i osiągnięć.

Siedem ksiąg wspomnień, zatytułowanych *Commentarii de bello Gallico*, powstało w czasie bardzo krótkim, kiedy sroga zima galijska uniemożliwiała jakąkolwiek rozrywkę, ostrożność zaś wymagała, by pozostać jeszcze w ujarzmionym kraju. Może właśnie dlatego, iż rzecz pisana była szybko i bezpośrednio, bez silenia się na retoryczne ozdoby i stylistyczne smaki, zrodziła się jako wspaniały pomnik prawdziwie łacińskiej jasności, prostoty wyrazu i precyzji opisu. Uznanie i podziw czytelników zyskały sobie *Commentarii* od razu z chwilą ukazania się; z zachwytem mówił o nich sam Cynceron.

„Gallia est omnis divisa in partes tres” - „Cała Galia dzieli się na trzy części” - od tych słów rozpoczyna się dzieło, które przez dwa tysiące lat było i do dziś jest pierwszą książką, jaką bierze do ręki każdy uczący się łaciny. Ileż to pokoleń poznawało tajniki łacińskiej składni na przykładzie zdań mówiących o pierwszej bitwie Cezara z Helwetami lub o rozpaczliwych wysiłkach Wercyngetoryksa, zmierzających do przerwania rzymskich fortyfikacji pod Alezją! Ileż łez wylano nad zaczerpniętymi z Cezara wzorami „accusativus cum infinitivo”, „gerundium”, „ablativus absolutus”, „consecutio temporum”! A jak niewielu licealistów widziało poprzez suche formułki gramatycznych konstrukcji ich żywą, ludzką treść - krew ginącego ludu, szczęk oręża zwycięskich legionów, płacz i wyrzekania pędzonych w niewolę.

Ale Cezar pisał swoje wspomnienia nie dla gramatyków i ich uczniów, nawet nie dla historyków. Chciał przedstawić dzieje wojen z Galami, ich przyczyny i przebieg, przede wszystkim dla swoich współczesnych, dla opinii publicznej w

samym Rzymie. Tutaj atakowano go za samo wszczęcie działań wojennych. Broniąc się przed tymi zarzutami Cezar czynił pierwsze pociągnięcie, na razie pisarskie, w nieuchronnie zbliżającej się batalii o zachowanie swej pozycji politycznej.

Dwie rzeczy były dla Cezara najistotniejsze: możliwość ubiegania się zaocznie o urząd konsula na rok 48 i przedłużenie namiestnictwa w Galii. Upływało ono z dniem pierwszego marca roku 50. Pozbawiony urzędu i armii Cezar stałby się natychmiast łupem swych licznych wrogów politycznych. Byli wśród nich i tacy, którzy otwarcie zapowiadali pozwanie go przed sąd za sposób prowadzenia spraw jeszcze w czasie konsulatu w roku 59.

Sytuacja była dla Cezara tym groźniejsza, że nie mógł liczyć na pomoc Pompejusza. Jako konsul roku 52 uczynił on, właśnie podczas niepowodzeń Cezara pod Gergowią, pierwszy gest nieprzyjazny. Przeprowadził wówczas dwie ustawy, z których pierwsza zabraniała kontynuowania namiestnictw, druga zaś zaocznego ubiegania się o konsulat. Co prawda Pompejusz wyjaśniał później, że w zasadzie nie dotyczy to Cezara, zadrażnienie jednak pozostało.

Wielki atak na stanowisko i plany Cezara rozpoczął się w roku 51, kiedy konsulem był jeden z przywódców optymatów, Marek Marcellus. Wychodząc z założenia, że wojna z Galami została w zasadzie zakończona, postawił on w senacie wniosek o wyznaczenie już od marca roku przyszłego następcy Cezara, który właśnie wtedy toczył przewlekłe walki z Bellowakami. Jedynie wystąpieniu przekupionych przez siebie trybunów ludowych wódz zawdzięczał, że odpowiednia uchwała senatu nie nabrała mocy prawnej. Marcellus ogłosił również, że nie uznaje założenia przez Cezara kolonii Novum Comum (nad jeziorem Como w Galii Przedalpejskiej) i nie będzie traktował jej mieszkańców jako rzymskich obywateli.

Cezar usiłował teraz wyzyskać swoje bogactwa. W Galii zdobył olbrzymi majątek dzięki łupom wojennym - kosztownościom, daninom, niewolnikom; co prawda po stłumieniu powstań nałożył Galom bardzo umiarkowane daniny i nie wtrącał się w wewnętrzne sprawy plemion, ale postąpił tak dlatego, by nie podsycać antyrzymskich nastrojów i zapewnić sobie bezpieczeństwo na tyłach w obliczu narastającego konfliktu ze stolicą; ta polityka okazała się słuszną, w czasie wojny domowej z Pompejuszem nie powstał przeciw Rzymianom ani jeden lud w Galii. Znaczny udział w łupach zapewnił Cezar swym oficerom i żołnierzom; w wielkim stopniu właśnie temu zawdzięczał później ich całkowite oddanie.

Teraz rzucił zawrotne sumy na akcję polityczną w Rzymie. Przekupywał wprost lub pośrednio nawet najwybitniejszych polityków. W roku 50 konsulami byli Gajusz Marcellus i Lucjusz Emiliusz Paullus. Ten ostatni przebudował właśnie wielką, reprezentacyjną halę na Forum, zwaną Basilica Aemilia. Cezar pożyczył mu na ten cel 9 milionów denarów i zapewnił sobie jego neutralność. Znacznie użyteczniejszy okazał się trybun ludowy Gajusz Skryboniusz Kurion, polityk wielkiej aktywności i pomysłowości. Cezar kupił go spłacając zań wszystkie długi.

Kiedy w dniu 1 marca roku 50 senat rozpoczął przewlekłą i wciąż przerywaną

debatę nad wyznaczeniem następcy Cezara w Galii, Kurion postawił wniosek - teoretycznie najśluszniejszy - by swych prowincji zrzekli się jednocześnie i Cezar, i Pompejusz. Takie postawienie sprawy przeciągnęło debatę i uratowało pozycję Cezara. Bo choć jego namiestnictwo kończyło się z dniem 1 marca, to wobec braku następcy mógł - a nawet był obowiązany - pozostać dalej na urzędzie. Jednocześnie Kurion atakował Pompejusza w świetnych mowach, którym ten nie potrafił się przeciwstawić. Ostatecznie Pompejusz stwierdził, że osobiście nie ma nic przeciwko zatrzymaniu przez Cezara namiestnictwa i armii, ale tylko do października; w żadnym jednak wypadku nie zgodzi się na wybór Cezara na konsula przed złożeniem namiestnictwa; zażądał również zwrotu legionu wypożyczonego przed dwu laty oraz odesłania jednego legionu do Syrii, gdzie spodziewano się najazdu Partów. Oba legiony Cezar wysłał natychmiast, zapewnił sobie jednak ich przychylność, przyznając każdemu z żołnierzy znaczne wynagrodzenie. Uszczupleniu sił zaradził szybko, przeprowadzając na podległych terenach dodatkową rekrutację.

Cały rok 50 spędził Cezar na gorączkowej działalności i podróżach. Latem przebywał w Italii północnej, by śledzić bieg wypadków w Rzymie. Ponieważ Pompejusz późną wiosną ciężko zachorował, Cezar więc mógł wrócić do Galii na jesień, by przeprowadzić lustrację legionów i rozprowadzić je na kwatery zimowe. W Galii pozostało osiem legionów, w Italii północnej stacjonowały tylko dwa. To rozłożenie sił było zresztą najlepszym dowodem, że Cezar w ogóle nie myślał o działaniach zaczepnych i wojnie - wbrew przypuszczeniom i obawom jego wrogów. Ci nawet zatrzymali w Italii owe dwa legiony, które Cezar odesłał na żądanie Pompejusza.

Senat i Pompejusz byli zresztą dobrej myśli. W czasie choroby Pompejusza wszystkie miasta Italii składały specjalne śluby i wszędzie odprawiano uroczyste nabożeństwa i modły na intencję jego wyzdrowienia. Jednocześnie rozchodziły się wieści, że nastroje w armii Cezara są bardzo złe, żołnierze przemęczeni wieloletnimi kampaniami i w razie wojny masowo opuszczą jego szeregi.

Nie mogąc dosięgnąć samego Cezara, optymaci przypuszczali nieustanne ataki na jego głównego agenta w Rzymie, Kuriona, który wykazywał istotnie wielkie uzdolnienia polityczne. Z początkiem grudnia konsul Gajusz Marcellus oświadczył w senacie, że Cezara winno się uznać za wroga Rzeczypospolitej; Kurion postawił wówczas pod głosowanie wniosek, by i Pompejusz, i Cezar złożyli swoje namiestnictwa. Przyjęto go trzystu siedemdziesięciu głosami przeciw dwudziestu dwóm. Marcellus nie uznał tego głosowania i wkrótce przedstawił senatowi - oczywiście fałszywą - wiadomość, że Cezar przekroczył już Alpy na czele dziesięciu legionów. Wraz ze swymi zwolennikami udał się do Pompejusza, który przebywał pod miastem, i uroczyście wręczył mu miecz z prośbą, by podjął się ratowania ojczyzny.

Wieczorem tegoż dnia przybył do Rzymu jeden z wyższych oficerów Cezara Aulus Hirtius - niewątpliwie w celu przeprowadzenia poufnych rokowań z

Pompejuszem. Ale na wiadomość, że Pompejusz otrzymał już nadzwyczajne pełnomocnictwa, komendę nad obu legionami oraz upoważnienie przeprowadzenia dodatkowej rekrutacji, wyjechał rankiem dnia następnego. Pompejusz natomiast udał się do Kampanii, gdzie stały wojska.

Tymczasem Cezar przebywał w Rawennie, mając przy sobie legion trzynasty. Dwa dalsze legiony otrzymały rozkaz marszu z Galii do Italii północnej. W połowę grudnia przybył do Rawenny Kurion, jego bowiem kadencja jako trybuna ludowego już upłynęła. W nowym kolegium trybuńskim ludźmi Cezara byli Kwintus Kasjusz Longinus i Marek Antoniusz.

Kiedy w dniu 1 stycznia konsulowie roku 49 Lucjusz Korneliusz Lentulus i Gajusz Marcellus wchodzili do sali posiedzeń senatu, Kurion, który specjalnie przybył z Rawenny, wręczył im odręczne pismo Cezara. Na skutek żądań Kasjusza konsulowie musieli je od razu publicznie odczytać. Cezar przedstawiał w nim swoje zasługi dla państwa; oświadczał, że złoży urząd, jeśli uczyni to i Pompejusz, w przeciwnym jednak razie zatrzyma go, by nie stać się bezbronną ofiarą wrogów.

W imieniu Pompejusza, który nie miał wstępu do miasta, piastował bowiem urząd wojskowy, złożono natychmiast oświadczenie, że stoi on do dyspozycji Rzeczypospolitej. To oświadczenie dodało senatorom odwagi i choć Marek Marcellus radził, by rzucić wyzwanie Cezarowi dopiero po ukończeniu poboru w Italii, uchwalono, że należy Cezara odwołać z namiestnictwa. Postanowiono, że jeśli nie zrzeknie się prowincji i wojska do określonego terminu, zostanie uznany za wroga Rzeczypospolitej. Antoniusz i Kasjusz założyli weto trybuńskie, ale i konsulowie, i senat poczęli im grozić poważnymi konsekwencjami, jeśli nie wycofają sprzeciwu. Na posiedzeniu w dniu następnym, kiedy teść Cezara Pizon i jeden z pretorów zgłosili, że pojedą do Rawenny i za sześć dni zdadzą relację ze swej próby pośredniczenia, Katon gwałtownie wystąpił przeciw wszelkim rokowaniom: lepiej zginąć, wołał, niż przyjmować warunki od zwykłego obywatela. By zadokumentować, że państwo znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie, uchwalono przywdzianie szat żałobnych.

W dniach trzecim i czwartym stycznia nie było posiedzeń senatu z powodu uroczystości religijnych. Toczyły się tymczasem rozmowy prywatne z przedstawicielami Cezara. Był on gotów do ustępstw: zrzeczenia się namiestnictwa Galii Zaalpejskiej i rozwiązania ośmiu legionów, zatrzymania zaś tylko Galii Przedalpejskiej i dwóch legionów - póki nie zostanie konsulem. Dużą rolę w staraniach o dojście do porozumienia odgrywał Cynceron, który właśnie w dniu czwartym stycznia powrócił do Rzymu z prowincji Cylicji w Azji Mniejszej, gdzie przez rok był namiestnikiem. Przedstawiciele Cezara wyrazili nawet zgodę na pozostawienie mu, do czasu objęcia konsulatu, tylko Ilirii i jednego legionu. Pompejusz skłonny był na to przystać, jednakże fanatycy, Katon i konsul Lentulus, sprzeciwili się zdecydowanie. Pompejusz odrzucił więc i tę propozycję. Równało się to faktycznemu zerwaniu rokowań.

Na posiedzeniu w dniu siódmym stycznia senat formalnie odwołał Cezara z

namiestnictwa, mianując jego następcą w Galii Zaalpejskiej Lucjusza Domicjusza Ahenobarbusa. Uchwalono też, że Cezar musi ubiegać się o konsulat osobiście. Antoniusz i Kasjusz założyli przeciw tej uchwale weto trybuńskie, ale Lentulus przypomniał im los tych trybunów z przeszłości, którzy swój upór przypłacili życiem, i doradził opuścić miasto natychmiast. Uczynili to tejże nocy, razem z Kurionem i Celiuszem. Ten ostatni, przyjaciel Cyncerona, edyl w roku 50, przystał do stronnictwa Cezara niedawno.

Wiadomość dotarła do Rawenny dziewiątego stycznia. Cezar przyjął ją spokojnie. Z zainteresowaniem, jakby to tylko go zajmowało, oglądał igrzyska gladiatorów, wieczorem zaś wydał przyjęcie. Ale tymczasem działania były już w toku. Grupa zaufanych oficerów, ubranych jednak po cywilnemu i uzbrojonych tylko w miecze, wyjechała dla obsadzenia najbliższego miasta, leżącego już za granicą prowincji, w Italii właściwej - Ariminum. Legion otrzymał rozkaz wymarszu nocą, w kierunku na rzeczkę graniczną Rubikon.

Zachowała się u Plutarcha, w jego *Życiorysie Cezara*, relacja o tych dramatycznych chwilach, pochodząca z całą pewnością od kogoś z najbliższego otoczenia Cezara, kto był bezpośrednim świadkiem wydarzeń:

„Gdy zapadał już zmrok, Cezar powstał z miejsca i przeprosił większość zebranych, polecając, by zaczekano na niego, wróci bowiem niebawem. Tylko nielicznym przyjaciółom polecił już przedtem, by poszli za nim, jednakże nie wszyscy jednocześnie i nie tą samą drogą. Sam wsiadł na wynajęty wóz i najpierw jechał jakąś inną drogą, później dopiero zawrócił w stronę Ariminum... Gdy zbliżała się decydująca chwila i poczęła go dręczyć wielkość zamierzeń, zwolnił jazdę. Zatrzymał się wreszcie i w milczeniu długo sam ze sobą ważył argumenty za i przeciw. Przychodziły mu na myśl rozmaite możliwości, spośród których wiele rozpatrywał też z obecnymi tam przyjaciółmi. Był między nimi Azyniusz Pollion. Wywodził, ile nieszczęść może przynieść wszystkim ludziom ta przeprawa przez rzekę, i zastanawiał się, jaka będzie ocena tego czynu u potomnych.

Wreszcie, jak gdyby wyzwalając się z wątpliwości i rzucając w przyszłość, odważnie ruszył ku przejściu, wypowiadając słowa, które stały się tak znane: »kości zostały rzucone...«”

Ἰῶν

CZĘŚĆ TRZECIA

DYKTATOR



Kleopatra





## BRUNDYZJUM

O świcie dnia jedenastego stycznia zajęto Ariminum, nie natrafiając na żaden opór. Tegoż dnia przybyli tu wygnani z Rzymu trybunowie ludu. Cezar wyprowadził ich przed front legionu i wygłosił mowę, rozdierając swe szaty i ze łzami błagając żołnierzy, by stanęli w obronie i jego, i praw trybuńskich. Legioniści odpowiedzieli gromkim okrzykiem gotowości. Po przekroczeniu Rubikonu nie mieli już zresztą wyboru. Z wodzem wiązało ich osiem lat wspólnych walk i niebezpieczeństw; jemu zawdzięczali udział w łupach i podwojenie żołdu; tylko od niego mogli się spodziewać otrzymania ziemi i gospodarstw po ukończeniu służby. Dlatego utrzymanie się Cezara przy władzy było dla żołnierzy tak samo żywotną sprawą, jak i dla niego samego. I wódz, i legioniści walczyli o swoją przyszłość.

Ale Cezar nie chciał wojny i wciąż jeszcze się łudził, że uda się dojść do porozumienia. Przekroczył Rubikon i zajął Ariminum, by unaocznić swym wrogom, że jest zdecydowany na wszystko. Sądził, że wobec tej groźby ustąpią. By przygotować sobie dogodne pozycje do dalszych działań wysłał część kohort dla obsadzenia wybrzeży aż po Ankonę, część zaś do Arretium w Etrurii, ważnego punktu strategicznego na drodze do Rzymu. Ale jednocześnie wyprawił do Rzymu Celiusza dla dalszych rokowań z Cyceronem.

Wiść o zajęciu Ariminum spadła na Rzym jak grom. Nie spodziewano się tutaj, że Cezar zdecyduje się na krok zaczepny przed przybyciem legionów z Galii; tymczasem można by przeprowadzić w Italii zaciągi i zorganizować kilka legionów. Pompejusz otrzymał już odpowiednie upoważnienia i oddano mu do dyspozycji cały skarb państwa i zasoby wszystkich miast Italii. Ale na razie rząd był prawie bezbronny, rozporządzał bowiem tylko trzema legionami, z których dwa, przysłane niedawno przez samego Cezara, były raczej niepewne, jeden zaś został dopiero co sformowany. Co prawda w Hiszpanii stało aż sześć legionów podległych Pompejuszowi, ściągnięcie ich jednak na czas było zupełnie niemożliwe.

Narastało przerażenie. Jeszcze w żywej pamięci wszystkich były rzezie Mariusza i proskrypcje Sulli. Panowało przekonanie, że po zdobyciu Rzymu Cezar postąpi tak samo ze swymi przeciwnikami. Dlatego na posiedzeniu senatu co tchórzliwsi wprost zażądali wszczęcia oficjalnych pertraktacji z Cezarem i ostro krytykowali Pompejusza za nieudolność. Wniosek w sprawie pertraktacji odrzucono, by nie stawiać się od razu w pozycji słabszego, Pompejusz wysłał jednak półprywatnie dwu młodych arystokratów, pośrednio związanych z Cezarem. Ten przyjął ich w Ariminum i poczynił propozycje daleko idących ustępstw, żądając jednak osobistego spotkania z Pompejuszem. W tym samym dniu, siedemnastego stycznia, Pompejusz dał do zrozumienia w senacie, że należy się liczyć z koniecznością ewakuowania Rzymu, a nawet Italii. Ta zapowiedź uczyniła wrażenie nader



przygębające, ale rzeczy zaszły już zbyt daleko, nie było odwrotu. Powzięto uchwałę, że każdy urzędnik, który by pozostał w stolicy w razie jej ewakuacji, uznany zostanie za zdrajcę, tak samo i każde miasto Italii, udzielające Cezarowi pomocy.

Senat i urzędnicy opuścili Rzym w pośpiechu. Dnia dwudziestego trzeciego stycznia obradowano już w Kapui. Pewnym promykiem nadziei stało się przejście na stronę senatu Labienusa, jednego z najzdolniejszych oficerów Cezara, który oddał mu tak wielkie usługi w wojnie z Galami. Powody zerwania były czysto osobiste: Labienus obawiał się, że Cezar podejrzliwie patrzy na olbrzymie bogactwa, jakie zbił w Galii, i jest zawistny o jego sławę wojskową. Były to obawy zupełnie niesłuszne i bezpodstawne, Cezar bowiem nigdy nie był małostkowy. Ponieważ Labienus uciekł w takim pośpiechu, że pozostawił wiele swoich rzeczy, Cezar kazał je wszystkie zebrać i przekazać mu na południe. Nie krył też wcale, że ucieczka najbliższego współpracownika jest dlań ciężkim ciosem osobistym.

Pompejusz łudził się, że Labienus pociągnie za sobą wielu innych oficerów. Może dlatego odpowiedź na propozycje Cezara była mało ustępliwa: wszelkie dalsze pertraktacje uzależniano od opuszczenia przezeń zajętych miejscowości i od rozpuszczenia wojsk. Oczywiście, na to Cezar nie mógł przystać.

Wojska Cezara posuwały się dalej na południe po adriatyckiej stronie półwyspu, prawie nigdzie nie napotykając oporu. Pompejańczycy albo się wycofywali, albo nawet przechodzili na stronę Cezara. Największym sukcesem było opanowanie Korfinium, gdzie Domicjusz Ahenobarbus, jeden z najzacieklejszych wrogów Cezara, zgromadził znaczne siły - 30 kohort; nieudolność dowództwa i wiadomość, że Pompejusz nie udzieli żadnej pomocy, sprawiły, że po kilkunastu dniach oblężenia żołnierze opuścili Domicjusza, choć ten obiecywał uprzednio każdemu z nich po cztery morgi ziemi z własnych majątków. Domicjusz był pewien, że z rąk Cezara czeka go los najgorszy. By tego uniknąć, kazał sobie podać truciznę; służba podsunęła mu w jej miejsce środek nasenny. Tymczasem Cezar puścił wolno i Domicjusza, i wszystkich dostojników pojmanyh w Korfinium. Domicjuszowi pozwolił zabrać nawet kasę wojskową. Oświadczył przy tej sposobności raz jeszcze, że walczy, by przywrócić konstytucyjne prawa trybunów ludowych i uwolnić państwo od rządów kliki.

Siły Cezara miał już znaczne, właśnie bowiem w czasie oblężenia Korfinium przybył drugi legion i dwadzieścia dwie kohorty z Galii Narbońskiej; do armii swojej włączył również i oddziały, które opuściły Domicjusza.

Ale osiem dni, które Cezar stracił pod Korfinium, okazały się dla Pompejusza ratunkiem. Zdążył obsadzić port Brundyzjum i zebrać tam 30 kohort oraz ośmiuset jeźdźców. Rozpoczęto natychmiast transport tych oddziałów za Adriatyk, do portu Dyrrachium na wybrzeżach Epiru, dzisiejszego Durres w Albanii. Mimo wszystkich porażek i konieczności opuszczenia Italii Pompejusz i senat byli całkowicie pewni, że ostateczne zwycięstwo jest tylko kwestią czasu. W ich ręku były najważniejsze prowincje i stacjonujące tam legiony: Hiszpania, Afryka, cały

Wschód. Rozporządzano całą flotą wojenną, co umożliwiło blokadę Italii i dywersję na tyłach armii Cezara. Domicjusz niemal wprost z Korfinium podążył do jednego z portów na etruskim wybrzeżu Italii. Zbierał tam okręty i ludzi, by obsadzić Massalię, dzisiejszą Marsylię. To niezależne wówczas miasto greckie już wcześniej dało do zrozumienia, że w razie konfliktu stanie po stronie senatu. Dlatego też wycofujący się rząd z ufnością patrzył w przyszłość i już z góry układano plany zemsty na Cezarze i jego stronnikach. Projektowano przeprowadzenie proskrypcji na wzór sullańskich oraz konfiskat mienia i podziału majątku zwyciężonych. Te odrażające i zgoła nie ukrywane zamierzenia stały nie tylko w jaskrawej sprzeczności z postępowaniem Cezara, który schwytanych optymatów z reguły puszczał wolno, ale wywoływały też krytykę co rozsądniejszych senatorów, wśród nich i Cyncerona.

Ten przebywał wciąż w swej willi w Formiach i nie miał zamiaru opuszczać Italii, choć Pompejusz nalegał na to usilnie. Ale i przyjaciele Cezara czynili wszystko, by przeciagnąć wielkiego mówcę na swoją stronę. Balbus zapewniał Cyncerona, że Cezar wciąż nie traci nadziei pojednania z Pompejuszem i że już samą neutralność uzna za dowód życzliwości. Przesłał też w załączeniu adresowany do siebie list Cezara, pisany bezpośrednio po opanowaniu Korfinium. Zawierał on naszkicowany w kilku zdaniach program polityki Cezara wobec przeciwników: „Postanowiłem postępować jak najłagodniej i starać się o pojednanie z Pompejuszem. Spróbujmy, czy tym sposobem da się pozyskać przychylność wszystkich, by długo cieszyć się zwycięstwem. Bo inni z winy swego okrucieństwa nie zdołali uniknąć nienawiści i nie utrzymali długo owoców - z wyjątkiem jednego Lucjusza Sulli; jego triumfu wszakże nie będę naśladować. Niechże to będzie nowy sposób zwyciężania, oparty na wybaczeniu i łaskawości”.

Sam Cynceron nie dowierzał tej łaskawości. Obawiał się, że w razie pełnego zwycięstwa Cezar okaże się tyranem nie gorszym od Cynny. Ale musiał przyznać, że fama łagodności otwiera Cezarowi bramy miast i serca prostych ludzi. Z pewnym żalem pisał do jednego ze swych przyjaciół: „Jeśli Cezar istotnie nikogo nie zabije i nic nikomu nie zabierze, będą go najbardziej kochali ci, którzy najbardziej się go obawiali. Często rozmawiają ze mną ludzie z miasteczka, często też wieśniacy. Myślą tylko i jedynie o swych polach, o swoich domkach i grosikach. Patrz, jak zmieniła się sytuacja: lękają się tego, któremu poprzednio ufali, uwielbiają tego, którego się obawiali. Nie mogę bez smutku myśleć, z jakich to wynikło naszych błędów i win”.

Dziewiątego marca Cezar był już pod Brundyzjum. Jego armia, po włączeniu różnych drobnych oddziałów, liczyła już teraz sześć legionów. Pompejusz miał obecnie tylko 10 kohort, reszta była za Adriatykiem; zamknął więc i obwarował miasto, oczekując przybycia okrętów, które by przetransportowały i te oddziały. By to uniemożliwić, Cezar usiłował przeciąć wyjście z portu rzędami obciążonych i dobrze zakotwiczonych tratw. Oblegani utrudniali budowę tej pływającej grobli, wysyłając statki transportowe, na których wznosiły się trzypiętrowe wieże

drewniane, obsadzone przez katapulty, łuczników i procarzy. Walki toczyły się dzień w dzień, jednocześnie zaś Cezar wciąż próbował nawiązać z Pompejuszem pertraktacje pokojowe.

Ale siedemnastego marca powróciła flota z Dyrrachium. Też jeszcze nocy Pompejusz załadował swoje wojska i wypłynął z portu; ulice miasta poprzecinał uprzednio fosami i pułapkami, by utrudnić armii Cezara wejście do miasta. Udało się zatrzymać tylko dwa okręty.

Cezar stał się panem całej Italii.



## ILERDA

**P**ierwszego kwietnia Cezar stanął pod Rzymem. Brak okrętów uniemożliwił udanie się od razu w pościg za Pompejuszem. Zmienił więc plan zupełnie. Postanowił, nim zostaną przygotowane okręty konieczne do przeprawy, rozprawić się z armią Pompejusza w Hiszpanii, by zabezpieczyć sobie tyły w czasie przyszłej wyprawy na Wschód.

Minęło już dziewięć lat od chwili opuszczenia przez Cezara murów stolicy. Ale po tylu latach nieobecności nie mógł przekroczyć bram Rzymu, sprawował bowiem władzę wojskową. A Cezar, walcząc z Pompejuszem, konsulami i senatem, głosił oficjalnie, że broni republiki i zasad ustroju, przestrzegał więc jak najskrupulatniej przepisów i tradycyjnych zwyczajów. Mając zresztą u boku wierną armię, w samym zaś mieście kilku usłużnych i oddanych urzędników - w szczególności pretora Lucjusza Roscjusza i trybunów ludowych, Marka Antoniusza i Kwintusa Kasjusza - mógł swobodnie narzucać swoją wolę przy zachowaniu wszelkich pozorów praworządności i form republikańskich. Jeszcze w czasie oblężenia Brundyzjum Roscjusz przeprowadził na jego polecenie ustawę nadającą obywatelstwo rzymskie wszystkim mieszkającym na północ od Padu. Tak zrealizował Cezar swój plan sprzed lat dwudziestu, kiedy to omal nie wywołał powstania Transpadańczyków. Teraz sytuacja się zmieniła. To potężny Cezar spłacał dług wdzięczności wiernej prowincji, która przez wiele lat zasilala swoją młodzieżą jego legiony.

Mimo pogróżek i nawoływań Pompejusza w Rzymie zostało wielu senatorów, którym z różnych względów nie udało się wyjechać z miasta. Nie było wśród nich Cyclerona, choć Cezar w drodze do Rzymu rozmawiał z nim w Formiach i usilnie prosił o powrót do stolicy. Zwołane przez trybunów ludowych posiedzenie senatu odbyło się za granicami miasta, by Cezar mógł w nim wziąć udział osobiście. Zebrany przedstawił on przyczyny ostatnich wydarzeń i wojny domowej, wykazując, jak był ustępliwy i zawsze gotów do zgody, w jak zaś krzywdzący sposób z nim postępowano; zaznaczył, że i teraz dąży do pojednania, prosi więc, by senat wysłał do Pompejusza delegację dla przeprowadzenia odpowiednich rozmów. Zebrani aprobowali propozycję, ale nie znalazł się nikt na tyle odważny, by podjąć

się misji. Wszyscy mieli w pamięci słowa Pompejusza, że będzie traktował jak wroga każdego, kto zostanie w mieście.

Całe dni schodziły na pustych przemowach i bezowocnych próbach znalezienia kandydata. Już ten bierny opór senatu rozjątrzył Cezara. Ale do ostrego starcia doszło dopiero w sprawie skarbcza państwa. Złożony on był w świątyni Saturna, na Forum. Uciekający rząd nie zdołał go zabrać, co stanowiło zresztą jaskrawy przykład zupełnej niezaradności i braku organizacji. Kiedy na rozkaz Cezara miano otworzyć świątynię, trybun ludowy Metellus założył weto. Tej próby „łagodność Cezara” już nie zniosła. Zagroził trybunowi śmiercią i rozkazał kowalom wyłamać zamki. W skarbcu znaleziono 30.000 szeptów srebra, 15.000 szeptów złota, 30 milionów sztuk wybitej już monety. Cała sprawa wywołała duże wzburzenie ludności, dlatego też Cezar zarzucił myśl zwołania wiecu dla wygłoszenia wielkiej mowy politycznej i siódmego kwietnia opuścił Rzym. Prefektem miasta mianował Marka Emiliusza Lepidusa, syna konsula z roku 78, zarząd zaś Italii oddał Markowi Antoniuszowi. Sam podążył do Hiszpanii.

Siły podległe Pompejuszowi wynosiły tutaj aż siedem legionów. Na ich czele stało trzech dowódców: Petrejusz, Afraniusz, Terencjusz Warron. Dwaj pierwsi połączyli swoje legiony koło miejscowości Ilerda, dziś Lerida, na zachodnim brzegu rzeki Segre. Tędy właśnie, doliną Segre wypływającej z Pirenejów i wpadającej do Ebro, wiodła droga, którą musiał przejść Cezar. Petrejusz i Afraniusz mieli też znaczne oddziały wojsk posiłkowych, wystawione przez szczepy Iberów. Łącznie pod ich rozkazami stało około 40.000 ludzi. Warron pozostał z dwoma legionami w Hiszpanii Dalszej, więc w tej prowincji, której namiestnikiem przed dwunastu laty był Cezar.

Ale na drodze do Hiszpanii stanęła Cezarowi poważna przeszkoda. Kiedy zjawił się pod murami Massalii, dzisiejszej Marsylii, mieszkańcy tego możnego miasta, panującego nad ważnymi drogami z Italii do Hiszpanii i z Morza Śródziemnego w głąb Galii, zamknęli przed nim bramy, wpuszczając jednocześnie do portu flotę Domicjusza. Nie można było zostawiać za sobą tego ogniska oporu, Cezar przystąpił więc natychmiast do prac oblężniczych. Ściągnął w tym celu trzy legiony z Italii Północnej, w Arelate zaś (dziś Arles) rozkazał budować spiesźnie dwanaście okrętów wojennych. Natomiast Fabiusz, który zimował z trzema legionami koło Narbo, otrzymał rozkaz marszu do Hiszpanii.

Właściwe oblężenie rozpoczęło się dopiero w maju. Okazało się od razu, że niełatwo będzie pokonać dobrze bronione miasto. By nie tracić tu czasu, Cezar zdał dowództwo nad oblężeniem od strony lądu Treboniuszowi, Decymusa Brutusa postawił na czele małej floty, sam zaś ruszył do Hiszpanii mając ze sobą tylko dziewięciuset jeźdźców.

Fabiusz był już pod Ilerdą. Obóz rozbił na północ od Afraniusza, na tym samym brzegu rzeki Segre. Jego trzy legiony zostały wzmocnione przez trzy dalsze, ściągnięte z Galii północnej. W przeddzień przybycia Cezara doszło do pierwszej poważnej potyczki.

Cezar natychmiast przystąpił do działań. W ciągu trzech dni udało mu się zbudować nowy obóz, położony bliżej Ilerdy, naprzeciw obozu Afraniusza. Nie powiodła się natomiast próba opanowania małego wzgórka między obozem Afraniusza a Ilerdą, co umożliwiłoby odcięcie pompejańczyków od miasta i od kamiennego mostu na rzece. Po pięciogodzinnej bitwie na wzgórku utrzymały się kohorty Afraniusza i jeszcze umocniły swe pozycje; były zaś chwile w czasie walki, że panika zdawała się ogarniać wszystkie legiony Cezara. Dwa dni później rzeka gwałtownie wezbrała skutkiem burzy i zerwała oba mosty drewniane, które uprzednio zbudował Fabiusz z brzegu wschodniego. Spowodowało to ogromne trudności w zaopatrzeniu armii Cezara, podczas gdy legiony Afraniusza i Petrejusza miały wielkie zapasy w mieście i łatwą komunikację przez most kamienny.

Radosne, triumfalne wieści popłynęły z obozu obu wodzów Pompejusza do ich przyjaciół w Rzymie. Wydawało się, że wojnę już wygrano, że poddanie się wygłodzonej armii Cezara jest tylko kwestią dni. Wielu z tych, którzy pozostali w Italii, spieszyło teraz za Adriatyk, by zadokumentować swoją wierność sprawie Pompejusza i senatu oraz zwiastować radosną nowinę o klęsce Cezara. Cynceron wyjechał na Wschód już wcześniej, mimo wszelkich próśb Cezara i jego stronników.

Lecz radość była przedwczesna, niełatwo było pokonać zwycięzcę Galów. Jeszcze w Brytanii jego uwagę zwróciły lekkie łodzie, budowane częściowo z prętów i objane skórami, używane tam do żeglugi po rzekach. Poleciał obecnie zbudować podobne i w nocy przewieźć je łądem, na połączonych wozach, 30 km w górę rzeki. Eskortujący żołnierze przeprawili się nimi na drugi brzeg i od razu umocnili wznoszące się tam wzgórze. Pracując jednocześnie z obu stron, przerzucano most przez rzekę w ciągu jednego dnia. W ten sposób otwarto znowu drogę dla transportów żywności. Udało się też zaskoczyć wiele oddziałów przeciwnika, które bez należytych ubezpieczeń zbierały paszę i zboże na wschód od rzeki. Teraz sytuacja zmieniła się: to armia Afraniusza stanęła wobec trudności aprowizacyjnych. Wobec zachwiania się przewagi Afraniusza miejscowe szczepy iberyjskie poczęły przechodzić na stronę Cezara.

By uniknąć konieczności posyłania jazdy na drugi brzeg mostem oddalonym o 30 km, Cezar przystąpił do budowy kanałów, mających odprowadzić wody z koryta rzeki i w ten sposób umożliwić przeprawę oddziałów brodem w pobliżu obozu. Widząc szybki postęp tych gigantycznych prac, wodzowie Pompejusza postanowili wycofać się z Ilerdy i dalsze działania prowadzić na południe od rzeki Ebro. Wydali rozkaz zbudowania pontonowego mostu na Ebro pod Oktogesą, zwaną dziś Ribarroja. Gdy nadeszła wiadomość, że most już gotów, cała armia opuściła obóz pod Ilerdą, pozostawiając w samym mieście tylko dwie kohorty, przeszła rzekę po kamiennym moście i rozpoczęła marsz na południe, w kierunku Oktogesy. Tymczasem kanały nie były jeszcze całkowicie gotowe, Cezar mógł więc przerzucić przez rzekę tylko jazdę, która szarpała wprawdzie tylną straż wroga, nie

zdołała jednak powstrzymać jego pochodu. Te walki jazdy widziano z położonego na wzgórzu obozu Cezara jak na dłoni. Żołnierze poczęli usilnie nalegać, by pozwolono im mimo wszystko przeprawić się przez rzekę i przyjść swoim z pomocą. Ostatecznie Cezar ustąpił.

W obozie pozostawiono tylko jeden legion i ludzi słabszych z tych kohort pięciu legionów, które miały przejść rwącą rzekę. Dla osłabienia jej prądu ustawiono po stronie lewej jeden rząd koni, drugi zaś po prawej, by ewentualnie ratować porwanych przez wodę. Przeprawili się wszyscy co do jednego. Natychmiast wyruszono w drogę i już koło godziny drugiej po południu doścignięto armię Afraniusza. Popęłnił on wówczas błąd zasadniczy, rozbił bowiem obóz na miejscu. Tymczasem należało jeszcze posunąć się kilka kilometrów dalej na południe, gdzie rozpoczynały się góry. Można było nawet małymi siłami obsadzić i bronić przejścia przez nie, gdy tymczasem główne siły kontynuowałyby bezpiecznie marsz ku Ebro.

Pompejańczycy próbowali naprawić swój błąd i cicho podejść nocą ku górą. Ale rzecz się wydała i w obozie Cezara wszczęto też przygotowania do wymarszu, umyślnie z wielkim rumorem. Obawiając się bitwy nocą, Afraniusz zawrócił. Zwołał naradę oficerów, gdzie zdecydowano, że należy wyruszyć o świcie.

Ale o pierwszym brzasku ujrano legiony Cezara opuszczające obóz i jakby zmierzające z powrotem ku Ilerdzie. Zapanowała radość. Poczęto szydzić z przeciwnika, sądzono bowiem, że to lekkomyślne wyruszenie w pościg bez zaopatrzenia się w prowiant zmusza go teraz, by zawrócić do baz. Lecz radość rychło zmieniła się w przerażenie, kiedy zorientowano się, że armia Cezara zatacza wielkie koło i przedzierając się z trudem przez urwiska i stromizny zmierza ku górą, by przeciąć drogę do Oktogesy. W pośpiechu i zamieszaniu legiony Afraniusza ruszyły z obozu niemal biegiem, by uprzedzić Cezara i jeszcze przed nim obsadzić górskie przejścia. Miały drogę łatwiejszą, równinną, ale jazda Cezara przeszkadzała im w pochodzie. Gdy wreszcie zbliżyły się do gór, ujrzały tam stojące w gotowości do walki oddziały przeciwnika. Droga nad Ebro była zamknięta.

Afraniusz uczynił jeszcze rozpaczliwą próbę opanowania wysokiej, stromej góry, wznoszącej się od strony zachodniej. Ale wysłane dla jej opanowania cztery kohorty lekkozbrojnych Iberów zostały wyparte i w pień wysieczone przez jazdę Cezara.

Cała armia Cezara, prości żołnierze, oficerowie i trybunowie nalegali usilnie, by natychmiast stoczyć bitwę. On jednak odmówił wydania rozkazu. Był zdania, że w tej sytuacji Afraniusz podda się wcześniej lub później, bitwa więc nie jest konieczna; oszczędzi się wiele istnień ludzkich, Rzymian walczących po jednej i drugiej stronie. Jednakże dla większości podkomendnych Cezara było nie do pojęcia, jak można wypuszczać z ręki tak świetną sposobność zupełnego rozgromienia przeciwnika. Wielu żołnierzy oświadczało wprost i otwarcie, że jeśli wódz teraz nie decyduje się na bitwę, oni nie staną do walki, gdy tego później zażąda.

Legiony Afraniusza wróciły do obozu, Cezar zaś rozbił swój możliwie blisko.

Kiedy dwaj legaci Pompejusza oddalili się nieco dla nadzorowania zaopatrzenia w wodę, między żołnierzami obu obozów rozpoczęły się rozmowy. Byli tam przecież ludzie sobie znajomi, często pochodzący z jednego miasta, czasem i spokrewnieni. Legioniści Afraniusza wypytywali, jaki też jest ów Cezar, jak obszedłby się z nimi w razie poddania się, dlaczego nie zaatakował ich przed kilku godzinami. Gdy usłyszeli, że zapewnia życie i całość nie tylko im samym, lecz również obu wodzom, wyrazili gotowość natychmiastowego przejścia na stronę Cezara. Oficerowie omawiali już szczegółowe warunki zawarcia rozejmu, prości zaś żołnierze składali sobie wzajem odwiedziny w namiotach. Na wiadomość o tym Afraniusz zamknął się w swojej kwaterze, Petrejusz natomiast ruszył na obchód obozu ze swoją strażą przyboczną, złożoną prawie wyłącznie z Iberów. Przerwał wszystkie rozmowy ze stroną przeciwną, kazał nawet zabić na miejscu schwytanych żołnierzy Cezara. Wszystkie legiony musiały stanąć do apelu i każdy żołnierz z osobna złożył uroczystą przysięgę, że nigdy nie opuści i nie zdradzi sprawy Pompejusza.

Mając ograniczone zapasy żywności, Afraniusz i Petrejusz musieli zawrócić do Ilerdy. Marsz był trudny i powolny, albowiem jazda Cezara bez przerwy szarpała straż tylną. Nie pomagały żadne wybiegi i próby oderwania się. Ostatecznie obóz rozbito w miejscu niedogodnym i oddalonym od wody. Pompejańczycy podjęli teraz myśl szaleńczą: budować bez przerwy i po kolei obóz za obozem, by w ten sposób uchronić się przed atakami jazdy, a zbliżyć do Ilerdy. Nie mogąc swobodnie wypasać koni, zmuszeni byli wszystkie zabić.

Po dwu dniach prac, prowadzonych bez przerwy, zdecydowali się na stoczenie bitwy i wyprowadzili legiony z obozu. Wówczas i Cezar uszykował swoje do walki. Prawie cały dzień obie armie stały naprzeciw siebie i żadna nie zdecydowała się na rozpoczęcie starcia.

Wreszcie Afraniusz i Petrejusz poprosili o rozmowę. Odbyla się na oczach obu wojsk. Afraniusz przyznał, że został pokonany, prosił o litość i darowanie życia. W surowych słowach napiętnował Cezar upór i wrogość obu wodzów, lecz postawił tylko jeden warunek: by opuścili prowincję i rozwiązali swe legiony. Uzgodniono, że żołnierze pochodzący z Hiszpanii mogą odejść od razu, rodem zaś z Italii dopiero nad rzeką Var, ówczesną granicą Galii Zaalpejskiej i Italii. Aż do tej rzeki zaopatrywani mieli być w żywność przez Cezara i eskortowani przez cztery jego legiony.



## PRZEPRAWA PRZEZ ADRIATYK

**D**o stolicy powrócił Cezar dopiero z początkiem grudnia roku 49. Miesiące sierpień i wrzesień wypełniło przejmowanie, zresztą bez żadnych walk, prowincji Hiszpanii Dalszej. W październiku zatrzymał się w Marsylii. Miasto zdobyli dwaj jego legaci mimo bohaterskiej obrony, Domicjusz zdołał jednak ujść w ostatniej

chwili. Wygłodzonej i spustoszonej zarazą Marsylii podyktował Cezar surowe warunki: pozostawił jej wprawdzie autonomię, odebrał jednak znaczne obszary ziemi, wprowadził też dwa legiony jako garnizon.

Właśnie w czasie pobytu w Marsylii dotarły do Cezara wiadomości wielkiej wagi. Pierwsza z nich przybyła z Rzymu. Lepidus przeprowadził tam mianowanie Cezara dyktatorem, dzięki czemu uzyskał on wreszcie prawną podstawę swych rządów.

Natomiast druga wiadomość mówiła o całkowitej klęsce armii wysłanej do Afryki. Na jej czele stał Gajusz Kurion. Jeszcze w kwietniu opanował on Sycylię, z której musiał spiesznie uchodzić Katon, sprawujący tam komendę z ramienia Pompejusza. W sierpniu Kurion przeprawił się do Afryki, na wybrzeża dzisiejszego Tunisu. Początkowo odniósł tu pewne sukcesy w walce z legatem Pompejusza, Warusem. Ale na pomoc Warusowi pospieszył król sąsiedniej Numidii, Juba. Kurion dał się wciągnąć w bitwę z nim w niedogodnym miejscu; przypłacił to życiem - on i prawie wszyscy żołnierze jego dwu legionów.

W drodze do Rzymu Cezar musiał jeszcze uśmierzyć rozruchy własnych legionów w Placencji. Próbowi rebelii przewodził tam legion jedenasty. Żołnierze uskarżali się na nadmiar trudów, na niewypłacenie nagród, na przedłużanie się wojny. Ale istotnym powodem ich niezadowolenia był surowy zakaz dopuszczania się rabunków na szkodę ludności cywilnej, na co od początku działań cieszyły się serca żołnierskie. Cezar postanowił w ogóle rozwiązać legion i napiętnować jego zdradę. Ustąpił dopiero na prośby oficerów błagających go na kolanach o cofnięcie hańbiącego rozkazu. Ostatecznie ukarano śmiercią tylko dwunastu najbardziej winnych.

W Rzymie pozostał Cezar 11 dni - tyle tylko, ile trzeba było dla załatwienia spraw najpilniejszych. Przeprowadzono wybory konsulów na rok 48; wybrany został sam Cezar i Publiusz Serwiliusz, syn tego Serwiliusza, pod którego rozkazami służył przed laty w Cylicji. Wyznaczono też urzędników na rok przyszły i wydano ustawy mające na celu unormowanie sytuacji kredytowej, mocno zagrożonej skutkiem trwającej wojny.

W Brundyzjum czekało już siedem legionów na przeprawę za Adriatyk. Ich stan liczebny, niższy od normalnego, wynosił przeciętnie nie więcej niż po 3000 ludzi, żołnierze byli przemęczeni ciągłym przerzucaniem do odległych krain, wielu źle znosiło klimat południa; ale największą trudność stanowiła sama przeprawa przez morze. Brakowało okrętów - starczyć ich mogło na przetrzucenie tylko piętnastu tysięcy legionistów i sześciuset jeźdźców. A tymczasem doniesienia ze Wschodu brzmiały coraz groźniej. Pompejusz nie marnował czasu; z godną podziwu energią i rzutkością zajął się koncentracją armii i organizowaniem zaplecza materialowego i finansowego dla przyszłych działań. Opuszczał Italię mając tylko pięć legionów. Obecnie miał ich już dziewięć. Powołano pod broń Rzymian przebywających na Wschodzie; zażądano posiłków i pieniędzy od wszystkich miast, księstw i królestw sprzymierzonych z Rzymem; zgromadzono ponad pięćset okrętów wojennych i



znacznie więcej transportowych. Pompejusz osobiście nadzorował formowanie nowych jednostek i szkolenie rekrutów, zdając sobie sprawę z najsłabszego punktu swoich przygotowań: większość legionów nie brała nigdy udziału w bitwach, obce zaś oddziały mogły imponować tylko swoją liczebnością oraz egzotycznością uzbrojenia.

Dawny współkonsul i wróg Cezara, Marek Bibulus, dowodził pięciu eskadrami floty, patrolującej Adriatyk. Burzliwe morze i zmienne w miesiącach zimowych wiatry zdawały się być zresztą najlepszym zabezpieczeniem. Wiedzano też dobrze, że Cezar ma bardzo mało okrętów transportowych, wojenne zaś są mu potrzebne dla osłony Sycylii i zachodnich wybrzeży Italii.

Cezar był pewien, że tak właśnie rozumuje przeciwnik - i dlatego postanowił przeprowadzić armię natychmiast. By wziąć od razu siedem legionów, trzeba było zostawić wszystkie osobiste bagaże żołnierzy. Po zaokrętowaniu czekali jeszcze trzy dni, by wiatr zmienił kierunek. Wyłynięto z portu dopiero wieczorem czwartego stycznia roku 48. Flotę eskortowało tylko 12 okrętów wojennych. Atak choćby jednej eskadry Bibulusa przyniósłby zagładę całej armii.

Ale Bibulus, który miał przy wyspie Korcyrze 110 okrętów wojennych, był przekonany, że Cezar nie odważy się na przeprowadę. Pozwolił więc znacznej części załogi zejść na ląd. Gdy doniesiono o pojawieniu się nieprzyjaciela, było za późno.

Następnego dnia flota desantowa przybiła do otwartej, piaszczystej plaży u stóp nadbrzeżnego pasma gór Akrokeraunion, w dzisiejszej południowej Albanii. Rozpoczął się nowy okres wojny domowej.



## DYRRACHIUM I FARSALOS

Sześć miesięcy, od stycznia do lipca roku 48, trwały operacje obu armii u wybrzeży koło Dyrrachium. Pompejusz unikał bitwy, starał się wyniszczyć siły Cezara odcinając go od wszystkich źródeł zaopatrzenia, przez pewien czas nawet od połączeń z Italią. Nie pomagały żadne manewry i najprzemysłniejsze posunięcia. By zmusić przeciwnika do walki, Cezar usiłował zamknąć go potężnym łańcuchem fortyfikacji. Żołnierze wykonali gigantyczne prace - fosy, wały, palisady, małe forty - na długości prawie dwudziestu pięciu kilometrów. Ale w dniu szóstym lipca Pompejusz dowiódł, że jego sława wielkiego wodza była zasłużona. Dwukrotnie w tym dniu rozbił i zmusił do wycofania się oddziały Cezara na różnych odcinkach. Zginęło wtedy dziewięćset czterdziestu żołnierzy i trzydziestu dwu oficerów Cezara, 32 znaki legionowe dostały się w ręce wroga. Labienus uprosił Pompejusza, by wydał mu pojmanych w tej bitwie jeńców. Wyprowadził ich przed front armii, ze zjadliwym szyderstwem nazwał towarzyszymi broni - walczyli przecież pod jego rozkazami w Galii - i zapytał, czy godzi się to, by starzy żołnierze poddawali się jak tchórze; następnie kazał wszystkich ściąć na oczach całej armii.

Pompejańczycy byli już zupełnie pewni ostatecznego zwycięstwa. Ale Cezar mógł przypomnieć swym żołnierzom, że przeżyli nieraz ciężkie chwile i nawet porażki, jak pod Gergowią, po których przysły wielkie i decydujące zwycięstwa. Starzy legioniści nie załamywali się łatwo. Pałali żądzą walki i zmycia hańby kłęski, gotowi byli stoczyć bitwę choćby od razu. Mimo rad wielu oficerów Cezar odrzucił tę myśl. Postanowił zmienić w ogóle teren i taktykę dalszych działań. Przerwał oblężenie, wycofał wszystkie oddziały i zawrócił w kierunku na wschód. Dzięki zręcznym manewrom i szybkości marszu przez góry i bezdroża Epiru zdołał oderwać się od pościgu Pompejusza. Celem całej operacji było rozprawienie się w Tesalii z armią Metellusa Scypiona, która miała wzmocnić siły Pompejusza. Wobec zagrożenia legionów Scypiona musiał i Pompejusz spieszyć do Tesalii.

Cezar rychlej wkroczył na żyzne, szerokie równiny tej krainy. Gomfi, pierwsze miasto, jakie napotkał tu na swej drodze, zamknęło przed nim bramy, zostało jednak zdobyte szturmem po kilku godzinach. By wynagrodzić żołnierzom trudy i głodowe dni marszu przez góry, dał im Cezar wolną rękę w zdobytym mieście. Toteż doszczętnie je splądrowano, wielu mieszkańców wymordowano. Ale już następne miasto, Metropolis, poddało się bez walki. Cezar zabronił tu jakichkolwiek rabunków. Skutek był taki, że wszystkie miasta Tesalii, prócz Laryssy, przeszły na jego stronę.

Pierwszego sierpnia Cezar rozbił obóz na wzgórzu nad brzegiem rzeki Enipeus pod Farsalos. W kilka dni później nieco na zachód od jego pozycji, u stóp góry zwanej dziś Dogandzis, stanęły połączone legiony Pompejusza i Scypiona. Dzień w dzień legiony Cezara wychodziły z obozu i stawały w szyku bojowym, okazując przeciwnikowi gotowość walki. Ale Pompejusz nie spieszył się. Wprawdzie i jego oddziały wychodziły z obozu, ale stawały u samych stóp góry, co z góry wykluczało możliwość ataku na nie. Natomiast w starciach konnicy zawsze górą była jazda Cezara, choć mniej liczna, współdziałali bowiem z nią lekkozbrojni. Ten sposób walki Cezar przejął od Germanów. Po raz pierwszy zetknął się z nim przed dziesięciu laty, w bitwie z Ariowistem u stóp Wogezów.

Wreszcie Cezar zdecydował się rozbić obóz w innym miejscu. Dla jego żołnierzy, wprawionych do marszów i prac fortyfikacyjnych, ciągłe przenoszenie się nie było zbyt uciążliwe, ułatwiało zaś aprowizację. Natomiast rekruci Pompejusza z pewnością źle by odczuli to przierzucanie z miejsca na miejsce.

Był dzień dziewiąty sierpnia. Zwinięto namioty, dano sygnał wymarszu, pierwsze oddziały kolumny marszowej wychodziły z bramy. Ale w tym momencie straż zameldowała, że legiony Pompejusza wystąpiły dalej niż zwykle ze swego obozu i ustawiły się już na równinie. Oznaczało to, że są gotowe do stoczenia bitwy. Cezar dał natychmiast rozkaz powrotu i zajęcia stanowisk bojowych.

Zmiana planów Pompejusza nastąpiła głównie skutkiem nalegań jego otoczenia. Senatorowie i dostojnicy, niewiele się rozumiejący na sprawach wojskowych, uznali, że po sukcesie w Dyrrachium wojna jest już wygrana. Spieszno im było do Rzymu, do majątków, urzędów, wielkich interesów. Już toczyły się gwałtowne

spory o to, kto zostanie najwyższym kapłanem po Cezarze; kandydatami byli Scypion, Lentulus i Domicjusz, który szczęśliwie uciekł z Marsylii. Już myślano o sądach i karach dla tych, co ośmielili się zostać w Rzymie. Jak krótko określił to później Cezar: rozważano, nie jak zwyciężyć, lecz jak wyzyskać zwycięstwo.

Na naradzie wojennej w przeddzień bitwy Pompejusz wyjawiał plan, który miał przynieść szybkie i decydujące rozstrzygnięcie: jazda zaatakuje prawe, odkryte skrzydło wojsk Cezara - lewe było osłonięte przez rzeczkę Enipeus, co wywoła takie zamieszanie na tyłach szyku przeciwnika, że pójdzie on w rozsypkę, nim własni legionści wyrzucą swoje pila.

Pierwszy po Pompejuszu zabrał głos Labienus. Wychwalał plan wodza, zapewniał, że wśród żołnierzy Cezara niewielu już jest weteranów z wojen w Galii, złożył wreszcie przysięgę, że jutro wróci do obozu tylko jako zwycięzca. Za jego przykładem taką samą przysięgę powtórzył Pompejusz i wszyscy obecni.

Osiem legionów Cezara, 22.000 ludzi, miało przeciw sobie 110 kohort - więc formacyjnie odpowiednik jedenastu legionów - w pełnym składzie, czyli 45.000 żołnierzy. Liczebnie pompejańczycy mieli przynajmniej dwukrotną przewagę. Zgodnie z planem Pompejusza cała jego jazda wraz z lekkozbrojnymi znalazła się na lewym skrzydle. Zwróciło to od razu uwagę Cezara, wydzielił więc po jednej kohorcie z każdego legionu i ustawił je w skośnej linii czwartej bezpośrednio za swym skrzydłem prawym. Legionści, jak zwykle, uszykowani byli w trzech liniach; linii trzeciej Cezar zabronił przystępować do walki bez swego rozkazu.

Słońce wschodziło coraz wyżej, dzień stawał się nieznośnie gorący. Cezar objeżdżał swoje szeregi i w krótkich, prostych słowach zachęcał żołnierzy do walki. Przypominał, że wielokrotnie zabiegał o porozumienie i czynił, wszystko, by uniknąć rozlewu bratniej krwi; teraz nadeszła chwila rozstrzygająca.

Dał znak trębaczowi i zabrzmiał przeciągły sygnał: bitwa rozpoczęta.

Pierwszy ruszył do walki Gajusz Krastinus, stary oficer dziesiątego legionu, służący teraz jako ochotnik. Krzyknął głośno w stronę Cezara: „Wodzu, dziś podziękujesz mi żywemu lub zmarłemu!” i rzucił się biegiem wraz ze stu dwudziestu weteranami ku szeregom wroga. Ale te stały nieporuszone: Pompejusz rozkazał oczekiwać na atak przeciwnika w miejscu i nie wybiegać ani krokiem w przód. Sądził, że żołnierze Cezara zmęczą się biegiem i w ruchu załamą się ich szeregi. Ale doświadczeni legionści, mający już niejedną bitwę za sobą, wiedzieli dobrze, co czynić w takiej sytuacji. Zatrzymali się w połowie drogi, nabrali oddechu i dopiero po chwili ruszyli do ataku.

Obie strony wyrzuciły pila i na całej linii frontowej szła już walka na miecze - legionista ścierał się wręcz z legionistą, Rzymianin godził w serce Rzymianina. Siły i uzbrojenie były równe, z obu stron padało wielu zabitych - wśród nich Krastinus, śmiertelnie raniony w głowę.

Tymczasem jazda Pompejusza ruszyła do boju. Był to wielki, siedmiotysięczny oddział, wzmocniony jeszcze przez łuczników. Dowodził sam Labienus. Zgodnie z planem uderzono na prawo skrzydło sił Cezara, wypierając z łatwością jego

liczebnie słabszą konnicę. Wszystko zdawało się układać zgodnie z przewidywaniem. Szybko zyskiwano na terenie, prawie bez przeszkody szwadron rozwijał się za szwadronem, zaczęto już zachodzić od tyłu legion dziesiąty. Ale w tym właśnie momencie Cezar dał rozkaz ośmiu kohortom stojącym jako rezerwa w skośnej linii czwartej. Te rzuciły się biegiem i z całym impetem runęły na jazdę, która nawet nie próbowała powstrzymać ataku. Od razu zawróciła do tyłu, odsłaniając łuczników i procarzy. Byli oni zupełnie bezbronni w walce wręcz i pokotem zaścielili pole bitwy. Zwycięskie kohorty niepowstrzymanie parły do przodu i jak pocisk z katapulty uderzyły na lewe skrzydło Pompejusza.

Plan, który miał przynieść wielkiemu wodzowi prawie bezkrwawe zwycięstwo, stał się przyczyną jego całkowitej klęski. Z chwilą gdy osiem kohort zepchnęło do tyłu lewe skrzydło przeciwnika, Cezar rzucił do walki całą trzecią linię, dotąd stojącą w rezerwie. Front legionów Pompejusza załamał się od razu, bezładna masa rzuciła się do ucieczki. Jako jeden z pierwszych zawrócił do obozu sam Pompejusz.

Było już południe i z nieba lał się żywy żar. Zmęczenie i upał obezwładniały żołnierzy, wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że nie wolno wypuszczać z ręki wielkiego daru fortuny, nie wolno pozwolić wrogom ani na chwilę odpoczynku. Przypuszczono szturm na sam obóz, łamiąc opór kohort wartowniczych i pomocniczych oddziałów trackich. Pokonani uciekali w panice, prawie wszyscy w stronę gór przylegających do obozu. Jazda pod wodzą Marka Antoniusza ścigała ich pewien czas, czyniąc straszliwą rzeź. Zginął wówczas zacięty wróg Cezara Lucjusz Domicjusz. Sam Pompejusz był jeszcze w swym namiocie, kiedy żołnierze Cezara już wdzierali się do obozu. W ostatnim momencie zdołał dosiąść konia. Zrzucił wszystkie insygnia wodzowskie i z czterema tylko towarzyszami popędził w stronę Laryssy.

Ze zdumieniem i podziwem patrzyli legionieści Cezara na pełen olbrzymich bogactw obóz, którego oni stali się teraz panami. Namioty wielkich panów przybrane były bluszczem; wielu dla chłodu kazało sobie zbudować lekkie altanki i obłożyć ławy świeżą darnią; gdzieniegdzie widziano też stoły zastawione wspaniałymi naczyniami ze srebra. Ale Cezar zażądał od swoich żołnierzy, by wstrzymali się na razie od łupienia obozu i uderzyli na resztę wrogów, okupujących górę. Ledwie zabrano się do prac nad zamknięciem tej góry umocnieniami, pompejańczycy poczęli przechodzić na sąsiednie pasma wzgórz, kierując się ku Laryssie. Równolegle do nich szedł równiną Cezar z czterema legionami. Pod sam wieczór oddziały rozbitej armii usadowiły się na górze, u której stóp przepływał potok. Kiedy legionieści Cezara przystąpili do odwracania biegu potoku, by pozbawić uciekających wody, ci zdecydowali się kapitulować.

O pierwszym brzasku nędzne resztki wspaniałej jeszcze dzień temu armii zeszyły z góry; żołnierze rzucali broń i z płaczem padali na ziemię, prosząc o życie. Cezar wygłosił do nich krótką przemowę: przypomniał, że do pokonanych zwykł odnosić się łagodnie, zapewnił im życie i całość osobistego mienia.

Na polach pod Farsalos legło prawie 15.000 żołnierzy Pompejusza; poddało się

Cesarowi 24.000, reszta zdołała uciec. 9 orłów legionowych i 180 godeł oddziałów dostało się w ręce zwycięzcy. Z armii Cezara zginęło tylko dwustu legionistów, wśród nich jednak trzydziestu oficerów.



## KLEOPATRA

**W**stępując na tron miała lat 18. Ojciec, Ptolemeusz Auletes - ten sam, który kupił u Cezara uznanie swego tytułu królewskiego - umierając w roku 51 zdecydował, że ma rządzić wspólnie ze swym młodszym bratem, Ptolemeuszem XIII; staroegipskim obyczajem rodzeństwo zostało poślubione. Ale doradcy i opiekunowie dziesięcioletniego chłopca - Potinos, Achilles, Teodot - rychło popadli w spór z ambitną i pełną energii królową. Wiosną roku 48 doszło do wojny domowej. Kleopatra musiała uciekać z Aleksandrii, lecz szybko zebrała w Syrii znaczną armię, z którą pociągnęła na Egipt. Brat i mąż zastąpił jej drogę na wschód od Peluzjon, twierdzy na samym wybrzeżu morskim u wschodniego ujścia Nilu.

28 września stawili się tu przed królem i jego doradcami wysłannicy Pompejusza. Po ucieczce z Laryssy zdołał on zabrać z Mytilene na wyspie Lesbos żonę Kornelię i syna Sekstusa; pożeglował następnie wzdłuż wybrzeży Azji Mniejszej na Cypr, po drodze skupiając wokół siebie grupy uciekających optymatów i organizując oddziały, złożone częściowo nawet z niewolników. Mała flota, obsadzona przez 2000 ludzi, popłynęła z Cypru do Aleksandrii, stamtąd zaś do Peluzjon.

Pompejusz mógł ufać, że dwór egipski udzieli mu pomocy. Wygnany z Aleksandrii Ptolemeusz Auletes mógł w roku 55 powrócić na tron dzięki rzymskiej pomocy, nie bez wiedzy i zgody Pompejusza. Od tego czasu przebywała w Aleksandrii załoga rzymska, w której było sporo oficerów i żołnierzy, służących niegdyś na Wschodzie pod rozkazami zwycięzcy Mitrydatesa. Co więcej, Pompejusz był oficjalnym, mianowanym przez senat opiekunem królewskiej rodziny. Dlatego też w czasie wojny z Cezarem zarówno Ptolemeusz XIII, jak i Kleopatra pomagali Pompejuszowi, posyłając okręty, zboże, nieco wojska.

Ale teraz Pompejusz był pokonany i ścigany. Opowiedzenie się po jego stronie właśnie w trakcie wojny z Kleopatrami mogłoby mieć tylko taki skutek, że Cezar, zwycięzca, uznałby od razu jej prawa do władzy. Do tego doradcy Ptolemeusza nie mogli dopuścić za żadną cenę. Rozważania, jak odpowiedzieć na prośbę Pompejusza, przecięła krótka uwaga Teodota: „umarli nie gryzą”.

Do okrętu Pompejusza podpłynęła łódka, na której znajdował się Achilles, dwaj byli oficerowie Pompejusza: Septimiusz i Salwiusz, oraz kilku służących. Oczekujący na okręcie byli zdumieni i przykro zaskoczeni tym brakiem szacunku ze strony dworu egipskiego. Wielu radziło, by odpłynąć od razu, nie wdając się już w żadne rokowania, owa wzgarda bowiem mówi sama za siebie. Ale łódka zbliżyła się już na tyle, że można było rozmawiać. Septimiusz wstał z ławki i pozdrowił Pompejusza z całą czcią i szacunkiem, wołając po łacinie: „Salve, imperator”. Od

razu też począł po grecku przemawiać Achilles, tłumacząc wysłanie tylko małej łódki: mielizny uniemożliwiają podpłynięcie okrętem do samego brzegu. Ale jednocześnie zauważono, że na królewskie okręty załadowują się marynarze, na brzegu zaś ustawiają się zbrojne oddziały. Nie było już żadnej możliwości ucieczki i nie było wyboru. Pompejusz ucałował płaczącą Kornelię i rozkazał wsiąść ze sobą do łodzi dwu oficerom, wyzwolencowi imieniem Filippos oraz jednemu niewolnikowi. Achilles wyciągał już rękę, by pomóc Pompejuszowi zejść; ten odwrócił się jeszcze do żony i syna i rzekł po grecku, cytując wiersze Sofoklesa: „Ktokolwiek wchodzi do domu tyrana, jego jest niewolnikiem, choćby przybył wolny”.

Łódź odplynęła od okrętu. Panowało głucho, przykre milczenie. By je przerwać, Pompejusz zwrócił się do Septimiusza: „Jeśli się nie mylę, byliśmy towarzyszami broni?” Ale zapytany tylko skinął głową. Pompejusz zrezygnował z dalszych prób podtrzymywania rozmowy i zajął się odczytywaniem tekstu greckiej oracji, którą miał wygłosić na audyencji u króla. Łódź zbliżała się już do brzegu, na który tłumnie zbiegali się dworzanie. Wówczas podniósł się i schwycił rękę Filipposa, by pomóc sobie przy wysiadaniu. Ale w tym momencie Septimiusz wbił mu miecz z tyłu, a jednocześnie wyciągnęli swe miecze Achilles i Salwiusz. Wielki wódz upadł z jękiem, zakrywając twarz togą. Na ten widok na okręcie podniósł się krzyk i lament. Wiatr był sprzyjający, zdołano więc ujść Egipcjanom w ostatnim momencie.

Septimiusz odciął głowę Pompejusza i zaniósł ją królowi. Gromadziły się tłumy, by oglądać leżące na brzegu ciało. Wierny wyzwolenc pozostał i czekał, póki się nie rozejdą. Wówczas dopiero obmył zwłoki morską wodą i owinął je własną tuniką. Znalazł na wybrzeżu szczątki łodzi rybackiej. Ułożył je w mały stos, by spalić ciało wodza. Nadszedł tymczasem jakiś starzec, który w młodości służył pod rozkazami Pompejusza. Tylko ci dwaj stali przy wątlym ogieńku, na którym tlił się bezgłowy kadłub niedawnego władcy Rzymu.

Tegoż właśnie dnia, 28-go września, przed trzynastu laty odbywał się drugi triumfalny wjazd Pompejusza do stolicy.

Dnia drugiego października okręty wiozące Cezara i dwa towarzyszące mu legiony wchodziły do portu Aleksandrii. Na spotkanie przybywającego wypłynął Teodot, wioząc zabalsamowaną głowę Pompejusza i jego pierścień. Na ich widok Cezar odwrócił się i oczy zaszczyły mu łzami. Nie był to ból i żal udany. Cezar nie chciał śmierci Pompejusza. Ścigał go, by zmusić do pojednania się i powrotu do Rzymu - lecz tego właśnie najbardziej obawiał się pyszny zwycięzca Mitrydatesa.

Miasto, do którego wjeżdżał teraz Cezar, było największe i najwspanialsze w całym ówczesnym świecie. Zbudowane zostało na rozkaz Aleksandra Wielkiego na wąskim przesmyku między morzem a słodkowodnym jeziorem Mareotis, łączącym się z Nilem, z którego znowu odnoga i kanał wiodły do Morza Czerwonego. Leżała więc Aleksandria w punkcie przecięcia się morskich dróg handlowych Morza Śródziemnego i Bliskiego Wschodu, co zapewniało jej olbrzymie bogactwa. Prócz portu mareockiego miała dwa porty od strony morza, oddzielone szeroką groblą,

wiodącą na długą i wąską wyspę Faros. Stała na niej stumetrowej wysokości latarnia morska, jeden z cudów ówczesnego świata. Port wschodni, zwany Wielkim, był zamknięty od wschodu półwyspem Lochias, na którym wznosił się kompleks pałaców królewskich, wybiegających jednak daleko w miasto. Wielopiętrowe domy, budowane z cegły i kamienia, stały wzdłuż regularnej sieci ulic. Choć główne ulice miały po kilkadziesiąt metrów szerokości, było na nich tłoczno. Aleksandria liczyła przecież chyba milion mieszkańców, ludzi różnych ras, języków, religii. Panującą warstwę stanowili Grecy; Żydów było bardzo wielu; rodowici Egipcjanie zamieszkiwali dzielnice zachodnie, uboższe; było też sporo Syryjczyków, Persów, a nawet przybyszów z Italii.

Ten różnorodny i wielojęzyczny tłum stanowił jednak pewną całość. Wszyscy byli przede wszystkim aleksandryjczykami, czuli się obywatelami najświetniejszego miasta świata, z pogardą i nienawiścią patrzyli na każdego, kto ośmielał się wtrącać w wewnętrzne sprawy ich kraju.

Cezar nie znał Aleksandrii. Gdyby lepiej orientował się w ogromie miasta i charakterze jego mieszkańców, z pewnością nie zdecydowałby się wkroczyć tu na czele dwu tylko legionów, których stan liczebny był znacznie niższy od normalnego, łącznie bowiem wynosił ledwie 3200 ludzi. Już kiedy po raz pierwszy Cezar szedł ulicami z portu ku pałacowi, jako konsul poprzedzany przez liktorów, podniosły się wśród tłumów gniewne okrzyki, podjęte przez królewskie oddziały w strażnicach. Do otwartych wystąpień wówczas nie doszło, ale w ciągu dni następnych zaginęło bez wieści wielu legionistów zwiedzających miasto w małych grupach.

Na wezwanie Cezara młody król przybył z Peluzjon do Aleksandrii, by przedstawić swoje stanowisko w sporze z Kleopatrami. Ale i ona zdołała po kryjomu dostać się do pałacu. Przekupiony rybak przewiózł ją do portu lichą łódeczką, do komnat zaś wniesiono ją w worku. Świadczyło to o dużej odwadze dziewczyny, pałac bowiem był pełen jej śmiertelnych wrogów i krok ten mogła przypłacić życiem. Już to musiało uczynić na Cezarze wielkie wrażenie. Królewna nie była klasyczną pięknoscia, posiadała jednak urok przedstawicielki starego rodu, czarujący sposób bycia, wielki intelekt. Wydawać się więc mogło, że pobyt w Aleksandrii upłyne miło i interesująco.

Jeśli nawet już od początku Kleopatra cieszyła się względami Cezara, to jednak w sporze między rodzeństwem starał się on pośredniczyć sprawiedliwie i w zgodzie z wolą ojca. Ale powrót Kleopatry do władzy oznaczałby zgubę doradców Ptolemeusza. Dlatego Potinos intrygował w pałacu, Achilles zaś ruszył na Aleksandrię z armią spod Peluzjon; liczyła ona 20.000 ludzi piechoty i 2000 jeźdźców.

Przeszło cztery miesiące Cezar i Kleopatra byli oblężeni w dzielnicach królewskich pałaców - cztery miesiące pełne napięcia i grozy. Rzymianom udało się podpalić flotę egipską i zdobyć wyspę Faros, mieli jednak zbyt szczupłe siły do obsadzenia całej linii obrony. By wznieść fortyfikacje, a zarazem oczyścić przedpole, burzyli

pewne bloki domów, inne zaś umacniali. Do walki z najeźdźcą wystąpili wszyscy mieszkańcy milionowego miasta. Zewsząd czyhała zdrada. Przez pewien czas groziło odcięcie dopływu słodkiej wody. Knującego spiski Potinosa zabito, ale młodszej siostrze Kleopatry, Arsynoe, udało się zbiec z pałacu do Achillasasa, którego zresztą wkrótce zgładziła i dowództwo oddała swemu doradcy Ganimesesowi.

Posiłki nadchodziły skąpo. By wprowadzić do portu okręty z trzecim legionem na pokładzie, trzeba było stoczyć bitwę morską z nowo zbudowaną flotą egipską. Cezar omal nie stracił w niej życia. Jego okręt zatonął, a on sam uratował się tylko dzięki przepłynięciu w pław trzystu metrów do najbliższej łodzi. W walkach o obsadzenie grobli łączącej Faros z lądem zginęło czterystu legionistów, grobli jednak nie utrzymano. Wypuszczono Ptolemeusza z pałacu, by przeciwdziałał Arsynoe, ale on wszedł z nią w porozumienie.

Odsiecz nadeszła dopiero w marcu roku 47. Przywiódł ją z Syrii książę rodem z Pergamonu w Azji Mniejszej, Mitrydates. Cezar zdołał wyrwać się z Aleksandrii i połączył z nim swoje oddziały nad Nilem. Po zacieklej bitwie wojska Ptolemeusza zostały pokonane; on sam utonął uciekając na przeładowanej łodzi.

Kiedy zwycięski Cezar wracał do Aleksandrii, lud wyległ tłumnie na ulice i pokornie witał znienawidzonego Rzymianina, śmiertelnego wroga jeszcze przed kilku dniami. Szybko ustanowiono nowy porządek rzeczy. Królowa Kleopatra miała poślubić swego drugiego brata, liczącego wówczas 10 lat; dla jej bezpieczeństwa pozostawiono w Egipcie trzy legiony; Arsynoe musiała wyjechać do Rzymu, by uświetnić później triumf Cezara, idąc w kajdanach za jego rydwanem Drogą Świętą na Kapitol - królewna egipska jako przedmiot naigrawań rzymskiego motłochu.

Choć pokój nie został jeszcze przywrócony we wszystkich prowincjach Imperium i w wielu krainach zbierały się i na nowo organizowały zastępy wrogów Cezara, zwycięzca Ptolemeusza na dwa miesiące zatrzymał się w Egipcie, by zwiedzać kraj i studiować jego zabytki. Jego towarzyszką i przewodniczką w tych studiach była, oczywiście, Kleopatra. Wraz z nią popłynął królewską barką w górę Nilu. Podróż urozmaicały uczyły i muzyka oraz co pewien czas wycieczki na ląd, gdzie podziwiano ogrom i wspaniałość monumentalnych, wiecznotrwałych budowli faraonów. Młoda królowa pokazywała z dumą potężne, jakby nadludzką siłą wzniesione kolumny i pylony świątyń w Tebach oraz olbrzymich rozmiarów posągi dawnych władców, uważała się bowiem za spadkobierczynię prastarych dynastii Menesów, Ramzesów i Amenofisów. Władła dawnym językiem egipskim, na rzeźbach i malowidłach kazała się przedstawiać w stroju i postaci faraonów lub bogiń, odnawiała i rozbudowywała świątynie wzniesione ku czci wielkich bóstw, których kult sięgał zamierzchłych czasów, gdy nawet przodków Rzymian jeszcze nie było w Italii.

Kiedy z początkiem czerwca Cezar opuszczał Egipt, Kleopatra była w ciąży. Syn, którego wkrótce powiła, otrzymał imię Cezarion.





## ŚMIERĆ KATONA

„Veni, vidi, vici” - Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem. W tych trzech słowach Cezar powiadomił Rzym o zwycięstwie odniesionym z początkiem sierpnia nad Farnacesem. Był to syn Mitrydatesa, tego właśnie, którego przed laty pokonał Pompejusz. Korzystając z wojny domowej w państwie rzymskim Farnaces wtargnął do Pontu, by odzyskać królestwo ojca. Kampania przeciw niemu trwała istotnie krótko, bo tylko pięć dni. Przeprowadził ją Cezar w drodze powrotnej z Egiptu do Italii.

Długa natomiast, bo aż czteromiesięczna, trudna i niebezpieczna była walka w Afryce, na wybrzeżach dzisiejszego Tunisu, przeciw połączonym siłom resztek pompejańczyków i króla numidyjskiego Juby. Przybyli tu ze wszystkich stron i krain najbardziej nieugięci wrogowie Cezara, kto tylko zdołał ująć z Italii, Hiszpanii, Grecji i Macedonii. Naczelne dowództwo objął Metellus Scypion, poszczególnymi korpusami dowodzili Labienus, Warus, Afraniusz. Byli też obaj synowie Pompejusza, działał Marek Katon. W Utyce ukonstytuował się na nowo senat. Wystawiono 10 legionów rzymskich i 4 legiony numidyjskie; z Numidów też przeważnie składały się oddziały lekkobrojnnych. Rozporządzano znaczną flotą pod dowództwem Marka Oktawiusza. Cezar, który przepłynął się do Afryki z Sycylii dopiero z końcem grudnia roku 47, mógł przeciwstawić tej armii początkowo tylko 6 legionów. Przez dłuższy czas był niemal odcięty od Italii, miał też wielkie trudności aprowizacyjne. Wodzowie senaccy zastosowali taktykę unikania wielkich bitew, starano się wyniszczyć siły Cezara drobnymi starciami przy jednoczesnym przerwaniu wszystkich jego połączeń z Italią. Labienus jako dowódca prawie dorównywał zdolnościom Cezara i zadawał mu dotkliwe porażki. Ostateczne rozstrzygnięcie zapadło w bitwie 6 kwietnia pod Tapsus, kiedy korpusy Scypiona oraz Juby i Afraniusza rozdzieliły się, by okrążyć Cezara. Zostały po kolei rozbite. Bitwa zakończyła się straszliwą masakrą pokonanych; dziesiątki tysięcy legło na placu. Rozjuszeni żołnierze Cezara mordowali nawet składających broń oraz tych dostojników, których Cezar pragnął zachować przy życiu. Scypion i Juba popełnili samobójstwo w czasie ucieczki, natomiast synowie Pompejusza i Labienus zdołali dotrzeć do Hiszpanii.

Katon był namiestnikiem w Utyce, gdzie mieściły się magazyny całej armii. Na wieść o klęsce zachował zupełny spokój; zresztą spodziewał się takiego obrotu sprawy, nie dowierzał bowiem wodzowskim zdolnościom Scypiona, widział w nim natomiast - i słusznie - zadatki na okrutnego i bezwzględnego tyra. Początkowo próbował Katon zorganizować obronę miasta, ale od razu było widoczne, że ludność podda się Cezarowi. W tej sytuacji cały wysiłek zwrócił na utrzymanie ładu, starając się też ułatwić ucieczki morzem senatorom i ich rodzinom. Zajął się następnie uporządkowaniem swoich spraw prywatnych. Wieczorem, po kolacji,

dyskutował w gronie przyjaciół o poglądach różnych szkół filozoficznych. Z ogniem i bardzo gwałtownie stanął w obronie sławnej tezy stoickiej: tylko człowiek uczciwy jest naprawdę wolny, każdy zły jest niewolnikiem. Po wieczornym spacerze udał się do sypialni i zaczął czytać dialog Platona o nieśmiertelności duszy. W pewnej chwili zawołał niewolnika i zapytał, gdzie jest miecz, który wisiał nad łóżkiem. Niewolnik milczał; miecz usunął w czasie kolacji syn Katona. Po przeczytaniu całego dialogu polecił przynieść miecz natychmiast; ale nikt nie ośmielił się wykonać rozkazu. Zaczął wówczas ostro krzyczeć na służbę, jednego zaś z niewolników uderzył w twarz tak mocno, że skrwawił sobie rękę. Płaczącego syna zapytał, czemu od razu nie wiąże go i nie prowadzi przed Cezara? Wreszcie jakiś chłopiec podał mu broń, której żądał. Katon wypróbował ostrze i znowu powrócił do lektury platońskiego dialogu. Przeczytał go dwukrotnie, po czym mocno zasnął. Zbudził się już o północy i wezwał dwu zaufanych wyzwoleńców. Jednego z nich wysłał nad morze, by sprawdził, czy wszyscy już odjechali, drugiemu zaś polecił opatrzyć rękę, która mocno spuchła od uderzenia. Wydawało się, że zaniechał już myśli popełnienia samobójstwa. Wyzwoleniec wrócił i zgłosił, że wszystko jest w porządku, morze jednak bardzo wzburzone. Katon wysłał go jeszcze raz, by upewnić się, czy ktoś nie został wyrzucony na brzeg. Po jego wyjściu znowu zasnął - a było to już po pierwszym pianiu koguta. Gdy wyzwoleniec przyszedł z wiadomością, że w porcie panuje zupełny spokój, polecił zamknąć drzwi i sam położył się do łóżka. Po chwili usłyszano z jego pokoju jakiś łoskot. Syn i przyjaciele wbiegli do środka. Katon leżał na ziemi cały skrwawiony, wnętrzności wychodziły mu na wierzch, żył jednak i patrzył przytomnie. Cios zadany skaleczoną ręką okazał się zbyt słaby; spadając z łóżka Katon przewrócił stojący obok stół do rachowania. Przyboczny lekarz zbliżył się, by ułożyć wnętrzności i zaszyć ranę, ale Katon odepchnął go i rękoma rozerwał brzuch.

Kiedy wkrótce potem Cezar wkroczył do Utyki, nikomu z rodziny Katona nie spadł włos z głowy. Zachowali życie i dobra...



## TRIUMF

**W**szyscy wrogowie zostali pokonani, wszystkie ziemie i krainy nad Morzem Śródziemnym były obsadzone przez legiony zwycięzcy. Po bitwie pod Tapsus Cezara mianowano dyktatorem na lat dziesięć; był konsulem po raz trzeci, senat zasypywał go honorami i zaszczytnymi odznaczeniami, których swoiste uwieńczenie stanowiła uchwała, by na brązowym posągu wyryć napis: „Cezar jest półbogiem”.

Latem roku 46 odbył się wielki, poczwórny i cztery dni trwający triumf Cezara ze zwycięstw w Galii, Egipcie, Poncie, Afryce. Ten ostatni tylko z powodu pokonania króla Juby, unikano bowiem wszelkiej wzmianki o wojnie domowej i o pokonaniu współobywateli; z tej racji nie wspominało też o zwycięstwie pod

Farsalos. Pochód triumfalny szedł, jak zwykle, przez Bramę Triumfalną, następnie przez Cyrk Flaminiusza, Cyrk Wielki, Drogą Świętą na Forum i stąd na Kapitol. Otwierali pochód senatorowie i urzędnicy, za nimi szli trębacze i niesiono łupy z wojny galijskiej oraz wielkie obrazy, symbolizujące Ren, Rodan, Ocean, Massalię, prowadzono też skutego w kajdany Wercyngetoryksa. Siedemdziesięciu dwu liktorów poprzedzało rydwan zaprzężony w czwórkę białych koni, na którym stał triumfator. Za rydwanem maszerowali żołnierze, którzy brali udział w walkach w Galii i Brytanii. W tym dniu wolno było żołnierzom wszystko; śpiewali pieśni, w których brzmiały aż zbyt przejryste aluzje do rzekomych miłostek ich wodza z Nikomedesem; ostrzegali też mieszczan, by dobrze uważali na swe żony, wiedzą bowiem łysogo cudzołożnika. Gdy pochód dotarł pod Kapitol, był już wieczór; ale stało tam rzędem 40 słoni, dźwigających wielkie świeczniki. Przy ich blasku Cezar wchodził do świątyni Jowisza, by złożyć przepisane rytuałem ofiary. Tymczasem Wercyngetoryksa odprowadzono do więzienia. W chwili gdy zwycięzca uroczyście dziękował swemu bogu za błogosławieństwo i zanosił modły o pomyślność dla ludu rzymskiego, obrońca Alezji wydawał w lochu ostatnie tchnienie, duszony przez oprawcę.

Po pewnej przerwie odbywały się kolejne całodniowe triumfy z pozostałych zwycięstw, każdy w takim porządku jak i galijski, każdy uświetniony łupami i trofeami z danej krainy oraz obrazami i posągami przedstawiającymi pokonanych wodzów i zdobyte miasta. Litość tłumów wzbudziła królowna Arsynoe, idąca przed rydwanem w kajdanach.

Bogactwo pokazane w czasie triumfu było oszałamiające. Jechały szeregi wozów wyładowanych złotem i srebrem w sztabach oraz w monecie i w formie wieńców złotych; tych ostatnich było 2822, o łącznej wadze 20.000 funtów rzymskich. Każdy żołnierz, każdy oficer, a nawet każdy obywatel rzymski otrzymał jakąś część zdobyczy.

Po dniach triumfów rozpoczęły się dni zabaw, igrzysk, pokazów, wielkich uczt i przyjęć dla całej ludności. Zastawiono dla niej 2200 stołów; zbudowano drewniany amfiteatr na Forum; na arenę Wielkiego Cyрку wypuszczono czterysta lwów; tu również pokazano prawdziwą bitwę między dwiema armiami; każda miała po tysiącu pieszych i po dwustu jeźdźców.

Ale jednocześnie Cezar począł realizować swoje wielkie plany architektoniczne. Myślał o nich już podczas kampanii w Galii. Widok wspaniałych budowli Aleksandrii natchnął go nowymi pomysłami. Ówczesny Rzym, zabudowany gęsto i ciasno, bez jakiegokolwiek planu i perspektywy urbanistycznej, prawie zupełnie pozbawiony okazalszych świątyń i gmachów, nie czynił imponującego wrażenia. By uczynić go godnym rangi stolicy świata, trzeba było wiele zbudować i jeszcze więcej zburzyć. W trakcie potriumfalnych obchodów i zabaw położono kamienie węgielne pod budowle, które odtąd na wieki nosiły rodowe nazwisko Cezara. Na Forum miała stanąć wielka hala posiedzeń sądowych, Basilica Julia; u wschodnich stoków Kapitolu świątynia bóstwa opiekuńczego rodu Juliuszów, Venus Genetrix,

którą Cezar ślubował zbudować przed bitwą pod Farsalos; ta świątynia miała stanowić zarazem ośrodek nowego Forum, zwanego Julium, będącego przedłużeniem dawnego, zbyt już ciasnego; odbudowywano gmach posiedzeń senatu, spalony w czasie zamieszek po śmierci Klodiusza, zwany odtąd Curia Julia.

Triumfy, igrzyska, wielkie budowle - wszystko to było tylko fasadą mającą olśnić lud, objawić moc, potęgę i chwałę dyktatora. Prawdziwy wysiłek twórczy władcy Rzymu zwracał się ku uregulowaniu życia politycznego i gospodarczego, które skutkiem wielu lat anarchii, później zaś wojny domowej, popadło w groźny rozstrój. Żadne z ówczesnych posunięć Cezara nie było podyktowane tanią demagogią i pościgiem za popularnością, każde wypływało z troski o całość spraw państwa.

By odciążyć skarb od ogromnych dopłat do zboża sprzedawanego po niżonych cenach, przeprowadzono rewizję list odbiorców i skreślono 170.000 nazwisk osób nie uprawnionych; by zapewnić byłym żołnierzom środki egzystencji, przydzielono im ziemie, ale nie kosztem innych posiadaczy; by położyć kres pleniению się tajnych spisków, rozwiązano wszystkie stowarzyszenia i korporacje, z wyjątkiem istniejących od dawna; wreszcie, by nie narażać państwa na nową wojnę domową, zabroniono piastowania namiestnictwa jakiegokolwiek prowincji dłużej niż dwa lata. Cezar wiedział dobrze, jak zdobywa się władzę.

Spośród wszystkich wydanych wówczas ustaw jedna zapisała się trwale w dziejach kultury europejskiej. Była to ustawa o reformie kalendarza. Dotychczasowy kalendarz rzymski oparty był na roku księżycowym i liczył 355 dni; by dostosować go do roku rzeczywistego, co dwa lata dodawano po lutym specjalny miesiąc zwany Mercedonius. Pieczę nad kalendarzem miało kolegium kapłańskie, którego zwierzchnikiem był właśnie Cezar jako kapłan najwyższy. Ale z różnych względów dopuszczono się w tym okresie poważnych zaniedbań, a te sumując się z roku na rok doprowadziły wreszcie do tego, że oficjalny kalendarz wyprzedzał rzeczywisty bieg roku o całe miesiące. Przebywając w Aleksandrii Cezar konsultował się w tej sprawie u czołowych astronomów i matematyków z tamtejszej Biblioteki i z Muzeum. Zdecydował się wreszcie na przeprowadzenie nie doraźnych poprawek, ale zasadniczej reformy. Idąc za prastarym osiągnięciem kultury Egiptu, wprowadził rok słoneczny, liczący 365 dni, co cztery zaś lata dni 366.

Ten nowy kalendarz wszedł w życie z dniem 1 stycznia roku 45. Wpierw jednak trzeba było wypełnić rok 46; dlatego liczył on dni 445 i miał 15 miesięcy.

Rok przyjęty przez Cezara za podstawę obliczeń był dłuższy od rzeczywistego o 11 minut i 12 sekund, liczył bowiem 365 dni i 6 godzin. Ta drobna różnica zmusiła po wielu wiekach do wprowadzenia pewnej poprawki. Stało się to w wieku XVI za pontyfikatu Grzegorza XIII. Jednakże ustalona przez Cezara liczba dni w poszczególnych miesiącach pozostała bez zmian do dziś.

Wszystkie nici rządów państwem zbiegały się teraz w rękę dyktatora. Senat i urzędnicy, choć zwoływani i konsultowani, byli tylko republikańską fasadą rządów

jedynowładcy. Zresztą nie zawsze nawet powiadamiano ich w porę o wszystkich ustawach, które oni rzekomo uchwalali. Cyceron pisał wówczas do jednego ze swych przyjaciół: „Niegdyś nie lubiłem tracić z oczu spraw publicznych na dłużej. Ale wtedy siedzieliśmy w tyle okrętu i dzierżyliśmy ster. Teraz ledwie jest dla nas miejsce na samym dnie. Czy myślisz, że mniej będzie uchwał senatu, jeśli ja zatrzymam się w Neapolu? Jestem w Rzymie i stale obracam się na Forum; ale uchwały senatu wypisuje się w domu u kogoś, kto Tobie tak jest oddany, a mnie przyjazny. Jeśli akurat sobie przypomni, podpisze pod uchwałą i moje nazwisko. Tak więc wprawdzie dowiaduję się, że wysłano do Armenii lub Syrii uchwałę senatu powziętą rzekomo na mój wniosek, nim w ogóle uczyniono jakąkolwiek wzmiankę o całej sprawie. Nie myśl, że żartuję; wiedz bowiem, że otrzymałem listy od królów gdzieś z końca świata, w których dziękują mi, że to na mój wniosek przyznano im tytuł królewski. A ja nie tylko nie wiedziałem, że uznano ich królami, ale nawet że się w ogóle urodzili”.

Nawet senatorom niełatwo było uzyskać audiencję u dyktatora, stale pochłoniętego ogromem prac. Musieli z konieczności kontaktować się z jego podwładnymi, nawet antyszambrować przez długie godziny. To oburzało wielu. Ale z drugiej strony nawet najbardziej niechętni nowemu porządkowi byli zaskoczeni, że zwycięzca nie mści się i nie przeprowadza żadnych prześladowań politycznych. Nawet zdeklarowani wrogowie Cezara mogli liczyć na łaskę i na cofnięcie konfiskaty majątku; bo o karaniu przeciwników śmiercią w ogóle nie było mowy. A przecież w pierwszych miesiącach wojny wszyscy byli przekonani, że dojdzie do proskrypcji i masowej rzezi. Sam Cyceron, który wciąż lękał się, że sprawy wezmą gorszy obrót i zwycięzca, gdy poczuje się panem sytuacji, przejawia swoje tyrańskie skłonności, musiał przyznać w liście do jednego z przyjaciół, starającego się o ułaskawienie: „Te są przymioty Cezara: usposobienie łagodne i życzliwe; ogromnie się rozkoszuje wybitnymi umysłami; ustępuje prośbom słusznym i wypływającym z poczucia obowiązku, ale nie próżnym i karierowiczowskim; jest człowiekiem bardzo bystrym i wiele przewidującym... Podziwiam powagę, sprawiedliwość i mądrość Cezara. O Pompejuszu wyraża się zawsze z najwyższym uznaniem... A dla nas [stronników Pompejusza] jak bardzo jest życzliwy! Kasjusza mianował swym legatem, Brutusa namiestnikiem Galii, Sulpicjusza Grecji; Marcellusowi, któremu był najbardziej niechętny, przywrócił wszystko z zachowaniem całkowitego uznania dla jego godności”.

W tej sytuacji przykrym zgrzytem stał się przyjazd do Rzymu Kleopatry. Przybyła ze swym jedenastoletnim mężem-bratem i z dzieckiem, Cezarionem. Została przyjęta przez dyktatora ze wszystkimi honorami. Jako rezydencję otrzymała willę Cezara, położoną w parku za Tybrem. W budowanej świątyni Venus Genetrix umieszczono posąg królowej tuż obok posągu bogini. Imię Kleopatry wpisano na listę przyjaciół i sojuszników ludu rzymskiego.

Duma i pycha Kleopatry oraz orientalne zwyczaje dworskie raziły wszystkich. Upokorzony czuł się Cyceron, który - przewidujący i ostrożny - pospieszył ze

łożeniem wizyty królowej i kochance dyktatora. Za pretekst posłużyła mu prośba o pewne dzieła z wielkiej biblioteki aleksandryjskiej. Przyjęto go, jak uważał, poniżej godności rzymskiego senatora. Co jednak najbardziej niepokoiło opinię publiczną w Rzymie, to niepewność co do rzeczywistych celów przybycia władczyni Egiptu. Czy Kleopatra dąży wprost do małżeństwa z Cezarem, czy też pragnie na razie spowodować jego wyjazd na Wschód? Mówiono o przygotowywaniu wielkiej wyprawy przeciwko Partom. Ale jakie byłyby dalsze jej zamiary? Czy mąż królowej - w razie małżeństwa - nie zechce sam przywdziać królewskiego diademu? Czy stolica monarchii pozostałaby w Rzymie, czy też przeniesiono by ją na Wschód?

Wszystkie te wątpliwości i niepokoje odsunął na razie na plan dalszy wybuch nowej wojny, będącej ostatnim aktem zmagania ze stronnikami Pompejusza.



## APOGEUM

**Z** początkiem listopada roku 46 Cezar wyjechał z Rzymu do Hiszpanii. W pobliżu Kordoby stanął po dwudziestu siedmiu dniach od chwili opuszczenia stolicy.

Podróż tę skracał sobie, jak niegdyś przeprawę przez Alpy, pisarstwem. Skomponował poemat zatytułowany *Iter - Droga*.

Ale była to droga do ciężkich i niebezpiecznych zadań, do rozprawy z trzynastoma legionami pompejańczyków. Na ich czele stali obaj synowie zmarłego wodza, Sekstus i Gnejusz, oraz Labienus i Warus. Wybuch wojny właśnie w Hiszpanii nie był przypadkiem. Pewną winę ponosił sam Cezar, który w roku 49 mianował namiestnikiem Hiszpanii Dalszej człowieka zupełnie nie nadającego się na to stanowisko, Kwintusa Kasjusza. Jego srogość i nadużycia doprowadziły do buntu nie tylko wielu miast prowincji, ale i części legionów. Treboniusz, który objął namiestnictwo po Kasjuszu, niewiele mógł zdziałać. Do Hiszpanii po bitwie pod Tapsus przybывało coraz więcej ocalałych z pogromu, miasta zaś, gdzie pamięć Pompejusza wciąż była żywa, chętnie udzielały im pomocy. W oddziałach dawnych wodzów Pompejusza gromadzili się teraz wszyscy, dla których z jakichkolwiek względów nie było miejsca w porządku ustanowionym przez Cezara. Obok więc ideowo nieprzejednanych senatorów znaleźli się tu i zbiegli niewolnicy, i dezercerzy, i zwykli rozbójnicy.

Kampania trwała dłużej, niż Cezar początkowo obliczał. Wynikało to z zaciętości oporu przeciwników, dla których, w razie klęski, nigdzie już nie byłoby ratunku i schronienia, ale też i ze szczupłości sił, jakimi dysponował: miał bowiem tylko 8 legionów i 8000 jazdy. Operacje były uciążliwe, pora roku utrudniała marsze i zaopatrzenie. Pierwszym sukcesem było zdobycie miasta Ateuga w dniu 19 lutego. Ale decydująca bitwa została stoczona dopiero 17 marca pod miejscowością Munda, na południe od Kordoby. Była to najcięższa i najzaciętsza bitwa spośród

wszystkich, jakimi Cezar dowodził. Przeciwnik natarł z taką furją, że nawet starzy weterani poczęli się cofać. Wówczas sam Cezar zeskoczył z konia, kazał go odprowadzić i zdjąwszy hełm stanął w pierwszej linii walczących, krzyząc ku swoim: „Czy zostawicie tu swojego wodza?” Dziesiątki strzał utkwilo w jego tarczy, ale szeregi zwały się i nie ustąpiły już ani kroku.

Rozstrzygnięcie zapadło dopiero u schyłku dnia. Część jazdy Cezara ruszyła samowolnie, by okrążyć lewe skrzydło wroga. Dowodzący tam Labienus wycofał natychmiast 5 kohort i uszykował je frontem ku atakującym. Ale żołnierzom Cezara na tym odcinku wydało się, że jest to pierwsza oznaka ucieczki, wzniesli więc ogromny okrzyk triumfu. Pompejańczycy zaczęli się wówczas istotnie wycofywać na całej linii, sądząc, że ich front został w którymś miejscu przerwany. Jak zwykle w takich wypadkach, wycofywanie się przeszło w bezładną ucieczkę.

Zginęło ponad 30.000 ludzi, wśród nich Labienus i Warus. Gnejusz Pompejusz został zabity nieco później. Uratował się tylko Sekstus Pompejusz, który nie brał udziału w bitwie. Na wieść o klęsce zdołał uciec z Kordoby i schronić się w niedostępnych górach, skąd przez długi czas prowadził wojnę podjazdową. Po śmierci Cezara miał jeszcze odegrać wielką rolę.

Uporządkowanie spraw w Hiszpanii zajęło Cezarowi kilka miesięcy. Szczególnie wiele uwagi poświęcił przygotowaniu osadnictwa swych byłych żołnierzy w różnych miastach obu prowincji: w Hispalis, czyli dzisiejszej Sewilli, w Urso, czyli Osunie, w Nowej Kartaginie, czyli Kartagenie, w Tarrako, czyli Tarragonie. Te kłopotliwe i drobiazgowo prace administracyjne urozmaicał sobie znowu pisarstwem. Tym razem podjął jednak temat drażliwy, przedstawił zaś go w sposób niezbyt udany i taktowny.

Krótko po śmierci Katona Cynceron napisał piękny traktat, w którym wysławiał postać, życie i zgon obrońcy republiki i starorzzymskich ideałów. Cezar teraz zareplikował, wyliczając w specjalnym piśmie wszelkie wady i przywary herosa - prawdziwe, wyolbrzymione, a nawet zgoła zmyślane. Piśmko nosiło tytuł *Anticato*. Łaskawy dla Cezara los sprawił, że nie przetrwało próby czasu.

Zachowało się natomiast dziełko znacznie cenniejsze, choć nie wykończone, również rozpoczęte po bitwie pod Mundą: *Commentarii de bello civili - Pamiętniki o wojnie domowej*. Trzy księgi obejmują okres tylko do początku wojny aleksandryjskiej i noszą wyraźne znamiona opracowania pospiesznego i powtórnie nie przejrzanego.

W maju przybył do Cezara, bawiącego wówczas w Nowej Kartaginie, siedemnastoletni, chuderlawy i chorobliwy chłopaczek. Był to najbliższy obecnie krewny Cezara, wnuk jego siostry Julii, Gajusz Oktawiusz. Słabość uniemożliwiła mu wzięcie udziału we właściwej kampanii, ale zjawił się obecnie, by u boku wujecznego dziada wciągać się w prowadzenie spraw państwowych. Cezar odkrył, że w tym niepozornym chłopcu kryją się wielkie uzdolnienia. Toteż od razu po powrocie do Italii, co nastąpiło we wrześniu, wyznaczył go w swym testamencie głównym spadkobiercą i jednocześnie usynowił. W ten sposób prostował drogi

przyszłemu cesarzowi Augustowi...

Z początkiem października odbył się w Rzymie nowy triumf Cezara. Tym razem jawnie i oficjalnie triumfował jako zwycięzca współobywateli, których dziesiątki tysięcy legło w Hiszpanii. Gdy przejeżdżał na swym rydwanie obok ław trybunów ludowych, jeden z nich odważył się nie powstać. Cezar krzyknął doń z gniewem: „Więc zażądaj ode mnie, bym przywrócił Rzeczpospolitą!” Trybun, Pontius Akwila, istotnie zażądał: w pół roku później wbił swój sztylet w ciało Cezara.

Pochlebczy senat i urzędnicy prześcigali się teraz w przyznawaniu mu godności, honorów i zaszczytów, jakie tylko można było wymyślić. Można by podejrzewać, że czynią to z szatańską przemyślnością, by wytrącić go z równowagi psychicznej i oślepionego blaskiem chwały, odurzonego kadzidlany dymem, pchnąć w przepaść opętańczych snów.

Został dyktatorem na zawsze i konsulem na lat dziesięć; przyznano mu tytuł „Liberator” (Wyzwoliciel) i „Parens Patriae” (Ojciec Ojczyzny); w świątyni boga Kwiryna stanął jego posąg podpisany „Deo Invicto” (Bogu Niezwyciężonemu), drugi zaś na Kapitolu, obok posągów królów i Brutusa, twórcy republiki; jego podobizny umieszczono we wszystkich świątyniach Rzymu i Italii; jako pierwszy w dziejach Rzymu otrzymał prawo wybijania monet ze swoim wizerunkiem; w czasie wszystkich uroczystości mógł ukazywać się w szatach triumfalnych i zasiadać na połączonym krześle, zawsze zaś chodzić w wieńcu laurowym na głowie. Ten ostatni przywilej był mu szczególnie miły, jako że wieniec przysłał łysinę. By upamiętnić, że Cezar urodził się w miesiącu zwanym dotąd Quinctilis (nasz lipiec), nazwano go Julius, sam zaś dzień urodzin miał być uroczystym świętem. Obwieszczono, że Cezar jest „sacrosanctus” (nietykalny). Grupa senatorów i przedstawicieli warstwy zamożnych bankierów oraz przedsiębiorców, zwanych ekwitami, miała stale czuwać nad jego bezpieczeństwem, każdy zaś senator składał solenną przysięgę, że będzie strzegł życia dyktatora jak własnego.

Cezar zachował jednak dość rozeznania, by mimo tych hołdów i przysięg nie rozstawać się z liczną strażą osobistą, złożoną zresztą w dużej mierze z Galów i Hiszpanów. Nie opuszczała go ona, nawet gdy przybywał z wizytą do domów najwybitniejszych osobistości. Sprawilo to nieco kłopotu Cynceronowi, kiedy w grudniu roku 45 przyjmował Cezara w swej willi koło Puteoli, nad Zatoką Neapolitańską. Gospodarz uzalał się później w liście do Attyka, że w sąsiedztwie rozgościło się 2000 ludzi dyktatora.

Podróż Cezara do Kampanii miała zresztą cele nie wypoczynkowe. Chodziło o stwierdzenie, jak przebiega realizacja osadnictwa wojskowego na tych terenach. Było ono częścią wielkiej akcji kolonizacyjnej i osadniczej na ziemiach zarówno Italii, jak i posiadłości zamorskich, a mającej na celu wynagrodzenie byłych żołnierzy i rozładowanie przeludnienia Rzymu. Kolonie Cezara, z których każda nosiła przydomek „Julia”, powstały w Hiszpanii, w Afryce, Grecji. Wyjechało do nich łącznie ponad 80.000 obywateli. By jednak Italia nie odczuła zbyt dużego ubytku ludzi w sile wieku, zabroniono mężczyznom między dwudziestym a czterdziestym



rokiem życia przebywać poza krajem dłużej niż trzy lata - nie wliczając w to, rzecz prosta, okresu służby wojskowej. Dla przywrócenia zachwianego przez wojnę bezpieczeństwa zaostrzono kary i przyspieszono procedurę sądową, w celu zaś usprawnienia administracji ogromnego państwa powiększono liczbę wyższych urzędników.

Chyba największe znaczenie historyczne miała polityka Cezara w stosunku do prowincji i ich ludności. Ziemie podbite były dotąd eksploatowane w sposób bezwzględny, łupieżczy, ludność zaś zdana całkowicie na łaskę i niełaskę namiestników. Cezar starał się nie tylko ukrócić samowolę wielkorządców, ale przez hojne nadania obywatelstwa rzymskiego mieszkańcom prowincji, zwłaszcza Galom i Hiszpanom, stworzyć prawdziwie światowe imperium, w którym prawa i przywileje przysługiwałyby nie tylko małej garstce urodzonych Rzymian. Wiele wybitnych osobistości pochodzących z prowincji powołał nawet w skład senatu. W związku z tym krążył po Rzymie dowcip: „Oto dobry uczynek - nie wskazać drogi nowemu senatorowi, pytającemu, któredy to idzie się do Kurii”.

Plany zrealizowane były tylko częścią wielkich i śmiałych pomysłów, które miały uświetnić stolicę, wzbogacić Italię i pchnąć całe państwo na nowe drogi rozwoju. Miano zbudować olbrzymią świątynię Marsa i teatr u stóp Kapitolu, Tybr poprowadzić przez Rzym specjalnym kanałem, rozbudować port w Ostii, osuszyć bagna na południe od stolicy, spuścić wody z jeziora Fucinus, połączyć Rzym z wybrzeżami Adriatyku nową drogą przez góry Apeniny, przekopać kanał przez przesmyk koło Koryntu. Rozpoczęto przygotowania do kodyfikacji wszystkich ustaw prawnych oraz do spisu ludności i jej majątku w Italii i w prowincjach.

Ale nie tylko pokojowe zamierzenia zaprzętały wówczas umysł Cezara. Planował zorganizowanie dwu wielkich wypraw wojskowych: przeciw Dakom, mieszkającym na północ od Dunaju, na ziemiach dzisiejszej Rumunii, oraz przeciw Partom, stale zagrażającym Syrii; ta wyprawa miała pomścić klęskę i śmierć Krassusa.

Przygotowania do wielkiej wyprawy na Wschód były już w toku zimą roku 45 na 44. Armia miała liczyć 16 legionów i 10.000 jazdy. W związku ze spodziewaną dłuższą nieobecnością dyktatora wyznaczono z początkiem roku 44 urzędników na rok 43, a nawet 42 - konsulów, pretorów, namiestników prowincji.

Tak więc pragnął Cezar wstąpić w ślady Aleksandra Wielkiego. Marzyły mu się krainy dalekie, egzotyczne, niemal baśniowe. Babilonia, Armenia, Iran, może nawet Indie stałyby się prowincjami Imperium, sięgającego od Atlantyku po wschodnie morza i oceany. Ziemie, które przed trzystu laty przemierzyły falangi macedońskich żołnierzy, miały być teraz zdobyte przez kohorty rzymskich legionistów.

Jako spadkobierca zamysłów Aleksandra Wielkiego Cezar winien wyruszyć na wyprawę w diademie królewskim. Tak głosili niektórzy z jego najbliższych, a trudno dziś stwierdzić, jak on sam ustosunkowywał się do tych planów i podszeptów. Fakty, o których wiemy, można różnie tłumaczyć.

Rozeszły się wieści, że według wskazówek w prastarych, wieszczych księgach

sybillińskich tylko król może pokonać Partów. Posąg Cezara na Forum ktoś uwieńczył diademem. Kiedy dnia 26 stycznia dyktator po odprawieniu ceremonii religijnych na Mons Albanus wracał do Rzymu, wśród tłumów zebranych wzdłuż Via Appia podniosły się okrzyki witające go jako króla. Ale masy ich nie podjęły, zapadło głucho milczenie. Dyktator przytomnie wybrnął z sytuacji, mówiąc donośnie:

„Jam Cezar, nie król”. Co prawda, gdy później dwaj trybunowie ludu aresztowali człowieka, który ponoć pierwszy podniósł okrzyk, dał do poznania, że nie pochwała tego posunięcia, a w jakiś czas potem skarcił obu przed senatem za nadużywanie władzy i podstępne podburzanie ludu. Wielu słuźalczych senatorów zażądało wówczas skazania trybunów na śmierć, Cezar jednak zadowolili się usunięciem ich z senatu i pozbawieniem urzędu. Ten pierwszy od czasów grakchańskich wypadek odebrania trybunom ich godności wywołał powszechne oburzenie.

Ostateczną i decydującą próbę koronacji wyznaczono na dzień 15 lutego. Odbywały się wówczas Lupercalia, pradawne święto pasterzy. Półnaczy członkowie kolegów kapłańskich, pochodzący zresztą z najwybitniejszych rodów i piastujący najwyższe godności, biegli przez Forum, by uczynić zadość wymogom prymitywnej magii. Cezar przewodniczył uroczystości jako „pontifex maximus”. Siedział na podwyższeniu i przyodziany był, jak król, w purpurową szatę; brakło tylko diademu. Przez tłum wokół podwyższenia przecisnął się w pewnym momencie Marek Antoniusz, konsul roku 44, ale jako członek jednego z kolegów kapłańskich biegnący prawie nagi wraz z innymi. Stał przy Cezarze i trzymając diadem nad jego głową zawołał: „Lud rzymski ofiaruje ci to za moim pośrednictwem”. Lecz lud rzymski zamarł w głuchym milczeniu... Cezar łagodnie odsunął rękę z diademem. Wówczas Antoniusz padł mu do nóg, błagając w imieniu ojczyzny, by spełnił życzenie ludu i przyjął godność monarchy. Cezar raz jeszcze stanowczo odmówił. Rozległy się okrzyki radości i oklaski. Nieszczęsny diadem na rozkaz Cezara złożono na Kapitolu w świątyni Jowisza, w urzędowych zaś kronikach zanotowano: „Na polecenie ludu Marek Antoniusz ofiarował dyktatorowi Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi godność królewską, on jednak odmówił jej przyjęcia”.



## ZABÓJCY

**14** marca wieczorem Cezar uczestniczył w przyjęciu wydanym przez Marka Lepidusa. Zastanawiano się przy stole, jaka śmierć jest najlepsza. Cezar, nawet nie odrywając oczu od dokumentów, które podpisywał, powiedział krótko i z przekonaniem: „Niespodziewana”. W przyjęciu i rozmowie brał również udział Decymus Brutus.

15 marca w południe Decymus Brutus zjawił się w domu dyktatora, by skłonić

go do udania się na posiedzenie senatu. Cezar, który spał źle tej nocy i nie czuł się dobrze, był skłonny ulec błaganiom Kalpurnii i pozostać w domu. Przeraził ją koszmarny sen: widziała zapadający się dach domu i skrwawione ciało męża w swych ramionach. Ponoć i wróżbici uznawali ten dzień za feralny dla Cezara.

Ostatecznie jednak dyktator ustąpił namowom Brutusa i wszedł do swej lektyki. Niesiono go przez Forum i u stóp Kapitolu na Pole Marsowe. Tego dnia senat obradował w budynku wzniesionym przez Pompejusza przy jego teatrze. Wokół lektyki, jak zwykle, było tłoczno. Ktoś przecisnął się przez ciżbę i wsunął do środka zwinięty rulon papirusu. Cezar zaczął go czytać wysiadając, ale od razu zbliżyło się wielu dostojników, wszedł więc do gmachu z rulonem w ręku. Treboniusz, Decymus Brutus i inni senatorzy zatrzymali na chwilę towarzyszącego Cezarowi Antoniusza rozmową w przedsionku. Dyktator omówił kilka spraw z senatorem Popi-iuszem Lenasem i wszedł na salę. Wszyscy obecni powstali z miejsc. Cezar usiadł na swym połączanym krześle i w tymże momencie otoczyła go grupa kilkudziesięciu senatorów. Znajdujący się wśród nich Tiliusz Cymber zaczął gorąco prosić, by zezwolił jego bratu na powrót z wygnania. Reszta obecnych wstawiała się za nim, całując Cezara po rękach i chwytając za togę. Ta natarczywość zniecierpliwiała dyktatora. Usiłował wstać z krzesła, ale niespodziewanie Tiliusz Cymber mocnym ruchem ściągnął mu togę z ramion. Cezar krzyknął: „Ista quidem vis est” - „To przemoc!”. Były to jego ostatnie słowa. W tej samej chwili stojący z tyłu Serwiliusz Kaska ranił go sztyletem w szyję. Cezar odwrócił się i przebił mu rękę rylcem do pisania. Tylko tę broń miał przy sobie. Usiłował się wyrwać. Ale już godziły weń dziesiątki sztyletów. Przy pierwszym ciosie wydał głęboki jęk. Zakrywając twarz togą padł na ziemię u stóp posągu Pompejusza.

W popłochu i przerażeniu opuścili wszyscy miejsce zbrodni. Dopiero po długiej chwili do pustej sali weszło trzech niewolników. Przenieśli do lektyki ciało broczące krwią z dwudziestu trzech ran - z nich, jak się później okazało, tylko jedna była śmiertelna. Szli powoli przez wymarłe ulice miasta. Zza zasłony zwisała bezwładna ręka.

Było ponad sześćdziesięciu spiskowców. Oto dotychczasowe kariery i późniejszy los ich przywódców:

Marek Juniusz Brutus, syn Serwili. Walczył przeciw Cezarowi w armii Pompejusza, ale on mu wybaczył i dał wysokie godności; w roku 44 był pretorem. Zginął śmiercią samobójczą.

Gajusz Kasjusz Longinus. Walczył w armii Pompejusza, lecz i jemu Cezar wybaczył i dał wysokie godności; w roku 44 był pretorem. Zginął śmiercią samobójczą.

Kwintus Ligarius. Również walczył w armii Pompejusza, ale Cezar mu wybaczył. Zginął zamordowany.

Decymus Juniusz Brutus. Był oficerem Cezara w Galii, dzięki niemu otrzymał namiestnictwo Galii Przedalpejskiej na rok 44 i konsulat na rok 42. Zginął

zamordowany.

Gajusz Treboniusz. Był oficerem Cezara w Galii, dzięki niemu otrzymał konsulat w roku 45 i namiestnictwo Azji na rok 44. Zginął zamordowany.

Serwiusz Sulpicjusz Galba. Był oficerem Cezara w Galii, dzięki niemu otrzymał preturę w roku 54, później zaś wielki majątek. Zginął zamordowany.

Lucjusz Minucjusz Basylus. Był oficerem Cezara w Galii, dzięki niemu otrzymał preturę w roku 45, później zaś wielki majątek. Zginął zamordowany.

Publiusz Serwiliusz Kaska. Był oddanym stronnikiem Cezara, dzięki niemu otrzymał urząd trybuna ludowego na rok 43. Zginął śmiercią samobójczą.

Lucjusz Tiliusz Cymber. Był oddanym stronnikiem Cezara, dzięki niemu otrzymał namiestnictwo Bitynii na rok 43. Zginął zamordowany.

Ci wszyscy nienawidzili Cezara, ponieważ zawdzięczali mu bardzo wiele - niektórzy życie, wszyscy zaś majątki i godności. Dawni wrogowie czuli się upokorzonymi, stronnicy zaś zawiedzeni; chcieli proskrypcji, rzezi, konfiskat.

Nienawidzili Cezara, ponieważ nie zważał na pozory. Nie wstał na powitanie senatu. Powiedział, że Rzeczpospolita to tylko pusta nazwa bez ciała i kształtu. Mogli mu przyznać rzeczywistą wszechwładzę, wszelkie honory, cześć niemal boską - nie mogli zrezygnować z fikcji istnienia republiki.

Nienawidzili Cezara, ponieważ oceniał ludzi nie według ich narodowości i urodzenia. Wprowadził do senatu wielu możnowładców z Italii północnej i nawet z Galii, nadawał hojnie obywatelstwo rzymskie mieszkańcom prowincji, dźwigał w górę ludzi nawet z najniższych warstw, bo zrozumiał to, czego oni nie byli w stanie pojąć: garstka skorumpowanych polityków w nie tak wielkim mieście nad Tybrem nie może samowolnie ciemnieć i wyzyskiwać ludów od Atlantyku po Eufrat nic im w zamian nie dając.

Nienawidzili Cezara, ponieważ wierzyli pogłoskom, że stolica zostanie przeniesiona na Wschód, gdzie monarsza para - Cezar i Kleopatra - włądzą będzie w blasku i chwale nad Europą, Afryką i Azją, oni zaś, rzymscy senatorowie, znikną w tłumie orientalnych dworaków.

Nienawidzili Cezara, ponieważ nie rozumieli tego, co jasno widział on sam, mówiąc:

„Nie mnie, ale właśnie Rzeczypospolitej winno zależeć na moim życiu. Ja dość już mam potęgi i sławy. Natomiast Rzeczpospolita, jeśli mnie coś spotka, nie zazna już pokoju i wstrząsną nią znacznie sroższe wojny domowe”.



## DIVUS IULIUS

**K**iedy w dniach od dwudziestego do trzydziestego lipca roku 44 Gajusz Oktawiusz, jako przybrany syn Cezara noszący nazwisko Gajusz Juliusz Cezar, wydawał igrzyska dla uczczenia pamięci zwycięstw swego ojca, wczesnym wieczorem na północnym nieboskłonie przez siedem dni ukazywała się gorejąca

kometa, widoczna we wszystkich krainach państwa. Ponieważ powszechnie wierzono, że jest to dusza Cezara wlatująca ku siedzibie nieśmiertelnych bogów, nad głową posągu Cezara na Forum umieszczono gwiazdę.

Dnia pierwszego stycznia roku 42 na mocy uchwały senatu i ludu rzymskiego zmarły dyktator zaliczony został w poczet bogów i odbierał odtąd należną mu cześć boską we wszystkich świątyniach państwa jako

**DIVUS IULIUS.**



## ŹRÓDŁA I OPRACOWANIA

Źródła starożytne do życia i czasów Cezara są stosunkowo liczne i bogate. Wymienić należy przede wszystkim dwa życiorysy: łaciński Swetoniusza (przekład polski J. Pliszczyńskiej ze wstępem J. Wolskiego: G. Swetoniusz Trankwillus, *Żywoty Cezarów*, wyd. Ossolineum, Wrocław 1959) i grecki Plutarcha (przekład polski M. Brożka: Plutarch z Cheronei, *Żywoty sławnych mężów*, wyd. Ossolineum, Wrocław 1953 - Biblioteka Narodowa, S. II, nr 3). Posiadamy również bardzo cenną relację samego Cezara o wojnie z Galami, *Commentarii de bello Gallico* w siedmiu księgach (księga ósma została napisana przez oficera Cezara A. Hirtiusa), i o wojnie domowej, *Commentarii de bello civili* w trzech księgach (przekład polski J. Parandowskiego: Juliusz Cezar, *Pamiętniki o wojnie domowej*, wyd. Czytelnik, Warszawa 1951). Pamiętniki o wojnie domowej kończą się na opisie pierwszych walk w Aleksandrii. Nieznani autorzy kontynuowali relację o dalszych dziejach tej wojny w dziełkach: *Bellum Alexandrinum*; *Bellum Africanum*; *Bellum Hispaniense*.

Wiele danych o życiu Cezara zawierają antyczne przedstawienia dziejów tego okresu. Z zachowanych najbogatsze w fakty są dwie pisane w języku greckim *Historie rzymskie*: Appiana z Aleksandrii w księdze I i II *Wojen domowych* (przekład polski L. Piotrowicza - Ossolineum, Wrocław 1957) i Kasjusza Diona, księgi XXX-XLV.

Szczególność posiadają mowy i listy Cycerona, który nader często porusza w nich sprawy pośrednio lub bezpośrednio związane z losami Cezara.

Dziełko Salustiusza o spisku Katyliny (przekład polski K. Kumanieckiego: *Sprzysiężenie Katyliny*, Biblioteka Meandra 1, Warszawa 1947) rzuca wiele światła na rolę Cezara w tej próbie przewrotu.

Informacje przekazane przez te i inne źródła wymagają jednak każdorazowo przeprowadzenia wnikliwej krytyki, oceny ich wiarygodności, częste są bowiem różnego rodzaju pomyłki i błędy (np. przestawienia wypadków w czasie w życiorysach Plutarcha i Swetoniusza) lub też nawet świadome, tendencyjne przekształcanie faktów (np. w relacji samego Cezara o wojnie z Galami i o wojnie domowej).

Istnieje ogromna ilość prac poświęconych Cezarowi i jego epoce. Tu wymieniam tylko tych kilka podstawowych, które zachowają zawsze trwałą wartość, omawiają bowiem cały materiał źródłowy.

W. Drumann - P. Grobe, *Geschichte Roms*, t. III, Lipsk 1906.

E. Meyer, *Cäsars Monarchie und das Principat des Pompeius*, Stuttgart - Berlin 1919.

T. R. Holmes, *The Roman Republic and the Founder of the Empire*, v. I-III,

Oksford 1923.

T. R. Holmes, *Caesar's Conquest of Gaul*, Oksford 1931.

T. R. Holmes, *Ancient Britain and the Invasions of Julius Caesar*, Oksford 1907.

O Jullian, *Histoire de la Gaule*, t. III, Paryż 1920.

J. Carcopino, *Histoire Romaine*, t. II, 2, Paryż 1936.

L. Paribeni, *Storia di Roma*, t. III-IV, Turyn 1953-1955.

L. R. Taylor, *Party Politics in the Age of Caesar*, Berkeley and Los Angeles 1949 (przedruk 1961).

Z prac polskich autorów polecić należy szczególnie:

L. Piotrowicz, *Dzieje rzymskie*, Warszawa 1934.

K. Kumaniecki, *Cyceron i jego współcześni*, Warszawa 1959.

A. Krawczuk, *Kleopatra*, Warszawa-Wrocław-Kraków-Gdańsk 1969 (przedruk 1971).



**KONIEC**

**Księgozbiór DiGG**



**2010**